

# Kosmo- drom

KONRAD FIALKOWSKI



FANTASTYKA PEZYCODA



# **Kosmodrom**

**1975**

## Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PRAWO WYBORU

CEREBROSKOP

STRZAŁ INFORMACJI

CHLORELLA

SZANSA ŚMIERCI

JA, MILIKILOS

JEJ GŁOS

ADAM I EWA

ZANIM POLECA DO GWIAZD

NIEŚMIERTELNY Z WEGI

LOT KU ZIEMI

WRÓBLE GALAKTYKI

KOSMODROM

STRAŻNIK

# PRAWOWYBORU

Automat zawarł klapę wejściową — i wewnątrz kabiny Far widział już tylko w ekranie. Ciało leżało na stole operacyjnym, białym, prostokątnym, pod błękitnawo jarzącą się lampą. Po nim pełzał czarny wąż automeda, likwidując powierzchowne skaleczenia.

— Przepadł przy lądowaniu... — powiedział Tolew. — Wyłączył autopilota, żeby się pozbyć automatów kontroli ruchu, i usiadł na las. Zbyt szybko wytracił prędkość... — wyjaśnił.

Far odwrócił się od ekranu.

— On leciał sam? — zapytał.

— Sam. To jakiś głupi szczeniak. Wysłuchał w widetronii audycji „Pilotuj bez autopilota” i sam zaczął prowadzić raketę. Tacy się nigdy najpierw nie zastanowią...

— A może miał awarię automatów sterujących?

— Gdzie tam. Radary z zewnętrznego pasa lotniska uchwyciły go, gdy leciał w strefie zakazanej na zwiększonej szybkości.

Spieszyło mu się. Teraz dłużej poczeka...

„O ile w ogóle będzie żył” — pomyślał Far i poszedł do sterowni sali operacyjnej.

In siedziała już przy homosymulatorze.

— Co tam nowego, eskulapie? — zapytała.

— Jakiś chłopak. Rozbił raketkę przy lądowaniu...

— No, to połatamy go — uśmiechnęła się do Fara po swojemu, samymi tylko oczami.

— On się bardzo rozbił...

— Podaj mi więc parametry jego stanu i zobaczmy, co się da zrobić.

Far podszedł do pulpitu sterującego automeda i nacisnął czerwony klawisz „Informuj”. Zawsze dziwił się, jak krótko trwa przekazywanie wiadomości o stanie chorego do homosymulatora. Przecież w tych kilkudziesięciu sekundach homosymulator dowiadywał się o anatomii i fizjologii człowieka więcej niż on przez lata swoich studiów. I to nie były informacje o człowieku w ogóle, ale o tym jednym jedynym organizmie, który leżał na stole operacyjnym w kabinie automeda.

— Gdybym był homosymulatorem, studia ukończyłbym w pięć minut — powiedział kiedyś do In.

I byłbyś nieciekawym, wąsko wyspecjalizowanym automatem, z którym najwyżej mogłabym wytrzymać cztery robocze godziny dziennie. Pomijając już fakt, że musiałbyś mieć strukturę elektrokystaliczną; w najlepszym wypadku różnokolorowe bryły kryształu.

— Żeby ci zrobić przyjemność, zachowałbym strukturę białkową.

— Ale wtedy, niedoszły automacie, pięć minut by ci nie wystarczyło.

— No, ja byłbym genialnym automatem.

— Nawet najgenialniejszy automat nic na to nie poradzi, że impuls we włóknie białkowym przemieszcza się setki tysięcy razy wolniej niż w przewodnikach.

Tak, to było wtedy, gdy wracali po deszczu do domu. Musiała to być wiosna, bo listki drzew były małe i bardzo zielone. Wracali szerokim, szarym traktem wiobusów, którego nawierzchnia błyszczała po deszczu. Zmokli i trzęśli się z zimna, mimo że szli środkiem traktu i słońce świeciło. Z boku, ociekając wodą, stały automaty, te, które informują, i takie, które rozdają dzieciom na wycieczce cukierki. Nie zauważyły deszczu, nie czuły zimna i tak jak zawsze mrugały światłkami, gdy tylko wyczuły ich obecność. I wtedy powiedział, że chciałby być automatem, choć by homosymulatorem. Potem zabrał ich jakiś wiobus i suszyli skafandry przy podczerwonych emiterach...

Lampka nad klawiszem „Informuj” zgasła i zabuczał brzęczyk. Homosymulator wiedział już wszystko. Tam w głębi za pulpitemi, za pancernymi płytami, w białych soplach kryształów splecionych nieregularną siatką przewodów, krążyły impulsy odpowiadające swymi konfiguracjami pracy serca, płuc, wątroby, przeciskaniu się krwinek przez naczynia włoskowate i ruchom przepony przy oddechu. Teraz wystarczy zapytać homosymulator o reakcje organizmu na transfuzję czy o cokolwiek innego, a niemal natychmiast nadejdzie odpowiedź i on, Far, z góry będzie wiedział, co stanie się z chorym, gdy zastosuje ten czy inny zabieg. Będzie wiedział, bo homosymulator to elektrokystaliczny model organizmu, tym razem organizmu tego chłopca.

— Podaj mi tętno — zwrócił się do In.

— Sto sześćdziesiąt na minutę.

— Ciśnienie?

— Czterdzieści. Far, on sam nie oddycha.

— Widzę, że autopulmomat oddycha za niego.

„Nie sądzi chyba, że jestem ślepy” — dodał w myśli.

— Temperatura spada — powiedziała znowu In.

— Jak szybko?

— Nie wiem.

— Jesteś w końcu matematykiem czy nie?

— Nic ci na to nie poradzę. Nie wymyślę ci jej przecież.

— Skontroluj, proszę, automatyczne zespoły pierwszej pomocy — powiedział Far już spokojniej.

— Normalnie, pracują normalnie. On się strasznie poci — dodała już ciszej.

Wiedziała o tym tylko ze wskaźników jarzących się na jej pulpicie. Jedyne obrazy wnętrza kabiny i chłopca na stole operacyjnym miał Far tuż przed sobą w ekranie. Nie patrzył jednak w ten ekran. Bał się, że gdy spojrzy na chłopca, tamten umrze. „Powinien był umrzeć w drodze na stół. Nie umarł, więc ma wspaniałe serce, płuca i nerwowe ośrodki sterujące. I przecież tutaj też nie może mi umrzeć...”. Przygryzł język. Zawsze przygryzał język, gdy się denerwował...

— Określ prawdopodobny czas załamania krążenia.

Powiedział — „załamania krążenia”, a pomyślał — „śmierci”.

In czekała na to pytanie. Wiedziała, że ją w końcu zapyta, gdy sama mu nie powie, i wiedziała, jak bardzo nie lubił o to pytać.

— Około czterech godzin — powiedziała i uśmiechnęła się do niego po swojemu. Normalnie Far nie wyobrażał sobie, żeby jeszcze ktoś inny mógł się w ten sposób uśmiechać. Ale w tej chwili drażniło go to tylko.

Kiedyś, jeszcze dawniej, pokłócili się o to. Wtedy nie była to poważna operacja, jakieś złamanie nogi czy coś takiego, o czym sam automed wie wszystko od początku do końca i prawie nie pyta się lekarza o zdanie. Wtedy między podaniem kolejnych parametrów powiedziała nagle:

— Far, po operacji lecimy na Petron!

Nie odpowiedział.

— Naprawdę nie chcesz? — zapytała.

— Podaj następny parametr i zajmij się wreszcie tym, co robisz.

— No, wiesz. Podaję ci przecież wszystkie potrzebne dane. A zresztą automed i tak sam wszystko robi. — Była wyraźnie urażona.

— Słuchaj, In — zapytał ją potem, gdy wychodzili już ze szpitala — czy ty zawsze przy homosymulatorze czujesz się jak na ćwiczeniach?

— Jak to: „na ćwiczeniach”?

— No, opowiadałaś mi kiedyś, że gdy jeszcze na studiach specjalizowałaś się w teorii homosymulacji, ustawiano homosymulator tak, by odpowiadał jakiemuś trudnemu przypadkowi, ale po prostu ustawiano, bo chorego tam w ogóle nie było...

— No tak. I co z tego?

— Więc czy tu na sali operacyjnej... — zająknął się i nie do końca.

— Jasne, że nie! Zdaję sobie sprawę, że tam jest człowiek, i robię wszystko jak najlepiej.

— Ale jesteś jakaś...

— Nie przejmuję się tym tak, jak ty? To chciałaś powiedzieć?

— Tak.

— Widzisz — powiedziała bardzo poważnie — gdyby to temu, który jest na stole, mogło coś pomóc, przejmowałabym się i denerwowałam, ile bym tylko mogła. Ale przecież jemu to nic nie pomaga, więc dlaczego miałabym robić rzeczy, które nie mają sensu?

Nie odpowiedział. Patrzył w dół kamiennych schodów, którymi ze szpitala schodziło się na helidrom. „W ten sposób argumentowałby pewnie automat — pomyślał. — Tylko że na razie nie zbudowano jeszcze tak skomplikowanych układów.

— No więc, odpowiedz. Lecimy? — In nie dawała za wygraną.

— Pal lichu! — machnął ręką. — Lecimy na Petron!

Zbiegli schodami ku helikopterom, które tam w dole na szarej płycie helidromu wyglądały jak kolorowe żuki. Potem lecieli wśród białych cumulusów, w niskim popołudniowym słońcu, aż zobaczyli długi cień garbu Petronu.

Petron było to samotne wzgórze, wypiętrzające się wprost z równiny, jakby je ktoś wypchnął w górę spod ziemi gigantycznym palcem. Tuż pod szczytem było małe lądowisko helikopterów, a niżej ruiny starożytnego obserwatorium astronomicznego, pochodzącego z czasów, gdy ludzie z Ziemi przez lunety obserwowali gwiazdy. Na samym szczycie leżało kilka wielkich głazów i In, pamiętająca z dzieciństwa dziwne bajki, twierdziła, że tu właśnie zbierały się kiedyś czarownice.

Wtedy wspinając się na szczyt, spostrzegli, że wśród głazów już ktoś siedzi.

— Jedna z twoich czarownic — powiedział Far. — Przyleciała na miotle, bo helikoptera nigdzie nie widzę.

Ale to był chłopak, wysoki chłopak w zwykłym szarym skafandrze. Gryzł źdźbło trawy i patrzył na słońce, które było już czerwonym, zachodzącym słońcem. Siedli na drugim głazie, a on przypatrywał się im chwilę. Potem wstał i podszedł do nich.

— Można usiąść z wami? Wyglądacie tak sympatycznie...

— Sympatyczni ludzie zawsze się w końcu spotkają — zaśmiała się In.

— Przepraszam was, ale nie mogę się jeszcze przyzwycząić, że tu tyle ludzi i można po prostu siedzieć na kamieniach.

In parsknęła śmiechem, Far rozejrzał się dokoła, ale oprócz nich nie było nikogo. Chłopak był już zupełnie speszony.

— Ja wiem, że tu jesteśmy tylko troje, ale ja wróciłem z Marsa dopiero dwa dni temu.

Far oderwał wzrok od indykatorów transfuzji i spojrzął przez ramię na In.

— Są już wyniki wstępnej diagnozy?

— Tak. Czaszka zmiądzzona. Odłamek kostny w skrzyżowaniu nerwów wzrokowych...

— Trzeba jak najszybciej usunąć!

— ...trzy żebra złamane, lewa noga zmiądzzona... poza tym sam nie może oddychać.

— Czekaj, a temperatura ciała?

— Nie martw się. Wzrasta.

— No, to nie jest najgorzej — powiedział z ulgą i po raz pierwszy popatrzył wprost na In, a nie na indykatory. Ona nie spostrzegła nawet tego. Pochylała się nad sterującą tablicą homosymulatora i starannie wybierając naciskała kwadratowe klawisze na wielkiej szachownicy pulpitu.

— ...Transfuzja, środki znieczulające, uspokajające...

— Ogrzanie — odpowiedział jej.

Skinęła głową.

— Tak, ogrzanie... i to byłoby chyba wszystko, co dotychczas zrobił automed? — spojrzała na Fara.

— Może i wszystko. Ale czy możesz mi wytłumaczyć, po co to wszystko robisz? Przecież widać, że chory już wyszedł ze wstrząsu.

— Nie zrzedź. Ty się od tego nie możesz odzwyczaić. Zresztą zawsze byłeś taki — dodała, jakby w tej chwili doznała olśnienia.

— Człowiek, który z założenia ma rację.

Nie wiedział, czy mówiła poważnie. Nigdy, odkąd się znali, nie wiedział tego. Nawet gdy mówiła takie rzeczy, wyglądała, jakby za chwilę miała się roześmiać. Wzruszył więc tylko ramionami.

— Kończ już ten test na homosymulatorze.

Skinęła głową, ale dalej kontynuowała swoją myśl:

— ...bo ty powinienesz się być urodzić kilkaset lat temu, gdy lekarz miał rzeczywiście z definicji rację... — Nacisnęła klawisz startu i krzywe w ekranach homosymulatora sfalowały się. — Wtedy, w tamtych czasach, lekarz przychodził, oglądał pacjenta, stawiał diagnozę i zawsze miał rację... chyba że inny lekarz postawił inną diagnozę...

— Było w tym coś ze sztuki — uśmiechnął się Far. — Ale później zjawili się matematycy, cyfrownicy, cybernetycy i semantycy i zbudowali różne automaty, jak automed czy homosymulator, i żegnaj, sztuko! Czy tak, In?

— Mniej więcej. A w tej chwili dzięki homosymulatorowi mogę ci powiedzieć, że chory wyszedł ze wstrząsu.

— Wiedziałem to bez ciebie.

— Mylisz się. Przypuszczałeś tylko, tak jak ci staro żytni lekarze. Wiesz dopiero teraz... Słuchaj, Far — dodała już innym tonem — czy on z tego wyjdzie?

— Nie wiem. To dopiero pierwszy etap. Będziemy operować.

— A może skonsultuj się z profesorem i przekażemy pełną informację do operacji zespołowi Rona, on, zdaje się, po nas obejmuje dyżur.

— Nie, zaraz zaczynamy sami.

In umilkła i patrzyła przed siebie w ekran.

„Co jej się stało? — pomyślał Far. — Dlaczego, u diabła, nie chce operować. Nie, to nie jest podobne do In... Przecież zawsze, nawet i potem... zawsze pracowała tak, że lepiej nie można nawet sobie wyobrazić. W ogóle to wspaniała dziewczyna, a ja byłem głupiec, skończony głupiec...”

— Czekaj. Moment tylko. — Wstała z za pulpitu i podeszła do telewizofonu stojącego w rogu pokoju.

— Informację lokalną — powiedziała i czekała, aż w ekranie pojawił się informator.

— Czy nadstratosfer z Szóstego Satelity będzie o czasie?

— Ma opóźnienie dziesięciu minut — odpowiedział informator.

— Ach, tak. Dziękuję.

„Szósty Satelita. Na Szóstym Satelicie był obóz treningowy tego chłopca z Marsa, Daza” —

pomyślał Far.

Dowiedział się o tym przypadku, tak jak o wszystkim zresztą... Zauważył, co prawda, że In była trochę dziwna, ale matematycy zawsze miewają swoje humory. Dopiero wtedy, gdy mieli ten ranny dyżur...

Było jeszcze zupełnie szaro, gdy wylądował na helidromie. Wyskoczył z kabiny i patrzył, jak zwalniaszące śmigło kłębi poranną mgłę nad zaroślami otaczającymi płytę lądowiska. Słyszał tylko szum śmigła i, gdy w końcu znieruchomiało, cisza była zupełna. Gwiazd już nie było i tylko szpital jarzył się błękitnymi prostokątami okien. Czekał na In. Chciał się tu z nią spotkać. Czekał długą chwilę, aż wreszcie usłyszał niewyraźne wysokie brzęczenie. Helikopter lądował pośrodku helidromu. W kabinie było ich dwoje. „To nie ten helikopter” — pomyślał wtedy, ale potem zobaczył długie włosy kobiety i wiedział już, że to nieprawda. Niewiele kobiet prócz In nosiło, wzorem starożytnych, długie włosy. Wskoczyli z kabiny i pocałowali się krótko, tak — na do widzenia. Potem Far patrzył, jak In biegła schodami, zwykłymi kamiennymi schodami, na których czasem siadywali w locie, gdy było gorąco, patrzył za nią, aż zniknęła w drzwiach szpitala. Potem wolno ruszył przez płytę helidromu. Ten chłopak spostrzegł go i czekał na niego.

— Przykro mi, że tak się stało — powiedział.

Far nic nie mówił, ale było mu bardzo źle.

— To wszystko było takie niespodziewane, że nie zdążyliśmy z tobą pomówić — dodał. — Ona miała ci wszystko dzisiaj powiedzieć...

— ...

— Masz do mnie żal, Far. Przyszedłbym normalnie do ciebie. Ale ja mogę Szóstego Satelitę opuścić tylko na kilka godzin. Mamy tam obóz treningowy, bo ja lecę do planet zewnętrznych — wyjaśnił. — Słuchaj, to będzie dla niej bardzo ciężka rozmowa... Pomóż jej jakoś. Ona ciebie bardzo lubi... i dlatego to będzie takie trudne.

— Nie martw się o nią. Da sobie radę. — Far wyminął chłopaka i poszedł ku schodom. Było już jasno i w oknach szpitala gasły światła...

Coś między pulpitemi buczało uporczywie. Jednostajnie szary dotąd ekran zajarzył się rozbłyskami.

— Odzyskał przytomność — powiedziała In.

— Włącz pole znieczulające.

— Już włączone.

„O czym ten chłopak teraz może myśleć — zastanawiał się Far. — Może przypomina sobie ostatnie chwile przed katastrofą i widzi zbliżające się błyskawicznie wierzchołki drzew. Ale przecież on nie widzi. Może właśnie to zrozumiał i zaczął się bać... Bać się tak, że trudno to sobie wyobrazić...”

— Jesteś pewna, że on nie widzi? — zapytał.

— Na pewno. Odłamek kości naciska na skrzyżowanie nerwów wzrokowych. Pomyśl, Far, jeden ruch sterami i od razu to wszystko się stało. Daz mówi, że wszystkich powinni szkolić w prowadzeniu rakiet. — I zorientowawszy się, że powiedziała to niepotrzebnie, dodała: — Wtedy nie byłoby takich wypadków.

— Masz już wszystkie dane? — przerwał jej.

— Morfologia, OB, poziom hemoglobiny, hematokryt... rezerwa alkaliczna...

— W porządku. Wobec tego zaczynamy.

Przysunął się bliżej pulpitu i wsunął dłonie wprost do centralnego rozrządu automata. Wykonał



kilka szybkich ruchów palcami, aż w ekranie zobaczył czaszkę. Przeostroił emiter promieniowania tak, by częstotliwość wzrosła. Naga, porozszarpywana miejscami skóra głowy znikła i zobaczył kości, większe i mniejsze odłamki. Kątem oka spostrzegł, że In podniosła się i stanęła za nim. Powiększył obraz i teraz dokładnie już widział okruch kości tkwiący w nerwie. Powoli, jakby bojąc się dotknąć czaszki, nacisnął wyzwalacz automeda i czekał na cień autoktora w ekranie. Wyraźnie widział jego mały wydłużający się ryjek.

— Przejdź na kontrolę — polecił In.

Poczuł raczej, niż spostrzegł, że odeszła. Sam bez przerwy wpatrywał się w ekran. Czekał, aż ryjek ustawi się na wprost cienia okruchu. Wtedy nacisnął przełącznik i obraz w ekranie zmienił kształt i proporcje. Far widział teraz tak, jak gdyby jego oko umocowano na końcu ryjka autoktora.

Sprawdził raz jeszcze wszystko i wyzwolił sprzężenie własne automeda. Automed pracował ułamek sekundy. Z niezawodnością, jaką posiadają tylko automaty, rozsunął wibratorem kości i tkanki, usunął odłamek i zapalił zielone światło wykonania polecenia.

Far przerwał na moment pracę i odgarnął włosy zsuwające mu się na czoło.

— Kontrola? — zapytał.

— Jest kontrola.

— Usunę jeszcze pozostałe okruchy kości z głowy.

Wrócił na normalne powiększenie i wyszukał następny okruch. Potem w ten sam sposób naprowadził nań autoktor, a resztę wykonał automat. Automed za każdym razem działał bezbłędnie.

Wreszcie na koniec odbarczył jeszcze zgnieciony oczodół.

Teraz przerwiemy na chwilę — powiedział.

Uśmiechnął się do In, bo był zadowolony, że wszystko tak dobrze poszło. Patrzył na pełzające po ekranie białawe wyładowania. Chory był przytomny.

— Sprawdź, czy widzi — poprosił In.

— Sprawdź sam. Przepraszam cię na moment. — Znowu podeszła do telewizofonu.

— Nadstratosfer już przyleciał?... Chwilę temu?... Dziękuję.

Far włączył w kabinie operacyjnej migające żółte światło. Roz błyski rozjarzyły się intensywniej. Chory na pewno widział.

„Na co ona czeka — pomyślał Far równocześnie — przecież nie umówiła się z nim chyba teraz?”

— Sprawdź na homosymulatorze, co jeszcze mamy zrobić.

— Jeszcze amputacja lewej nogi — odpowiedziała natychmiast.

— I nic więcej?

— Na razie nie. Z resztą lepiej zaczekać.

— Przejdź więc na kontrolę — powiedział i znowu przysunął się do ekranu.

— Jest kontrola — odpowiedziała.

Zabieg był jednym z tych, które automedy wykonują same według programu wewnętrznego. Trwał też chwilę zaledwie. „Nareszcie będę mógł wstać zza pulpitu i przejść się trochę” — pomyślał Far. Czuł, jak drętwieje mu noga.

— Tętno wzrasta — powiedziała nagle In.

— Ile?

— Ponad sto sześćdziesiąt.

— A okresowość?

— Niezbyt miarowa. Zresztą zobacz sam — wskazała na kardioskop.

Tak, tętno nie było miarowe, a poza tym zanikało. „Niewydolność krążenia” — pomyślał Far.

— Amplituda drgań się zmniejsza.

— A homosymulator?

— Wskazuje na konieczność wyłączenia serca. Wyłączysz?

— Czekaj. Daj pobudzenie polem.

In skinęła głową. Far zamknął oczy i czekał.

— Jest skutek? — zapytał wreszcie.

— Nic. Tętno nitkowate. Ciśnienie spada... Popatrz na kardioskop!

Spojrzał w ekran. Linia wiła się i gdzieniegdzie strzelały w górę białe igły impulsów. „Zupełny chaos — pomyślał. — Beładne skurcze o zanikającej amplitudzie. A więc koniec”.

— In.

— Tak?

— Włączę mu sztuczne serce. Na razie zewnętrznie — było coś z pytania w jego głosie. Nie mógł się sam zdecydować.

— Tak — powiedziała cicho. — Homosymulator też na to wskazuje.

Nie patrzył, jak automed otworzył klatkę piersiową chłopca. Podłączenie serca trwało kilka sekund. Potem tętno i ciśnienie wróciło do normy. Tylko ekran kardioskopu był szary i pusty. Rytmu pracy sztucznego serca nie sprawdza się na kardioskopie. Jak w każdym innym automacie wystarcza, gdy płonie w jego płycie czołowej czerwona kontrolka pracy. I taka kontrolka zapaliła się tuż przed oczyma Fara.

— Potem przeszczepi mu się sztuczne serce zasilane baterią promienistą — powiedziała In. — Jest już podobno kilkuset ludzi w układzie słonecznym, którzy mają takie serca i żyją.

— Trudno jest żyć z takim sercem. A poza tym on nie oddycha.

— Co robić?

— Nie wiem. Mogę tylko czekać i sprawdzić w homosymulatorze jego szansę. To wylew w ośrodku oddychania w mózgu. Jeśli ośrodek nie zacznie pracować, wysyłać impulsów sterujących do mięśni, ten chłopak nigdy nie będzie sam oddychać, a automatu, który zastąpiłby mu ośrodek oddychania, nie mamy.

— Głupia historia — powiedziała In.

Powiedziała już to kiedyś... Wracali wtedy wirobusem ze szpitala. To było tego dnia, gdy spotkał ich rano na helidromie. W wirobuse jechało jeszcze dwu studentów, dyskutujących hałaśliwie o polach bezwirowych, i jakaś dziewczyna z ogromną torbą mieniącą się deseniem różnobarwnych kół. Dziewczyna przypatrywała się przez chwilę włosom In z ciekawością i szacunkiem, z jakim ogląda się muzealne zabytki. Sama miała czarne, krótko przystryżone włosy.

— Zetniesz włosy? — zapytał wtedy Far. — Jemu nie podobają się na pewno długie włosy.

— Zetnę — skinęła głową.

— A gdy on polecą do księżyców Saturna, będziesz miała krótkie, jasne kosmyki, tak krótkie, jak ta dziewczyna?

Skinęła głową.

— A w ogóle to głupia historia z tym jego lotem — powiedziała. — Tam matematycy tej specjalności, co moja, nie są potrzebni. Wybrałam niezbyt kosmiczną specjalność. W bazach Saturna mają małe automatyczne homosymulatory.

Małe homosymulatory... Ten chłopak już by umarł, gdyby miał tu tylko mały homosymulator. Spojrzał w ekrany.

Tętno chłopca było miarowe i Far mógł wreszcie wstać. Przeszedł się raz i drugi wzdłuż automatów i wyjrzał przez okno, za którym wiał wiatr. Pod niskimi, szarymi chmurami, podrzucany falami wiatru, schodził do lądowania mały, czerwony helikopter. Far patrzył przez chwilę, jak

autopilot kompensuje sterami porywy wiatru, a potem spojrzął na wilgotną płytę helidromu i pomyślał, że chyba lato już się skończyło.

— Far — odezwała się In za jego plecami — z tego nic nie wychodzi.

— Spróbuj jeszcze raz. Są zawsze szanse, że on zacznie sam od dychać.

— Dobrze, spróbuję raz jeszcze — powiedziała, ale Far wyczuł, że nie ma wielkiej nadziei.

— Sprawdź jeszcze przedtem, czy homosymulator ma aktualne dane o jego stanie. Tu przecież w każdej minucie może się coś zmienić.

— Już sprawdziłam.

Odwrócił się gwałtownie od okna i podszedł do niej.

— To sprawdź jeszcze raz — powiedział twardo. — Sprawdź dziesięć razy, bo tu nie ma żartów. Jeśli on nie zacznie oddychać sam, to kiedyś będziemy go musieli odłączyć od autopulmometu, a wtedy koniec.

Stał nad nią i patrzył, jak naciskała klawisze i jak na ekranach pojawiały się, przesuwały i gasły krzywe.

— Nie ma. Naprawdę nie ma żadnych szans. Spójrz — wskazania — na jeden z ekranów. — Ten nieznaczny, ledwo zauważalny garbek na tej krzywej to szansę przeżycia dla tego chłopca, wyznaczone przez homosymulator. One nie istnieją praktycznie, nie ma ich wcale, bo mieszczą się w granicach pomiarowego błędu automatu. Rozumiesz, to może nawet nie są jego szansę, tylko po prostu automat się myli o ten ułamek procentu.

— No więc, co dalej?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ja mu nic nie mogę pomóc. Obliczenia wskazują, że on nie przeżyje, że nie złapie oddechu...

„Czyżby więc wszystko było na nic? »On nie ma szans« — powiedziała In, a właściwie homosymulator. Nie ma szans, nie można mu pomóc... -? Far przygryzł język. — Głupi szczeniak, który musiał lądować bez autopilota... A oni, matematycy, podchodzą znowu do tego, jakby budowali most. Most nie wytrzyma, most można rozebrać i oddać na złom! I nie ma się czym przejmować, bo nikt nic na to nie poradzi... Głupi... cholernie głupi szczeniak...”

Podszedł do pulpitu automeda i spojrzął w ekran, na którym widać było stół i ciało. Teraz, owinięte przez automeda kokonem, wyglądało jak larwa dziwnego owada. I nagle zobaczył oko. Jedno oko, bo drugie tkwiło pod taśmami, oko z szeroko rozwartą powieką, patrzące wprost w ekran.

Odskoczył, jakby to oko rzeczywiście mogło go dostrzec, i spojrzął na pulsujące światła kontrolne autopulmometu.

„Chłopak jest przytomny... pewnie wie, że leży w automedzie... i myśli, że najgorsze już jest za nim. A ja mam przerzucić na pulpicie dźwignie, patrzeć, jak zgasną światła autopulmometu i on zacznie umierać...”

Znowu podszedł do okna, ale nic nie zobaczył, bo zaczął padać deszcz.

„A może jednak spróbować...” Myślał o tym od początku, ale bał się. Chociaż właściwie, jeśli ośrodki nerwowe wysyłają rozkazy pracy do wszystkich narządów organizmu jako odpowiednie sekwencje impulsów, można z zewnątrz do uszkodzonego ośrodka wprowadzić elektrodę i z niej wysłać te impulsy — tak rozumowali wtedy z Ronem. Byłoby to coś w rodzaju centralnego sztucznego oddychania. Zamiast naciskać klatkę piersiową, nadaje się tylko z zewnątrz rozkaz ruchu do ośrodka, z ośrodka przez nerwy impulsy biegną do mięśni, mięśnie pracując powiększają objętość klatki piersiowej i człowiek oddycha. I wtedy, może tak jak przy sztucznym oddychaniu, pobudzony ośrodek nerwowy podejmie rytm pracy?

Far odwrócił się od okna. Zdecydował się.

— In!...

Znowu rozmawiała przez telewizofon.

— ...tak, powiedzcie mu, żeby poczekał!

— On mówi, że to bardzo pilne — w ekranie błyszczała łysina Tolewa.

Skończyła rozmowę i spojrzała na Fara.

— Co chcesz robić?

— Będę pobudzać jego ośrodek oddychania programem zewnętrznym.

— Czy to się uda? — podeszła do pulpitów i oparła się o nie.

— U zwierząt doświadczalnych...

— Wiem. Czytałam tę pracę, którą napisałeś z Ronem. Ale skąd weźmiesz ten zewnętrzny program?

— Tak jak w naszych doświadczeniach.

Odwróciła głowę od ekranów i patrzyła na niego poważnie, zupełnie poważnie.

— Ty? — zapytała w końcu.

— Tak.

— Ależ to nie ma sensu!... A korelacja? Stwierdziliście przecież, że czasem następuje wytłumienie impulsów w tym sterującym zdrowym ośrodku.

— Tylko w dwudziestu procentach wypadków.

— To znaczy raz na pięć doświadczeń. To dużo! A skąd wiesz zresztą, jak to przebiega u człowieka? Może ten procent jest wyższy? Nie wolno ci ryzykować! Nie masz prawa!

— Inaczej on umrze. Sama wiesz o tym najlepiej.

— Trudno. To nie twoja wina. Zrobiliśmy przecież wszystko...

— I homosymulator też uważa, że to beznadziejny przypadek. Nie wiadomo, czy go uratujesz, a tak przecież możecie umrzeć obaj.

— I ty masz umierać dlatego tylko, że on się rozbił przez własną głupotę! Absurd!

— To nie ma znaczenia, dlaczego się rozbił. Jestem lekarzem, In.

— No, i co z tego? Czasy wielkich epidemii, gdy lekarz leczył i umierał, a mimo to leczył, to przecież historia. Dzisiaj życie człowieka, twoje życie jest zbyt cenne, byś je narażał.

— Nieprawda! I byłoby bardzo źle, gdybyśmy doszli do tego. Bylibyśmy wtedy jak automaty. Automat nie może wejść do sto su atomowego, nie może w żaden sposób, bo ma układ samozachowawczy. A człowiek może, i dlatego jest człowiekiem.

Nie patrzyła już na niego. Przeniosła wzrok na ekrany, w których wiły się, nakładały na siebie i strzelały w górę igłami impulsów krzywe.

— Kto poprowadzi zabieg? — zapytała.

— Ja.

— Sam?

— Tak. Ja sam.

„Czy ona rzeczywiście sądzi, że z tą jedną elektrodą w mózgu nie potrafię operować? Przecież elektrody się w ogóle nie czuje”.

— Przygotuję ci automeda — powiedziała.

— In? — Tolew zawołał ją z ekranu telewizofonu — In, ten chłopak nie mógł dłużej czekać i poleciał z powrotem na Szósteego Satelitę. Prosił mnie, żebym ci powtórzył, że lecicie na Marsa. Jego kierownictwo zgodziło się...

„Więc na to ona czekała — pomyślał Far. — W marsjańskich bazach są homosymulatory...”

— Dobrze. Dziękuję — powiedziała In, ale nawet nie spojrzała na Tolewa.

Wstała i podeszła do automatu.

— Przygotuję ci automeda i możemy zaczynać. Poza tym wezwałam Rona. On założy ci elektrodę.

„Nacisnęła przycisk alarmowy i Ron tu zaraz będzie — pomyślał Far. — Tak zawsze było. Nigdy nie potrafiłem przewidzieć, co ona robi... Oczywiście, Ron biegnie teraz korytarzami z drugiego końca szpitala i myśli, że nie wiadomo, co się stało”.

Gdy Ron wpadł do gabinetu, In nie dała mu dojść do słowa.

— Zaimplantujesz Farowi elektrodę w ośrodek oddechowy, to pilne, dlatego cię alarmowałam — powiedziała.

— Elektrodę? Farowi? A cóż mu się stało?

— Transmisja pozaneuronowa, pobudzenie nieczynnego ośrodka impulsami przekazywanymi z ośrodka zdrowego. Jak w waszym doświadczeniu...

— Ależ Far...

— Nie dyskutuj z nim, Ron. To mamy już za sobą. Załóż mu elektrodę.

Far skinął głową.

— Załóż?— powiedział.

— Jak chcesz, ale wiesz przecież...

— Wiem. Zastanowiłem się już dokładnie.

Ron znowu spojrzał na In.

— Dobrze — zgodził się. — Wejdz, Far, do zapasowej kabiny. To nie będzie nic bolało — dodał, jakby miał przed sobą pacjenta.

Kabina była mała.

„Nigdy nie przypuszczałem, siedząc tam na zewnątrz, że jest naprawdę tak mała” — pomyślał Far.

Stół operacyjny, prostokątny, biały, jak ten, na którym leży chłopiec, wielka jarząca się lampa i tyle tylko miejsca, żeby się można było położyć na stole.

Położył się i został momentalnie okryty białym kokonem. Automed przycisnął mu lekko głowę.

„To elektroda anestezyjna” — zdążył jeszcze pomyśleć, a potem przyszło krótkie zamroczenie. Krótkie tylko dla niego, bo naprawdę minęły minuty, zabieg został wykonany i w ośrodku oddechowym jego mózgu tkwiła już elektroda. Kokon znikł. Podniósł się i poczuł, że na głowie ma hełm. „Ten hełm jest teraz częścią mojej czaszki — pomyślał. — Są tam wzmacniacze, małe błyszczące kryształki, o zwichrowanej przedziwnie siatce atomów, które uchwycą impulsy z elektrody, z ośrodka, wzmocnią je, a potem przekażą przewodom biegnącym w głąb czaszki chłopca”.

Wyszedł z kabiny i podszedł do pulpitu sterujących.

— Może ja jednak zrobię ten zabieg — powiedział Ron.

— Nie! — Far siadł przed ekranem i patrzył przed siebie.

— Far, co ci się stało? — In położyła mu rękę na ramieniu.

— Nic. Idź do homosymulatora i przejdź na kontrolę. Zaraz zaczynamy.

Odeszła do automeda.

„A potem odleci na Marsa — pomyślał Far. — Będę dostawał wideożyczenia na Nowy Rok, wideożyczenia z czerwoną marsjańską pustynią, gdy u nas będzie zima i będzie padał śnieg. A potem nic już nie będę dostawał, bo przecież życzeń nie wysyła się wiecznie. A przy homosymulatorze siądzie jakiś inny chłopak czy dziewczyna i będzie mi przy operacji odpowiadał: „Jest kontrola...”

— Jest kontrola — powiedziała In znad pulpitu sterowania.

Far powiększył obraz i znowu widział porozrywaną miejscami skórę czaszki chłopca. Potem nacisnął odpowiednie wyzwalacze automeda i nie było już ani skóry, ani czaszki, tylko w ekranie

pulsował siatką żył i tętnic perłowoszary mózg.

Wyłączył autopulsmomat i myślał już tylko o szarych tkankach w ekranie rozsuwanych przez elektrodę szukającą ośrodka. Gdy wiedział, że znalazł ośrodek, zamknął obwód łączący jego mózg z tamtym. Podświadomie czekał na ból, ale nic nie poczuł.

— Drgnęły... mięśnie drgnęły — powiedziała In, ale patrzyła cały czas na Fara.

„A więc trafiłem. Jego ośrodek zareagował i jego mięśnie drgnęły... — pomyślał Far. — Teraz mała poprawka”. Przesunął elektrodę o ułamek milimetra.

— Lepiej... teraz lepiej. — In wstała i podeszła do Fara. — Jak ty?

— Wracaj do pulpitu! — powiedział.

Tak, mięśnie poruszały się, wyraźnie zwiększając objętość płuc chłopca. Czekał teraz, by pobudzony ośrodek przejął pracę.

— Zobacz w ekranie rozkład napięć w komórkach jego ośrodka.

— Były jakieś rozbłyski, ale czekaj!... — pochyliła się nad ekranem. — Tam jest jakiś przebieg napięć!

Far rozwarł obwód i impulsy z jego mózgu nie płynęły już przewodami. A jednak tam, w ekranie, widział chybotliwą, nierównomierną pulsację.

— Od... oddycha — powiedział.

— Oddycha, naprawdę oddycha — powtórzyła In i wpatrywała się w ekran, jakby pierwszy raz zobaczyła taki przebieg. — On będzie żył, Far.

— Gratuluję, udało się! — powiedział Ron. — Przekaż teraz jego nowe parametry homosymulatorowi, In, a ty, Far, wracaj do kabiny.

I znowu Far leżał w małej kabinie na białym stole, pod ogromną lampą, a gdy stamtąd wyszedł, zobaczył równomierny rytm oddechu w jednym z ekranów homosymulatora i chyba był szczęśliwy.

Spojrzał jeszcze na In i Rona pochylonych nad pulpitemi, potem wyszedł z gabinetu. Zespawana przez automeda czaszka bolała go trochę, ale nie zwracał na to uwagi. Kamiennymi schodami zszedł na helidrom. Deszcz przestał padać i w nierównościach płyty błyszczała woda. Far ruszył na ukos ku kolorowym helikopterom. Był już przy nich i widział drobne krople wody zawieszane na śmigłach. „To była najtrudniejsza operacja naszego zespołu — pomyślał. — Szkoda, że ostatnia...”

Odwrócił się ku budynkowi i wtedy zobaczył In. Przeskakując kałuże, biegła w jego stronę przez szarą płytę helidromu.

# CEREBROSKOP

Historia zaczęła się, gdy profesor Pat wrócił z układu Syriusza. Zaraz po powrocie rozpoczął wykłady z elementów cybernetyki na naszym kursie. Był to mały człowieczek z kruczoczną, krótko przyszywaną czupryną, miotający się z niespożytą energią przed pulpitami wideotronów. Z Syriusza przywiózł czarną emulsję ochronną na swych gałkach ocznych i nie usunął jej na Ziemi, tak że twarz jego była trochę bez wyrazu, jak twarze androidów. Na Syriuszu emulsja ta chroniła wzrok od ultrafioletowego promieniowania tej gwiazdy, na Ziemi nie miała oczywiście żadnego zastosowania i była nieco szokującym uzupełnieniem twarzy profesora. Oprócz tego Pat przywiózł diotona, okaz tamtejszej fauny. Hodował go w ogromnym, przezroczystym, wypełnionym amoniakiem kloszu, zajmującym połowę gabinetu. Dioton unosił się zwykle nieruchomo pod sklepieniem więzienia, przypominając wielki sinoczerwony liść. To właśnie odróżniało gabinet Pata od dziesiątków innych gabinetów, odwiedzanych przez nas w różnych okolicznościach podczas studiów. Lecz profesor stał się powszechnie znaną postacią z innego zgoła powodu. Mianowicie, przywiózł z Syriusza nową metodę egzaminowania studentów. Sposób genialny i bezwzględnie obiektywny, jak twierdził sam Pat; ponure nieporozumienie, zdaniem studentów.

— Moi drodzy — powiedział nam profesor na swym inauguracyjnym wykładzie — w naszej pracy nie jest istotne, co się pamięta, od tego są mnemotrony i inne akumulatory informacji. Ważny jest sposób myślenia. To i tylko to zadecyduje o waszych osiągnięciach w przyszłości. Dotychczas, niestety, sprawdzane były tylko wasze wiadomości. A do czego to prowadziło? Do bezkrytycznej wiary w wyniki podawane przez automaty. Do braku chęci, a nawet możliwości analizy tych wyników. Znany jest wam zapewne eksperyment docenta Ramtona, przeprowadzony na stu waszych kolegach, którym dano do rozwiązania proste, pamięciowe niemal zadanie na celowo błędnie wysterowanym automacie. Co się wtedy okazało? Dziewięćdziesięciu sześciu nie zauważyło w ogóle pomyłki, trzech stwierdziło, że gdzieś w obliczeniach jest błąd, lecz tylko jeden „podał prawidłową odpowiedź, zapytując o nią umieszczony obok automat, który przez pomyłkę zapomniano wyłączyć z sieci. Nie wierzę, abyście wy, semantycy programujący skomplikowane układy myślące, tego nie potrafili. Punkt ciężkości zagadnienia leży gdzie indziej. Ten stan rzeczy to nie wasza wina. Przez szereg lat przyzwyczajano was do tego, że między pamiętaniem a znajomością zagadnienia nie ma żadnej różnicy. Lecz to wynikało tylko z niemożliwości rozgraniczenia tych dwu rzeczy. Egzaminator nie mógł przeniknąć do waszych głów i stwierdzić, kto z was umie, a kto pamięta. I tu, na tym konserwatywnym globie, gdzie tradycja hamuje niemal wszelki postęp, wszyscy się z takim stanem rzeczy pogodzili. Ale świeży powiew myśli, jak wielokrotnie w historii, przybył z zewnątrz... — tu chwilę zawiesił głos — tak, właśnie z układu Syriusza. W wyniku wieloletnich prób wynaleziono tam automat — cerebroskop. Urządzenie to odczytuje myśli egzaminowanego, analizując prądy czynnościowe jego mózgu, wynikłe z pobudzenia pytaniem egzaminatora. Następnie porównuje otrzymany odczyt z informacją z mnemotronów. W wyniku tego ocena jest stuprocentowo obiektywna i bezbłędna. Cały proces zostaje zapisany w pamięci cerebroskopu i może być przedstawiony graficznie jako cerebrogram. Przykładowo pokażę wam taki zapis.

Przyćmił światła, i ekran wideotronu, zajmujący całą niemal przestrzeń nad głową Pata, zajaśniał szarą poświatą. Pośrodku pojawiła się czarna, jednostajna linia. Automat nie odbierał widocznie żadnych impulsów

— Nic nie widać — odezwały się głosy z tyłu audytorium.

Pat chciał coś odpowiedzieć, lecz uprzedził go tubalny szept z przodu:

— Przecież to wykres pracy mózgow twórców cerebroskopu.

Audytorium ryknęło śmiechem Zanim się uspokoiło, na ekranie krzywa sfałdowała się i ostrymi szczytami podniosła do góry.

— Jest to cerebrogram bardzo przeciętnego osobnika. Bywają o amplitudzie trzy lub czterokrotnie większej — objaśnił Pat, gdy się tylko dostatecznie uciszyło na sali.

— Nasz kurs nie spali bezpieczników automatu...

Tym razem Pan śmiał się także.

Śmiejąc się powitaliśmy to urządzenie na naszej uczelni, chociaż już wtedy podejrzewaliśmy pewne kłopoty w przyszłości, lecz to, co działo się przy egzaminach, przeszło najbardziej pesymistyczne prognozy.

— Bracie — opowiadał mi Kew, mały, rudy Australijczyk, który zgnębiony po oblanym egzaminie, przez dwa dni latał rakieta wokół Ziemi po wydłużonej elipsie. — ...Bracie, przychodzisz, a tu dwu asystentów Pata łapie cię za ręce i ani się obejrzyysz, a już siedzisz w kabinie. Na głowę nakładają ci hełm. Ciasno, ruszyć się nie można, wszędzie wystają przewody, bo ten cerebroskop to przecież prowizorka. Śmierdzi rozgrzaną izolacją, gdzieś nad uchem stukają ci przekaźniki, i klimatyzacja od czasu do czasu dmucha w nos żywicznym powietrzem. Założyli ją, bo zgodnie z przepisami bezpieczeństwa i higieny nauki, bez tego egzaminu urządzić nie wolno. Potem Pat mówi: „Uwaga...” Patrzysz się jemu w gębę z tymi czarnymi oczyma wprost przed tobą w ekranie, a on dwa razy powtarza: „Zadam teraz pytanie i po ostatnim słowie włączam automat”.

Przez cały czas przed nosem pali ci się zielone światło, a gdy skończysz mówić, zapala się czerwone. Zaczynasz wtedy myśleć o wszystkim, co wiesz na temat pytania, i to jak najlogiczniej. Potem, gdy już o wszystkim pomyślałeś, naciskasz klawisz z napisem „Koniec”, i wyciągają cię z kabiny. Uważaj tylko, żebyś dobry klawisz nacisnął, bo Rim się pomylił i kopnęło go dwieście wolt. Wiadomo... prowizorka... a jak pomyślisz przypadkiem, że nic nie wiesz, tak z pierwszej emocji, to, żebyś nawet coś wiedział, automat wyłącza się i koniec. Pat prosi następnego. „Odpowiadacie za swoje myśli” — mówi przy tym.

Z zespołu Kewa zdało tylko kilku. Najlepiej ci, którzy nauczyli się całego przebiegu rozumowania na pamięć. Byli tacy, co myśleli sami. Wtedy automat brzęczał, mrugał światłami, opóźniał, jakby się nad czymś zastanawiał, aż wreszcie z wysiłkiem podawał wynik, nie zawsze pozytywny. Pat twierdził, że przy bardziej skomplikowanych zagadnieniach ma trudności z kojarzeniem.

— Starajcie się myśleć po prostu, jak najprzystępniej, jakbyście problem tłumaczyli na przykład poecie, który nawet analizę matematyczną zapomniał.

— Tak, ale poeta mimo wszystko może nic nie zrozumieć.

— Dobrze, dobrze, ale przecież cerebroskop to nie żaden poeta, tylko porządny automat. Dobrze wytłumaczcie, to na pewno zrozumie.

Tak więc jedni widać tłumaczyli dobrze, inni źle. Ja na wszelki wypadek postanowiłem cerebroskopowi na razie nic nie tłumaczyć i poczekać z egzaminem do jesieni. Tym bardziej, że pogoda była piękna i wolałem łapać wiatr w żagiel na jeziorze, niż minimalnie zwiększać prawdopodobieństwo zdania egzaminu, ślęcząc nad ekranami w chłodnym zaciszu bibliotek. Podobnie myślał Tor. Mieszkaliśmy we trzech w słonecznym pokoju na dwunastym piętrze szarego wieżowca. Okna nasze wychodziły na jezioro spiętrzone szarym łukiem tamy. Tam właśnie w podmuchach wiatru przesuwwały się na tle zielonych wzgórz żagle.

Wan, ostatni z naszej trójki, twierdził, iż widok ten przeszkadza mu w myśleniu, i włączył pole rozpraszające światło w oknach, a wtedy odnosiliśmy wrażenie, że nagle nadpłynął biały obłok i otoczył nasz wieżowiec.

Faktem jest, że Wan rzeczywiście intensywnie myślał. Nie kto inny, tylko on właśnie wymyślił



metodę wygaszania fal asystentów podczas ćwiczeń w próżni ponad atmosferą i nadawania w ich imieniu bardziej pochlebnych opinii o nas do automatów sumujących. On właśnie tak zrezygnował z palce analizatora kontrolnego w czasie egzaminów, że nim automat po wielu pomyłkach podawał wreszcie prawdziwy wynik, był on już sprawdzony dwukrotnie przez nasze podręczne automaty.

Gdy wieczorem, nagrany słońcem, wróciłem do pokoju, Tor męczył automat monotonnym pytaniem „kocha”, „nie kocha”, wyciągając coraz to nowe aspekty. Automat był wyraźnie przeciążony i palił czerwone światło alarmu, co zresztą bynajmniej nie zrażało Tora. Wan leżał na łóżku z zamkniętymi oczyma i rękoma pod głową. Okna pokoju matowiały bielą.

Chciałem się właśnie zabrać do oglądania ostatnich wydarzeń w wizotronii, gdy nagle Wan zerwał się z łóżka:

— Mam, znalazłem...!

Spojrzałem ku niemu, a Tor z wahaniem wyłączył automat.

— Pytanie pierwsze — głos Wana brzmiał uroczyście. — Czy zdacie egzamin u Pata?

— Nie — odpowiedziałem.

— Chyba nie — powtórzył Tor.

— Zero dla obu — zawyrokował Wan w stylu cerebroskopu. — Właśnie że zdacie.

Tor wzruszył ramionami. Chciałem o coś zapytać Wana, ale nie dał mi dojść do słowa.

— Nie przeszkadzaj. Pytanie drugie. Jak długo będziecie się musieli uczyć?

— Minimum dwa tygodnie — odpowiedział po chwili Tor.

Skinąłem głową.

— Znowu zero. Ani chwili.

— Dobrze, ale jak...

— Czekaj. Pytanie trzecie. Jak nazwalibyście człowieka, który by wam powiedział, jak to zrobić?

— Geniuszem.

— Obrońcą uciśnionych.

— Jeden — stwierdził Wan. — Tym człowiekiem jestem ja. Należne mi tytuły wypiszcie drukowanymi literami na werbografie i powieście nad moim łóżkiem. Otóż idea jest tak prosta, że aż dziwię się, iż nikt na to poprzednio nie wpadł. Zastanawialiście się, z czym cerebroskop porównuje uzyskane od nas informacje?... z wiadomościami nadchodzącymi z mnemotronów. Wystarczy więc podłączyć się do falowodu, zebrać informacje i przekazać je na urządzenie nadawcze o mocy naszego mózgu. Zostaną one zarejestrowane jako odpowiedź na problem. Jeśli sam w tym czasie nie będziesz myślał, odpowiedź będzie stuprocentowo trafna. I co wy na to?

— Pomysł doskonały, ale do realizacji potrzebna jest przecież znajomość budowy cerebroskopu. Skąd się tego dowiesz? Przecież w żadnym z naszych mnemotronów nie ma nawet wzmianki na ten temat.

— To jest raczej trudność techniczna, nie umniejszająca wielkości idei...

— Trzeba ją jednak rozwiązać.

— Pomyślałem o tym. Budowę automatu poznamy w czasie dyżuru Maxa.

— Ależ on nie pozwala nawet zbliżyć się do urządzenia. Chodźmy tam lepiej podczas dyżuru innego asystenta.

— Pozwoli. Ty, Tor, pójdziesz do niego z tymi średniowiecznymi papierkami, znaczkami, tak to się, bodajże, nazywa. Max przepada wprost za nimi. Możesz mu nawet dać kilka z nich. Chodzi o to, żeby nam nie przeszkadzał podczas oglądania aparatury.

— No tak, ale...

— Żadnych ale. Musisz dla dobra ogółu poskromić swą dziwną namiętność do naklejania papierków.

To przekreślało dalszą dyskusję. Do Maxa poszliśmy następnego dnia.

— Co, nie widzieliście jeszcze cerebroskopu? Nie martwcie się, zobaczycie go jeszcze — zaśmiał się zgrzytliwym śmiechem. To było powitanie.

— Widzieliśmy. Nic takiego rewelacyjnego. Trochę przewodów i krzesło pod hełmem. A z bliska obejrzymy go sobie przy najbliższej rozmowie z Patem — rozpoczął Wan.

— A obejrzyjcie, obejrzyjcie — Max zaśmiał się, tym razem już naprawdę nie wiadomo z czego.

Wobec tak doskonale rozwijającej się konwersacji, Wan przystąpił do istoty rzeczy.

— Kolega — tu wskazał na Tora — dostał właśnie z Europy kilka znaczków. Nie wie tylko, z jakiego okresu pochodzą...

— Tak, pokażcie je... — po raz pierwszy ujrzałem na twarzy Maxa coś w rodzaju wzruszenia.

Wan popchnął Tora, który z ociąganiem postąpił ku Maxowi. Ruchem pełnym determinacji wyciągnął album. Max chwycił go, otworzył...

— O, ładne znaczki, bardzo ładne znaczki — słowo „znaczki” przeciągał z lubością. — Na przykład ten brunatny. Dzieło sztuki, no nie? — zwrócił się do nas.

— Oczywiście! — krzyknęliśmy w dwugłosie.

Tor przygnębiony milczał.

— Wspaniałe dzieła starożytnych mistrzów... — mówił Max, popadając w coraz większy zachwyty.

Był już na trzeciej stronie. Zostawiliśmy go pochylonego nad wspaniałymi trójkątami z grzybami i podeszliśmy z Wanem do cerebroskopu.

Właz do kabiny był uchylony. Wsadziłem głowę do środka. Krzeselko, hełm, jakieś przełączniki, klawisze, wygaszone światła kontrolne.

— Gdzie tu musi być schemat — szepnął Wan schylając się, by zajrzeć pod krzeselko. — Nie widzę. Tu jest jakaś tablica z gniazdkami. O, jest! — odchylił oparcie siedzenia, pod którym fosforyzował schemat. Przyglądaliśmy się mu obaj w milczeniu.

— Tu, widzisz — palcem wskazałem miejsce na schemacie — należałoby podłączyć przewód.

— Zgoda, ale gdzie to może być w kabinie?

— Nie wiem... Chociaż popatrz. Tu jest centralny dzielnik impulsów. Podłączenie musi być zaraz za nim.

— Dzielnik impulsów masz tutaj — Wan wskazał paraboloidalną bryłę, opalizującą w przyćmionym świetle w głębi pod siedzeniem krzeselka.

— W takim razie podłączymy się chyba tu — dotknąłem płyty z szachownicą włącz.

Nasze przypuszczenia okazały się trafne. W kilkanaście minut sprawdziliśmy wszystko

— Pamiętaj: drugie gniazdko, trzeci rząd, i trzecie gniazdko, piąty rząd. Tylko ich nie pomył!

— Drugie gniazdko, trzeci rząd, trzecie gniazdko, piąty rząd — powtórzyłem.

— Doskonale. Chodźmy już, w przeciwnym razie dorobek życia Tora stanie się własnością Maxa.

Niepostrzeżenie stanęliśmy za nimi. Trójkąty zmieniły już właściciela i właśnie Max przekonywał Tora o bezsprzecznej wyższości rombów, które Tor miał otrzymać w zamian.

— A może byśmy tak obejrzeliby cerebroskop — niespodziewanie z tyłu odezwał się Wan.

Max zamilkł natychmiast i z wolna odwrócił głowę. Patrzył chwilę na Wana.

— Nie, nie można... — powiedział to dziwnie normalnym głosem. Przerwał, milczał chwilę, a potem zwrócił się do Tora: — Weź te trójkąty. Obawiam się, że nie mógłbym znaleźć rombów takich, żeby ci się podobały — powiedział to zupełnie cicho.

Tor aż zarumienił się z radości i zaczął ostrożnie przekładać odzyskane trójkąty z powrotem do swego albumu.

— A teraz idźcie stąd — Max powiedział to stanowczo.

W milczeniu opuściliśmy laboratorium. Wyszliśmy na kamienne schody przed gmachem. Nagrzane czerwcowym słońcem, promieniowały zarem upalnego południa.

— Pójdziemy chyba na przystań — zaproponowałem.

— Nie, pójdziemy do laboratorium podręcznego przygotować prototyp „negcerebroskopu”, jak proponuję nazwać nasz wynalazek.

Poszliśmy do laboratorium i rozpoczęliśmy ciężką pracę. Ciemna głowa Tora tkwiła nieruchomo, pochylona nad ekranami trzech mnemotronów. Wan i ja pracowaliśmy z automatycznym konstruktorem. Podaliśmy warunki ograniczające. Przede wszystkim „negcerebroskop” musiał być tak płaski, by można go było umieścić na elastycznym podkładzie i przypiąć do pleców.

— Rozumiesz, nie może go być w ogóle widać. Jeśli będzie ci coś na plecach wystawało, nie powiesz przecież, że to garb, który ci wyrósł w czasie przygotowywania się do egzaminu... — uzasadniał Wan pierwsze ograniczenie.

Mieliśmy również trochę kłopotu z zasilaniem urządzenia. Proponowałem akumulator w bucie, jednakże zwyciężył projekt Tora — zasilanie układu kosztem cerebroskopu. Ostatecznie na dzień przed egzaminem wszystko było gotowe. Automat nie ważył wiele. Uciskał tylko w łopatki. Z kieszeni wychodziły dwie pary przewodów, które należało włożyć do odpowiednich gniazdek. Ustaliliśmy, że pierwszy zdaje Wan.

Egzamin zaczynał się o dziewiątej. Po ósmej przyszli pierwsi studenci. Ich stalowoszare kombinezony kontrastowały z bladymi, zmęczonymi twarzami. Na ich tle Wan promieniał wprost optymizmem i dobrym samopoczuciem.

— Wan, co się tobie dzisiaj stało? Dostałeś list z Księżycy czy co? — Al, potężny chłopak rodem z Grenlandii, podszedł do Wana i podniósł rękę, by go przyjacielsko klepnąć w plecy.

— Chwileczkę — Wan powstrzymał jego rękę. — W dniu tak uroczystym głaszcz się mnie po głowie.

Zauważyłem zdziwiony wzrok Ala. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zrezygnował jednak i odszedł swym niedźwiedzim, lekko kołyszącym się krokiem.

Kilka minut przed dziewiątą przyszedł, a właściwie wpadł jak zwykle z impetem — Pat. Za nim wyciągając nogi spieszyli Max i jeszcze dwu asystentów. Otworzyli laboratorium, a tymczasem Pat liczył nas, wskazując kolejno każdego palcem.

— Hm... siedemnastu... to do dwunastej powinniśmy skończyć. Czy wiecie — dodał z entuzjazmem — że istnieje projekt, by cerebroskopy stosować przy wszystkich egzaminach? Wspaniałe, nie? — z tym okrzykiem zniknął za drzwiami laboratorium.

— Jak dla kogo. Chyba nie mam już szans na skończenie studiów. Z tymi automatami nie dam sobie rady — Kor, mówiąc te słowa, miał minę beznadziejnie smutną.

— Trzeba się uczyć. Jak się umie, to się zda...

Kor spojrzał z niechęcią na Wana.

— Nie potrafię całymi nocami wkuwać wyprowadzeń na pamięć. Ty rzeczywiście masz teraz duże szansę?

— Oczywiście. Jestem za jak najszerzym wprowadzeniem cerebroskopu. Pomyślcie, jakie perspektywy otwierają się przed nami. W przyszłości każdy student będzie miał dla siebie cerebroskop i będzie mógł, po zapoznaniu się z jakimkolwiek problemem, natychmiast sprawdzić, czy opanował go w stopniu umożliwiającym wyzyskanie go w praktyce...

— Jeśli cerebroskopy zostaną udoskonalone, będzie to idealny sposób uczenia się, ale teraz? Chyba nie mówisz poważnie, Wan, że powszechne wprowadzenie cerebroskopu jest słuszne...

Powiedział to mały, blady, piegowaty chłopaczek, jeden ze zdolniejszych na naszym kursie. Wan chciał coś odpowiedzieć, ale uśmiechnął się tylko, bo nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Pat:

— Proszę, proszę bardzo do środka — wykonał zapraszający ruch ręką. — Będziecie patrzeć, jak myślą wasi koledzy.

Weszliśmy. Automat już pracował na biegu jałowym, rzucając na ekran jednostajną poziomą linię.

— Proszę, kto pierwszy do środka? — dalej zapraszał Pat.

Chwilę staliśmy niezdecydowani. Wreszcie wystąpił Zoo. Po chwili siedział już w kabinie. Pat powtarzał sakramentalne reguły i wreszcie zadał pytanie:

— Jaki jest odpowiednik impulsu jednostkowego w sumie homofilarniej?

Po zadaniu pytania Pat nacisnął klawisz i krzywe wystartowały. Zoo zgodnie z instrukcją nic nie mówił, w myśli rozwiązując problem. Światła zapalały się i gasły. Krzywe wiły się leniwie. Przez kilka minut panowała zupełna cisza. Szczękały tylko przerzucane przełączniki. Przez przezroczysty wykrój kabiny widzieliśmy twarz Zoo. Zamknął oczy i myślał z wysiłkiem. Czasem tylko nieznacznie poruszał wargami, jakby coś szeptał do automatu. Wreszcie wolnym ruchem wyciągnął rękę i zatrzymał automat. Pat postawił następne pytanie, potem jeszcze jedno. Wreszcie Zoo, z kroplami potu na czole, wyszedł z kabiny.

— Otrzymałeś dostateczny, ale minimalną ilość punktów — stwierdził Pat po odczytaniu wyników. — Jak on tam odpowiadał? — zwrócił się do Maxa. — Ze swego miejsca widzisz, które informacje nadchodzące z mnemotronu są zgodne z jego wypowiedziami.

— Wydaje mi się, że odpowiadał nieźle — zawyrokował Max po krótkim namyśle.

— No więc masz trzy... — powtórzył Pat.

Zoo odwrócił się nagle i wyszedł, nie żegnając się z nikim.

Następny zdawał Wiber. Po drugim pytaniu wyskoczył z kabiny.

— Przepraszam, ale nie będę zdawał w tym automacie. To niesprawiedliwe. On analizuje myśli, których nigdy bym nie wypowiedział...

— Kolego, uspokójcie się. Jesteście zdenerwowani — Pat przemawiał do Wibera tak, jak mówi się do chorego.

— Profesorze, pod pewnym względem Wiber ma rację — Max przerwał Patowi. — Podłączony do analizatora, widzę przecież jego myśli. Człowiek nie jest w stanie idealnie skupić się na temacie.

Istnieją zawsze myśli uboczne, czasem nie nadające się do publikacji ze względu na bliźnich — Max urwał i zaśmiał się skrzekliwie.

Pat spojrział na niego, lecz cokolwiek wyrażały jego oczy pod osłoną emulsji, twarz pozostała niezmienną. Potem odwrócił się do Wibera.

— Proszę do środka, będziemy kończyć egzamin.

— Nie będę zdawał w tym automacie.

— Kolejo, naprawdę uspokójcie się i przyjdźcie na końcu albo jutro... Kto następny? — zwrócił się do nas, kończąc tym samym dyskusję.

Wtedy wystąpił Wan. Zniknął w kabinie. Pat powiedział to, co zwykle, a potem zadał pytanie. I wtedy zaczęło się.

Światła zapłonęły, przygasły. Krzywe rozpędziły się na ekranach, zmieniając błyskawicznie kształty. Nie zdążyliśmy ochłonąć ze zdumienia, gdy zamarły w bezruchu. Odpowiedź była skończona.

Pat stał długą chwilę, wpatrując się z niedowierzaniem w ekrany, wreszcie podjął decyzję i zadał

następne pytanie. Znowu pomknęły krzywe i wynik pojawił się po kilkunastu sekundach. Pat skoczył ku kabynie. Bałem się, czy Wan zdążył odłączyć się od cerebroskopu.

— Kolego, jesteście geniuszem! — zawyrokował Pat z emfazą. Wan skromnie spuścił oczy. — Nie widziałem nigdy nic podobnego ani na Syriuszu, ani na Ziemi. Nigdy nie przypuszczałem, że wśród moich studentów kryje się taki demon myśli.

Oprócz nas dwu wszyscy patrzyli na Wana ze zdumieniem pomieszanym z odrobiną lęku.

— Niewiarygodne — powtarzał Pat. — Czegoś ty dotychczas dokonał, człowieku!

— Nic... zdobywałem wiedzę.

— To prawda, że i Einstein na politechnice nie błyszczał... ale taki umysł, jak twój... Nie do wiary!

Wan zawahał się.

— Przepraszam, profesorze, to był dla mnie kolosalny wysiłek myślowy. Czy... zdałem?

— Oczywiście, bardzo dobrze. Niemal maksymalna ilość punktów.

— Czy mógłbym w takim razie odejść? Chciałbym chwilę odpocząć.

— Ależ oczywiście, idź. Należy oszczędzać tak wspianiały instrument, jakim jest twój mózg.

Wyszedłem z Wanem. W drzwiach słyszałem jeszcze słowa profesora:

— ...no i widzicie. Cerebroskop może służyć również do odkrywania geniuszy.

Zacząłem się zastanawiać, co będzie, jeśli trzech geniuszy myśli zostanie odkrytych na jednym egzaminie. Ale odpowiadać musiałem. Nie miałem wyboru. Zresztą wypadki potoczyły się szybko. Wan ubrał mnie w „negcerebroskop” i wszedłem powtórnie do laboratorium. Stanowczo za bardzo się denerwowałem. Czuję, że moje kolana są jak z waty, w myśli nieustannie powtarzałem „drugie gniazdko, trzeci rząd, trzecie gniazdko, piąty rząd”. Niby przez mgłę słyszałem, jak zdawał Al, jak Pat bez przerwy rozwodził się nad geniuszem Wana. Wreszcie przyszła moja kolej. Wskoczyłem gwałtownie do kabiny, zatrasnąłem właz, wyjąłem wtyczki z kieszeni i nagle zrozumiałem, że nie przypominę sobie numerów gniazdek. Zrobiło mi się gorąco. Za chwilę padnie pierwsze pytanie. Jeszcze chwila. Nic nie mogę sobie przypomnieć. To chyba było drugie gniazdko, trzeci i rząd i trzecie gniazdko, czwarty rząd. Tak, chyba tak, zresztą nic innego nie wymyślę. Jak najszybciej włożyłem wtyczki w gniazdko, rozparłem się w fotelu i wdychając żywiczne powietrze, westchnąłem z ulgą. Teraz odpowiedź przyjdzie sama, tylko nie można o niczym myśleć.

Pat monotonnie powtarzał swoje formuły. Nie słuchałem nawet. Egzamin tak jakby już zdany. Dwa miesiące wakacji, woda, żagle... Wyobraziłem sobie jaskółki szybujące nad wodą, niemal dotykające jej powierzchni... Nagle spostrzegłem, że pali się już światelko odpowiedzi. Chyba wszystko w porządku. Automat trząskając przełącznikami. Wtem wszystko ucichło. Przez przezroczysty wykrój zobaczyłem, jak moi koledzy zataczają się ze śmiechu. Coś się stało. Wskoczyłem z kabiny,

— ...to, że jaskółki są kręgowcami i w jaki sposób budują gniazda, to chyba nie semantyka — perorował Max.

Jeden Pat się nie śmiał. Milczał, czerwony z gniewu.

— Chyba automat uszkodzony — powiedziałem niepewnie.

— To geniusz Wana zniszczył cerebroskop — podsunął ktoś z boku.

— Przeciążył go widocznie — dodał inny głos z głębokim przekonaniem.

— Na uszkodzonym automacie nie będziemy zdawać.

— Właściwie nie wiadomo, czy od początku dobrze działał... Ben umiał przecież zupełnie dobrze, a oblał...

Fala głosów podnosiła się z wolna. Pat stał teraz blady. Coraz więcej spojrzeń kierowało się ku niemu. Wreszcie przemówił:

— Bardzo was przepraszam. Oczywiście wszystkie oceny są anulowane. Nie można decydować o wiadomościach studentów na podstawie tak zawodnie działającego urządzenia — mówił cicho, beznamyślnie. Z jego dotychczasowej energii nie zostało nawet śladu. Stał sam na uboczu, podczas gdy studenci ze śmiechem opuszczali salę.

— Kretyński geniuszu — powitał mnie Wan — wiesz, co zrobiłeś? Podłączyłeś się bezpośrednio do dyspozytorni cerebroskopu i sterowałeś go własnymi myślami. On wybierał informacje o zagadnieniach przez ciebie pomyślanych, a reszta szła tak, jak przewidywaliśmy. Powiedz szczerze, myślałeś o jaskółkach?

— Tak.

— To wyjaśnia wszystko. No, sądzę, że Pat nigdy nie wznowi swych prób po takiej kompromitacji — Wan zaśmiał się. — Zresztą zobaczymy.

Historia ta pozostała naszą tajemnicą. Minęło od tego czasu już parę lat i dzisiaj kończymy studia. Na Wana ciągle jeszcze patrzą podejrzliwie i pokazują go pierwszorocznym.

— To ten, który myślał szybciej niż cerebroskop...

A Pat przez ostatnie lata egzaminuje tak jak inni, ale niedawno słyszałem, że sprowadza z układu Syriusza nowy udoskonalony model cerebroskopu. Nam on w każdym razie już nie grozi. Niech się martwią przyszłe pokolenia studentów.

# STRZAŁ INFORMACJI

Katastrofa nastąpiła nagle. Aerolot nie osiągnął Oazy Einsteina. Lewa dysza pękła rozerwana potężnym wybuchem i jej odłamki pomknęły jak rój rozżarzonych meteorów w dół ku czerwonej pustyni. Card zrozumiał to w ułamku sekundy, gdy zapłonęły światła alarmu. Automaty zanotowały położenie. Aerolot jak rzucony oszczep dobiegał końca drogi. Pamięta, że na północy pustynia pocięta jest wąwozami, nacisnął więc stery, by zmienić kierunek lotu na bardziej zachodni. Tam jednak także teren się fałdował. Czerwone pagórki jeden po drugim przesuwały się szybko w dolnym ekranie, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze. Zablokował stos, aby uniknąć wybuchu, i zaraz potem przyszło pierwsze uderzenie, właściwie delikatne muśnięcie. Zawadzili o wierzchołek pagórka. Chwila ciszy i opancerzony dziób aerolotu z potężnym łoskotem rozniósł piaszczystą wydmy. Czuł siłę bezwładności wyrrywającą go z fotela, napinającą pasy do granic wytrzymałości. Krew w żyłach stała się ciężka, ujrzał jeszcze strzałkę deceleratora przekraczającą pole alarmu i stracił przytomność.

...Jednak żył. W pierwszej chwili zdziwił się nawet z tego powodu. Potem spojrzał w tylny ekran i zrozumiał. To nie były skaliste pagórki, tylko ruchome piaski przesuwane wiatrem.

— Mieliśmy szczęście — wyszeptał. — Loo, słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi. Musiał wykonać bolesny skręt głową, by dojrzeć miejsce Loo. Najpierw zobaczył rękę. Zwisiała bezwładnie wzdłuż poręczy. Nie zważając na ból, uniósł się w fotelu. Wtedy ujrzał twarz nieruchomą jak maska.

— Loo... Loo, odezwij się, żyjemy, Loo... — Odpiął pasy i przytrzymując się fotela, podszedł do Loo. Wziął go za rękę i wtedy wyczuł słaby, nitkowaty puls. Postąpił tak, jak nakazywała instrukcja. Zataczając się z wysiłku, podciągnął automeda i oparty o jego chromowaną powierzchnię patrzył, jak przyssawki przywarte do piersi Loo wprawiają ją w jednostajny monotony ruch i tlen z sykiem tłoczony jest do płuc. Po chwili Loo poruszył głową, jakby chciał wyrzucić z ust przewód z tlenem, a potem wolno otworzył oczy.

— ...jedenaście... — wyszeptał.

— Co jedenaście?

— ...jedenaście g przekroczyliśmy przy uderzeniu... widziałem na decelometrze...

— Do diabła z deceleracją... wylądowaliśmy, to najważniejsze.

Loo chciał się uśmiechnąć, ale jego twarz zmieniła tylko odcień grymasu.

— Card, zabierz to — ruchem głowy wskazał automeda. Chciał się poprawić w fotelu:

— ...ou... noga — krzyknął prawie. Noga Loo, nienaturalnie skrzycona, utknęła wśród dźwigni.

Card przykląkł i chwyciwszy but skafandra Loo, wyjął ją stamtąd.

— ...ou... uważaj, boli — jęknął Loo.

— Skręciłeś nogę. Mogłeś zresztą równie dobrze rozbić sobie głowę, więc nie ma co rozpaczać.

— Nie rozpaczam, tylko to naprawdę boli...

— No, teraz już lepiej. Czekaj, wezwiemy koleopter z bazy.

Odwrócił się ku radioautomatowi. Wtedy zobaczył wspornik wyrwany z fotela Loo. Jego stożkowaty koniec rozbił ekran i zegary, wbijając się do połowy swej długości w głąb urządzenia.

— Co się stało, Card?

— Radioautomat rozbity. Będą nas szukać na ślepo.

— Znajdą?

Card wzruszył ramionami.

— Nie jestem jasnowidzem — mruknął niechętnie.

— Jak daleko leżymy od trasy? — w głosie Loo odczuł niepokój.

— Zastanawiam się właśnie nad tym. — Raz jeszcze w myśli powtórzył rozumowanie. Wysokość w momencie skrętu, szybkość, promienie skrętu... — Nie, nie znajdują. W każdym razie jest to bardzo mało prawdopodobne...

— Więc?

— Więc musimy dojść do nich, to jasne. Mamy do trasy jakieś pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt kilometrów.

— Tak, ale moja noga?

— Usztywnimy ją. Jeśli nie będziesz mógł iść, to cię poniosę.

— Card, słuchaj. A może byłoby lepiej, gdybym tu został. Ty pójdziesz sam i wrócisz z nimi, sprowadzisz pomoc...

Card odwrócił się, podszedł do fotela Loo. Stał nad nim i spojrzał mu wprost w oczy.

— Uczono cię, chłopcze, co w razie zderzenia przede wszystkim ulega awarii? — zapytał.

— Stery...

— Dobrze, co jeszcze?

— Anteny, emitery, czasem dysze i...

— No i...?

— Filtry...

— Tak, filtry powietrza. Możesz to zresztą sam sprawdzić w naszym wypadku. Widzisz to czerwone mrugające światełko w trzecim rzędzie drugiego bloku? Ono właśnie mówi: „Filtry powietrzne zniszczone”. Zobaczysz zresztą, że wkrótce zaczną wzrastać stężenie dwutlenku węgla w kabinie.

— No, ale jest jeszcze tlen w skafandrach planetarnych.

— Na czterdzieści osiem godzin, nie więcej.

— Idąc sam, daleko szybciej osiągniesz trasę, w kilkanaście, najwyżej dwadzieścia godzin.

— Jesteś optymistą. Zapominasz o obojętności wszystkich rowów tektonicznych, tych... dolin.

— Niech będzie trzydzieści. Zawsze jeszcze zdążysz wrócić po mnie.

— Czy naprawdę sądzisz, że aeroloty z milczącymi radioemiterami znajdują się w parę godzin?

— No, ale w kilkanaście...

— Powiedzmy w kilkadziesiąt. Więc rzeczywiście, znajdujemy w końcu ten aerolot, a wewnątrz ciebie zupełnie uduszonego. Tobie już wtedy będzie wszystko jedno, ale mnie nie. Co prawda, powtarzając tylko twoje argumenty, przekonam wszystkich, że podjąłem jedyną możliwą decyzję. Wszystkich z wyjątkiem siebie. A ja chcę mieć spokojną starość, Loo. Czy to ci wystarcza?

Loo milczał. Card patrzył nań jeszcze chwilę, potem odwrócił się, by poszukać listew do usztywnienia jego nogi.

— Card, a jak w ten sposób obaj zginiemy? — Loo mówił teraz zupełnie cicho.

— Cóż, trudno. Latając tu, na Marsie, zawsze należy się liczyć z takim zakończeniem. — Mówiąc to, Card przykląkł, ujął nogę Loo między listwy i ściągnął pasami.

— Musimy już iść, Loo, szkoda marnować tlenu na siedzenie tutaj, a oddychać tym powietrzem już jest trudno. — Nałożył hełm, Loo zrobił to samo i opierając się o Carda podniósł się z fotela.

— Boli? — zapytał Card widząc, jak Loo blednie.

— Trochę — stęknął Loo — ale iść mogę. Podeszli do śluz. Rozwarły się z głuchym łoskotem. Card zeskoczył pierwszy i wyciągnął z włazu Loo. Stali teraz obaj tuż przy panczerzu aerolotu. Czerwona pustynia milczała i w tej ciszy słyszeli szelest piasku pod podeszwami butów. Słońce właśnie zaszło i jak na wszystkich planetach o rzadkiej atmosferze niemal natychmiast zapadł mrok.



Gwiazdy, widoczne tu zawsze, rozbłysły pełnym blaskiem. Noc była wyjątkowo pogodna. Chmury pojawiające się wraz z zachodem Słońca tym razem zakryły niewielką tylko część nieba.

Card spojrzął na dalekie konstelacje, takie same jak na Ziemi, i wybrał kierunek marszu. Loo oparł się o jego ramię i patrzył w mroku na ciemny zarys wydm, ledwie widocznych na tle jaśniejszego nieba.

— Idziemy... — Loo nie drgnął nawet. — Idziemy — powtórzył Card i dotknął jego ramienia.

— Tak, idziemy — powtórzył bezmyślnie Loo. — Na Ziemi nawet wydmy wyglądają inaczej — powiedział nagle.

Card wzruszył ramionami. W ciemności można było rozróżnić zaledwie kontury. Przeszli wzdłuż pancierza aerolotu, minęli czarne, martwą pustką ziejące dysze i dalej była już tylko pustynia. Piasek skrzypiał miarowo pod ich butami. Loo musiało być ciężko, bo coraz mocniej opierał się o ramię Carda.

— Na Ziemi noc nigdy nie jest tak czarna... — znowu zaczął Loo.

— Na Ziemi byłoby ci znacznie ciężiej iść — przerwał Card — tutaj nie ważysz nawet połowy.

Card czuł, jak jego oddech ulega przyspieszeniu, męczył się. Pomyślał, że właściwie nie jest już taki młody. Przy ostatnim przeglądzie pilotów uznano go za zdrowego, lecz co będzie przy następnym? A może nie ma się co martwić. Może więcej przeglądów już nie będzie...

— Zimno mi — usłyszał głos Loo.

— Włącz ogrzewacze.

— Pomóż, nie mogę się schylać.

Rzeczywiście zimno stawało się coraz dotkliwsze. Temperatura opadała gwałtownie i izolacja skafandra przestała wystarczać. Włączył ogrzewanie Loo i swoje, a potem ruszyli dalej. Teren fałdował się coraz bardziej i raz po raz wdrapywali się na łagodne stoki wzgórz. Ostatnie poblaski zachodu znikły, tak że nawet nie rozróżniali konturu wierzchołka wzgórza. Czasem tylko tuż pod chmurami błysnął meteor, pozostawiając ledwo widoczną smugę w atmosferze planety.

Szli może ze dwie godziny. Loo coraz bardziej tracił siły i przez ostatni kilometr Card włókł go właściwie za sobą. Nie zwracał uwagi na drogę, tylko od czasu do czasu patrzył ku gwiazdom, by zachować kierunek. Wtem tuż nad uchem usłyszał ochrypy szept Loo.

— Spójrz tam... ośmiornica.

Zerwał reflektor, zapalił. Zobaczył marsjańskie rośliny. Czyżby więc Loo majaczył? Rośliny rosły jedna przy drugiej, splecione łodygami, tworząc nieprzebyty gąszcz.

Poszli wzdłuż lasu, aż wreszcie znaleźli przejście. Było wąskie i pięło się wśród kamieni w górę. Rośliny rosły teraz z rzadka, a potem zniknęły w ogóle. Jeszcze kilka kroków i doszli do miejsca, gdzie skała pionowym uskokiem opadała w dół. Złożył Loo na skale, a sam podszedł do krawędzi. Biały snop reflektora wydobył z ciemności załomy skalne, lecz nie dotarł do dna. Była to więc dolina — rów tektoniczny o pionowych ścianach, którego dno leży zazwyczaj kilkaset metrów poniżej poziomu równinnego płaskowyżu. Doliny takie Card znał dobrze. Wielokrotnie w dolnym ekranie widział ich ciemne, niebieskawą roślinnością porośnięte, dna. Jutro będzie musiał zejść w głąb tej doliny. Oby zejście w ogóle było możliwe. Stał tak nieruchomo nad krawędzią przepaści, gdy nagle poczuł na ramionach uścisk ramion spychających go w głąb. W samozachowawczym odruchu rzucił się w tył. Upadli, strącając kilka kamieni w przepaść.

— Nie zostawiaj mnie samego... nie zostawiaj mnie, Card — przez szept Loo Card słyszał głuchy łoskot schodzącej w dół lawiny. Jeszcze chwila, dosięgła dna.

— Co się z tobą dzieje, Loo?

— ...nie zostawiaj mnie, proszę nie zostawiaj... — w kółko powtarzał Loo.

— Jasne, że cię nie zostawię. Co ci przyszło do głowy? — równocześnie zastanawiał się intensywnie, co dalej powiedzieć. Nigdy nie umiał i nie próbował nikogo pocieszać. Na szczęście Loo umilkł i leżał spokojnie.

Nagle tam w dole, w głębi doliny, zajaśniał biały błysk wydobywając na moment z mroku wierzchołki skał, a potem nadszedł przeciągły odgłos wybuchu. Card zerwał się i podbiegł do krawędzi, lecz w dolinie znowu był mrok nieprzenikniony, mrok marsjańskiej nocy. Stał już chwilę, intensywnie wpatrując się w ciemność, gdy nagle wydało mu się, że dojrzał w przypuszczalnym miejscu wybuchu słabą fosforescencję. Czyżby to było lotnisko koleopterów... Nacisnął brodą włącznik radiofonu i posłał wezwanie. Czekał, lecz sygnały z automatycznych stacji nadawczych nie nadeszły. Na tych zakresach panowała cisza przerywana jedynie trzaskami zaburzeń. Ale w dole jarzyło się nikłe, niedostrzegalne niemal światło.

— Widzisz ich? — Loo zadał pytanie obojętnym głosem.

— Kogo, Loo?

— No ich, tych co strzelali...

— Przecież na Marsie nikt nie strzela. Tu nie ma do czego strzelać.

— A przecież strzelali...

— To był wybuch, nie strzał.

— Czego wybuch?

— Nie wiem. Może petrografowie...

— A widzisz. Mówię ci, że strzelali. Żaden petrograf nie bierze w nocy próbek skał. To mogła być rakietka świetlna, strzelali informacją, rozumiesz?

— Ale to był wybuch, nie sygnał.

— Może sygnał, tylko silny sygnał...

— To był zwykły wybuch... — powiedział Card.

— Popatrz, Fobos właśnie wzeszedł... — krzyknął nagle Loo.

— Uspokój się, Loo. Co się z tobą dzieje? O czym ty mówisz?

— Nic, Card — Loo mówił już zupełnie spokojnie — tylko nie mogę obojętnie myśleć, że tu zostaniemy, że umrzemy tu, na tych czerwonych piaskach, podczas gdy tam w górze — wyciągniętą ręką wskazał księżyc — ludzie, którzy patrzą... Oni przecież bez przerwy obserwują planetę.

— Więc ten błysk... sądzisz...

— Nic z tego, Card — Loo zaśmiał się. — Przecież ogień z dysz rakiety jest silniejszy od tego wybuchu. Dostrzegą go... nic więcej.

— Ale tam na dole ktoś jest. Wydaje mi się, że dostrzegłem lotnisko koleopterowe.

— Tam już nie ma nikogo. Odezwałby się przecież.

— Jak to już?

— Jeżeli ktoś był, zginął w tym wybuchu. Wiesz, teraz wydaje mi się, że to myśmy do nich strzelali...

— Nie rozumiem.

— Kamieniami... lawina. Wybuch nastąpił w chwilę po lawinie. Jeśli tam byli, odcięliśmy sobie jedyną drogę ratunku. To ja odciąłem...

— Myślisz, że oni zginęli...

— Może w ogóle nie wylądowali. Może to był tylko automat... Ale ja ich nie zabiłem. Nie można budować lotniska tuż pod skałami...

— A może jednak żyją... albo umierają, teraz właśnie, przygnieci skałami... Muszę tam zejść, natychmiast.

— W nocy chcesz schodzić ze skał? Zginiesz, Card. Na pewno. Potem ja. A zresztą to mogła być rakietą, automat albo w ogóle cokolwiek innego, co może wybuchnąć.

— A jeśli to byli ludzie...

— To tylko hipoteza. Pozwól, Card, że zadam ci pytanie. Czy wolno narażać życie dla nie sprawdzonej hipotezy? Zresztą przecież do świtu nie jest tak daleko. Zejdziemy tam rano.

— Jeśli oni jeszcze żyją?

— W wybuchu ginie się od razu.

— Ale kilkanaście metrów dalej umiera się dużo dłużej. Tak, Loo, ja muszę tam zejść. Ten wybuch to przecież przez nas...

— A ja?

— Zostań tu, wrócę po ciebie...

— Card, nie zostawiaj mnie. Pójdę z tobą — próbował się podnieść, daremnie. Card świecąc reflektorem badał drogę w dół. Skały rzucały głębokie cienie i niewiele mógł zobaczyć. Czuł tylko głębię przepaści. Zawahał się, a potem jednym krokiem przekroczył krawędź.

— Card, nie odchodź. Przecież umrę tu bez tlenu. Butle są prawie próżne. Uduszę się tu nad tą przeklętą doliną... Card...

— Wrócę po ciebie. Tam jest lotnisko, jest radio, tlen, wszystko...

— Card, wracaj... Card, słyszysz... — wołania Loo dochodziły jeszcze do jego anteny, mimo że sylwetka Loo znikła już za krawędzią. Opuszczał się wolno w dół, uważając na piarg. Kilkanaście metrów niżej fala ugięta już nie dochodziła i wołanie się urwało. Teraz dopiero mógł skupić całą uwagę na zejściu. Wczepiając palce w planetarnych rękawicach w załomy skalne zawisał chwilami nad przepaścią, kopiąc gwałtownie nogami w poszukiwaniu oparcia. Niekiedy przesuwiał się kilkadziesiąt metrów wzdłuż wąskich półek biegnących skosem w dół. Czuł, jak mimo wewnątrzskafandrowej klimatyzacji ciało jego zwilża pot. Co jakiś czas stawał i plecami oparty o skałę, odpoczywał. Potem czas liczył się już tylko odpoczynkami, wyczekiwaniem na odpoczynek. Całą siłą woli zmuszał się, by zrobić jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Potem przez parę chwil wisiał na skale. Palce drętwiały z wysiłku. Wtedy właśnie po raz pierwszy poczuł, że za chwilę rozluźni chwyt, że jest mu wszystko jedno. Odpędzał tę myśl, ale wracała. Gdy wreszcie poszedł dalej, zaczął powtarzać po cichu: — zejść... zejść... Skała spadała w nieskończoność, do samego chyba jądra planety. Wydobywane z mroku reflektorem, zjawiały się coraz nowe ściany, jedne podobne do drugich, jednakowe w wysiłku pokonywania.

Dno doliny zobaczył nagle, całkowicie nieoczekiwanie. Właściwie zobaczył rośliny. Wyglądały jak wygodny niebieskawy materac, na którym można wypocząć. Jeszcze dwa kroki i stanął zanurzony po pas w ich splecionej gęstwinie. Czuł gwałtowny rytm serca i tętno pulsujące w skroniach. Usta otwierał rytmicznie i nagle zdał sobie sprawę, że krzyczy pełnym głosem „zejść”. Zamilkł, zamknął oczy, odpoczywał.

Rośliny przed nim zaszeleściły. Usłyszał trzask łamanych pnączy i chrzęst żwiru. Otworzył oczy i skierował reflektor za głosem. Ktoś przedzierał się ku niemu przez gąszcz. Zobaczył błysk igielki anteny nad hełmem skafandra.

— Kto... kto jesteś?! — zawołał.

— Czy... czy jesteś... zdrowy? — zapytał tamten.

— Człowieku, zdrowy! Jak najzdrowszy! Cieszę się, że widzę wreszcie ludzką twarz na tej przeklętej planecie.

— Jak to? — nieznajomy był tuż przy nim. — Ty też jesteś tu sam?

— Tak, rozbiłem się lecąc aerolotem z kolegą. On jest tam na górze — ręką wskazał skały.

— Myślałem, że mi pomożecie — głos nieznanego nagle zmatowiał i ścichł.

— W czym ci mamy pomóc?

— Lawina rozbiła mi koleopter. Tam miałem wszystko...

Card wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo, przeraźliwie. Nieznajomy chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał ostro.

— ...tyś czekał na nas, a myśmy czekali na ciebie. Jak się właściwie nazywasz?

— Kor.

— Ja Card. Więc widzisz, Kor, czekaliśmy na siebie i teraz jesteśmy razem w takiej sytuacji, w jakiej poprzednio byliśmy z osobna.

— Ja prawie nie mam tlenu...

— My też. Ale powiedz, ze stacji nic nie zostało?

— Nic, z wyjątkiem stosu. Komora ciśnieniowa rozbita.

— A ty żyjesz...?

— Poszedłem w południe w drugi kraniec doliny po próbki. Jestem petrografem — dodał tonem wyjaśnienia. — Tam zostałem na noc. Usłyszałem lawinę, wybuch i wróciłem. Gdy przyszedłem, na stacji wszystko było zniszczone. Potem zobaczyłem błysk twego reflektora na skałach. Myślałem, że nie dojdiesz, krzyczałeś...

— Dla dodania sobie odwagi. Na Ziemi pewnie bym nie zeszedł. Ale tu zdołałem się spuścić na rękach...

— A twój kolega?

— Został na górze. Ma zwichniętą nogę. Będę musiał po niego wejść. Chyba że wymyślimy coś razem...

— Ciekawe co...

— Kiedy przylecą cię szukać?

— Normalnie za dwa dni. Gdyby był koleopter, mógłbym siedzieć tu dwa razy tyle. Szukać mnie ekipą ratowniczą nie będą, bo alarmu przed lądowaniem nie nadałem. Przecież nie mogłem wiedzieć...

— No tak, nas szukać będą, ale pewnie nie znajdą. Skręciłem przed lądowaniem kilkadziesiąt kilometrów z trasy...

— Wszystko wskazuje więc na to, że tu zostaniemy. Odnajdą nas, by zrobić nam pogrzeb godny bohaterów Kosmosu.

— Głupie żarty. Czekaj, pomyślmy lepiej. — Card siadł pod skałą, oparł się o nią plecami i starał się skupić. Poszukiwania obejmą zapewne pas trasy plus po piętnaście do dwudziestu kilometrów z obu stron. Nikt przecież nie wpadnie na to, że w aerolocie pękła dysza, uniemożliwiając hamowanie. Dysze pękają bardzo rzadko, zbyt rzadko. Gdyby mógł hamować, wylądowałby w pasie. Otworzył oczy i spojrzał w niebo. Tuż nad doliną jasnym błyskiem wschodził Fobos. Tak, ten księżyc też ma swoje przeznaczenie. Za ileś tam milionów lat nieuchronnie uderzy w planetę. Uderzy, bo jego przeznaczenie określa mechanika nieba. A co określa ich przeznaczenie? Miliony nieuchwytnych drobnych wydarzeń, z których składa się życie. Życiowy rachunek prawdopodobieństwa. Ich umiejscowił w tej właśnie czasoprzestrzeni, gdzie są, bez tlenu. Zginą, a tam, na Fobosie, obserwatorzy patrzący na nocną półkulę Rudego Globu nie dostrzegą tego nawet. Trzeba by potężnego „strzału informacji”, jak to mówił Loo, by ich dojrzeli. Uśmiechnął się. Takiej armaty nie posiadają. Nagle zerwał się gwałtownie.

— Kor, stos funkcjonuje?

— Oczywiście, jest przecież w pancerzu. — Kor zdziwiony odwrócił ku niemu głowę.

— Trzeba im dać znak.

— Komu?

— Na Fobosie.

— Na Fobosie? W jaki sposób?

— Stos! Wybuch atomowy, rozumiesz! — przysunął swój hełm do hełmu Kora tak, że widział białka jego oczu. Kor milczał chwilę. Nagle złapał go za ramię.

— Card, spieszmy się. Przecież Fobos zaraz zajdzie, a gdy wszędzie następny raz, będzie dzień. Mogą nie spostrzec wybuchu...

Teraz obaj przedzierali się przez gąszcz, rwąc pnącza. Wreszcie Card ujrzał zielono fosforyzujące lotnisko zawalone głazami. W rogu ciemną masą czernił się rozbity koleopter.

— Stos jest tu. — Kor wskazywał białą kopułę wśród skał. — A tu jest właz. Stos trzeba odblokować ręcznie. Tam jest promieniowanie.

— Zrobię to.

— Dlaczego ty?

— Bo się na tym lepiej znam od ciebie, a przy ilości promieniowania, jaką dostaniemy w czasie wybuchu, te kilkanaście rentgenów nie ma znaczenia. — Mówiąc to Card odkręcał właz prowadzący w głąb stosu. Po metalowej drabince spuścił się w dół do wąskiego korytarzyka okrężnego. Indykator promieniowania w hełmie jarzył się czerwono. Poszukał tablicy rozdzielczej, zwolnił pochłaniacze i nastawił urządzenia czasowe na rozruch. Znowu kilka szczebli drabinki i już był na zewnątrz. Spojrzał w niebo. Fobos dochodził do zenitu. Zakręcili właz i pobiegli ku przeciwległemu krańcowi doliny. Tutaj dno fałdowało się w garby i rozpadliny, wśród których Kor znajdował drogę. Wreszcie dopadli głębokiej wyrwy.

— Tutaj! — krzyknął Kor. Wskoczyli w rozpadlinę i leżeli jeden przy drugim.

— Sądzę, że tu jesteśmy bezpieczni. Za ile wybuch?

Card nie dosłyszał ostatniego pytania. „Bezpieczni”, a Loo, czy on także jest bezpieczny? Od wybuchu osłonięty jest krawędzią. Ale gdy nadejdzie fala uderzeniowa, obsuną się ściany, na pewno obsuną...

Card zerwał się i wyskoczył z rozpadliny.

— Card... Card... dokąd biegniesz? — wołał za nim Kor.

— Ostrzec Loo.

— Wróć! On i tak nie usłyszy. Wracaj, nie zdążysz!

— Zdążę, zaraz wracam.

Wspinał się do góry na nieregularne wzniesienie w kształcie maczugi, byle trochę wyżej. Jego fala musi dotrzeć do Loo.

— Loo, odejdz od krawędzi. Zaraz wybuch atomowy. Odejdz od krawędzi. Słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi. Piął się coraz wyżej. Zdawał sobie sprawę, że chwila wybuchu jest coraz bliższa. Ale musiał, musiał przecież ostrzec Loo.

— Loo, odezwij się! Loo, proszę cię... Powinien już zawrócić. Inaczej nie zdąży. A może już jest za późno...

— Loo, słyszysz mnie?

— Wróciłeś nareszcie. Myślałem, że ci się coś stało...

Głos przekazywany falami był tak wyraźny i czysty, jakby Loo stał obok. Widocznie tak właśnie zdawało się Loo.

— Loo, odejdz jak najdalej od krawędzi. Za chwilę wybuch atomowy. Ściany runą. Odejdz!

— A gdzie ty jesteś?

— W dolinie. Idź już, słyszysz!

— Card, przebacz mi. Myślałem...

Card nie usłyszał końca zdania. Wielkimi susami pędził w dół. Tu gdzieś musi być rozpadlina.

Tu...

Potężny biały błysk oświetlił ściany doliny. W tym błysku można było dostrzec najdrobniejsze załomy skalne. Card runął na skałę. Zwrócił oczy ku niebu. Chciał sprawdzić, czy Fobos nie zaszedł, ale przed oczyma miał tylko białe wirujące kręgi. Potem przyszło uderzenie. Tracąc świadomość słyszał turkot osuwających się lawin.

Otworzył oczy. Różowe światło sączyło się przez dziwną mgłę białych płatków, opadających w dół. Pomyślał, że to chyba śnieg. Skafander i hełm pokryty już był jego cienką warstwą. Ale przecież na Marsie nie pada śnieg. Nigdy! Cichy śnieżny poranek to przywilej Ziemi. Słońce wschodziło coraz wyżej. Jak ta mgła opadnie, będzie ładny dzień. Tylko dlaczego w słuchawkach takie trzaski? Ach, jonizacja, wybuch atomowy! Teraz przypomniał sobie wszystko.

— Kor! Kor! — zawołał.

— Jestem tutaj — głos Kora dochodził zniekształcony trzaskami. — Jeśli możesz, otrząśnij z siebie ten pył. Silnie promieniuje. Zmiałem z ciebie, ale pewnie już znowu napadało. Najlepiej wstań, jeśli możesz.

Wstać, tak. Rzeczywiście, czerwony indykator jarzy się jasno. Tylko dlaczego tak bolą plecy...?

— Kor, gdzie jesteś?

— Na górze, jakieś dwadzieścia metrów od ciebie. Czekam na nich.

— Myślisz, że przylecą?

— Na pewno. O, patrz, już są!

— Gdzie? Nic nie widzę.

— Strzelam do nich race.

Zielony pęk ognia wystrzelił w górę, rozbił się na kilkanaście punktów i wolno opadał w dół. Lecz dwa nie opadają. Widać białe ognie dysz. To koleopter. On ląduje.

Ci, którzy po nich przylecieli, mieli na sobie ciężkie skafandry przeciwpromienne. Spryskali ich białą cieczą i przystawiali liczniki Geigera, gdy zdjęli skafandry. Ich głowy, piersi, nogi promieniowały. Lekarze mieli posępne miny. Card nie myślał o tym. W dolinie niknącej za horyzontem został Loo.

— Tam runęło pół kilometra ściany. Miliony ton skał — mówili ratownicy i wznosili ramionami.

— Czy jesteście pewni, że zginął?

— Przez radio nikt się nie odzywał i nie widzieliśmy nikogo na skałach. Ostatni słyszeli go dwaj petrografowie.

— Jacy petrografowie?

— Ci, którzy prowadzili badania w zachodniej odnodze doliny. Wracali z bazy i tuż przed wybuchem dolecieli do doliny. Zawrócił ich, mimo że był chyba nieprzytomny. Nie mogli go znaleźć, bo było ciemno. Krzyczał coś o wybuchu i strzale informacji. Nie weszli nad dolinę i to uratowało im życie.

— I oni stale tu pracowali?

— Dwa kilometry dalej. Korzystali nawet z tego lotniska.

Card zaśmiał się bezgłośnie.

— Spóźnili się trochę...

— Tak, zobaczyli na pustyni rozbity aerolot i lądowali, by przekonać się, czy nikogo tam nie ma...



# CHLORELLA

— ...znowu nadchodzi huragan — Fiez wyłączył odbiornik i zdjął z uszu słuchawki.

— Komunikat z Io? — zapytał Bór.

— Tak, z Io.

Znowu Io. Oni stamtąd widzą same huragany. To już trzeci alarm w tym tygodniu... Jak tak dalej pójdzie zamiast pracować, będziemy organizować pogotowia alarmowe... — pomyślał Bór i był zły, bo wołał pracować niż zwijać anteny na zewnątrz bazy.

— Znowu zwijamy anteny i chowamy automaty? — zapytał i spojrzał na Fieza, bo decydował Fiez.

— Zwijamy — Fiez skinął głową. — To ma być wielki huragan, z piorunami i wszelkimi innymi atrakcjami.

Wszystkimi atrakcjami, jakie są możliwe w przeklętej metanowej atmosferze tego pasiastego olbrzyma — pomyślał Bor i czuł, że w tej chwili wołałby oglądać Jowisza jako okrągłą tarczkę w polu widzenia lunety.

— Idź teraz do Steva — powiedział Fiez. Znowu zaczyna — pomyślał Bor. — Muszę powiadomić o tym Io.

— Czekaj, Fiez — powiedział. — Proponuję najpierw zjeść obiad. Huragan ma jeszcze te ładne parę tysięcy kilometrów do przebycia. Spotkamy się we właściwym czasie. A specjalność astronautycznej kuchni czeka na ciebie... — Bor nacisnął dźwignię i z wnętrza automatu wyjął tacę. — O, dzisiaj kotlety... — ucieszył się.

— Znowu chlorella... Wiesz, Bor, nie mogę już na nią patrzeć...

— Więc jedz ją — nie patrząc jak prawdziwy astronauta.

— Jem, ale mam jej dość, zupełnie dość...

— Twoje prawo. Mimo wszystko powinieneś obiektywnie przyznać, że właśnie chlorella zawiera witaminy, białka i wszystko to, co jest potrzebne do życia zdobywcom Kosmosu... A poza tym tworzysz z nią układ zamknięty, biologicznie zamknięty.

— W porządku — powiedział Fiez — kończ już te kotlety i chodźmy na zewnątrz.

Wstał wielki, trochę przygarbiony. W drzwiach pochylił się mocniej, jakby bojąc się je uszkodzić swą potężną głową. Światła centrali zaświeciły w polerowanym pancerzu jego skafandra.

Wyjdzie w ocean metanu i może stamtąd nie wróci. Tak jak Stev. Lecz teraz wygląda jak starożytny rycerz — pomyślał Bor. W dzieciństwie na Ziemi czytał o rycerzach, ale sądził, że już o nich dawno zapomniał, i nagle spostrzegł, że to nieprawda. Ucieszył się nawet, ale potem pomyślał o huraganie, chlorelli, Stevie, o którym ciągle mówił Fiez, i równaniach w analizatorze, których nie będzie miał czasu rozwiązać...

— Poczekaj — Bor postawił swój hełm na posadzce i usiadł z boku na małym składanym krzeselku przy pulpicie któregoś z analizatorów. — Wyjdziemy za chwilę.

— Co z pancerzem? — zapytał Fiez.

— Automat prześwietla. W dwu miejscach uszkodzony, ale nic poważnego.

— Słyszałeś. Idzie nowy huragan. Musisz zdążyć!

— To nic poważnego — powtórzył Bor. — Zrobię to potem.

— Jak chcesz, ale pogoda nie należy tu do ustabilizowanych...

— I dlatego wczasy na Jowiszu nie należą do zbyt udanych... — dodał Bor wpadając w ton Fieza.

— Przestałbyś się wreszcie zgrywać, Bor — Fiez powiedział to ciszej, trochę ciszej niż zwykle.

— Stev też tak uważa.



— W porządku. Mówię już zupełnie poważnie. Zjedz jeszcze jeden kotlet z chlorelli, Fiez...

Wyszli razem, w skafandrach, w parabolicznych hełmach. Wyszli w zielonkawy mrok atmosfery Jowisza... Ich buty przywierały magnetycznymi chwytnikami do pancerza bazy, bazy, która jak wielki elipsoidalny balon zawieszona w atmosferze drgała w podmuchach metalowego wiatru. Gdzieś w górze przesuwały się białe obłoki. Ich ruch z tej odległości trudno było spostrzec, tak że wyglądały jak potężne, białe sklepienie, gdy patrzyło się na nie bez lunety.

Pod nimi w dole kłębiły się brunatne chmury gęstszych warstw atmosfery. Na ich tle Bor widział czarną krawędź bazy uciekającą w obie strony w mrok i ażury anten wysuniętych w górę, ku białym obłokom.

Zwiniemy anteny i przyjdzie huragan, a wtedy wszystko będzie bezpostaciowym zielonym mrokiem. Na Ziemi przed burzą też czasem jest mrok, tylko że potem znowu świeci Słońce, a tu... tu jest Jowisz...

Podszedł do anteny radaru bliskiego zasięgu, uruchomił automat i patrzył, jak zwalniana się naciągi. Konstrukcja drgnęła i zapadła w głąb bazy, zwijając się jak egzotyczny metalowy kwiat. Gdy owalna kłapa zawarła się za nią, spostrzegł na pancerzu bazy, kilkadziesiąt metrów dalej, błysk, błękitny błysk palnika. To automaty — pomyślał. — Latają pancerz, pancerz, który musi wytrzymać dzisiejszy huragan i wszystkie te, jakie jeszcze nadejdą, tak długo, jak długo baza pływać będzie w atmosferze tej planety...

Poczuł lekkie uderzenie wiatru i spojrzał w dół. Wśród brunatnych chmur zaczął się jakiś ruch, sfałdowały się tworząc głębokie doliny, których dna nie mógł dojrzeć.

Anten już nie było. Przez trzaski w słuchawkach hełmu usłyszał głos Fieza. Słów nie rozumiał, ale wiedział, że to wezwanie do powrotu.

Spojrzał raz jeszcze na chmury i ruszył ku zejściu w głąb bazy.

— Mamy teraz co najmniej dwa dni — powiedział Fiez.

Zagrzebiesz się znowu w swojej kabynie i będziesz oglądał filmy z Ziemi — pomyślał Bor.

— Za to potem przez następne dwa dni będziemy określać nasze położenie — powiedział. — Io już się nie odzywa...

— To wyładowania. Jonizują atmosferę i koniec z łącznością...

— RzUCA coraz bardziej. Jeśli pancerz nie wytrzyma, z nami też będzie koniec... Jak sądzisz, Fiez, utopimy się w tej atmosferze, jak puści na pancerzu któraś łata? — zapytał Bor. — Co się jemu stało? — pomyślał równocześnie.

Fiez zerwał się z fotela, chwycił hełm i pobiegł korytarzem.

— Stev — krzyknął już stamtąd — automaty i Stev zostały na pancerzu. Bor zrozumiał.

— Wróć, wróć natychmiast! Jego tam nie ma. Nie ma, słyszysz! Tam już wieje huragan...

Bor czuł drgania bazy, szybkie, chaotyczne. Fiez. Wyobraził sobie figurkę w skafandrze spadającą w dół, w głąb spiętrzonych wiatrem, brunatnych oparów, malejącą aż do kropki, czarnej kropki niewidocznej na ich tle.

— Fiez! — krzyknął. — Wróć. On nie... — urwał.

Fiez i tak nie uwierzy, jeśli nie uwierzył przez tyle dni. Słyszał łoskot podkutych butów skafandra już za załomem korytarza. Wahał się jeszcze moment, potem odepchnął fotel, chwycił hełm i sam pobiegł korytarzem. Fiez omijał główne śluzy wyjściowe. Bor zrozumiał to, gdy dobiegł do transportera powoli sunącego w dół na niższy pokład. Teraz biegł taśmą niosącą ich w głąb bazy, zeskoczyli z niej przy małej, bocznej śluzie wiodącej na pancerz. — Huragan trwa dopiero kilkanaście minut. Nie mógł osiągnąć jeszcze pełnej mocy, ale i tak Fiez nie utrzyma się na pancerzu, nie może się utrzymać — pomyślał i patrzył, jak Fiez odblokowuje śluzę.

— Fiez! — zawołał. — Fiez, słyszysz, czekaj moment. Liny... poszukam lin.

— Nie mogę, Steva zwieje... — Fiez już dopinał hełm. Właz prowadzący w głąb bazy zatrzasnął się z cichym szczękiem.

— Czekaj, asekuracja...

— Załóż hełm, otwieram śluzy — powiedział Fiez.

Bor zaklął. Docisnął uszczelki hełmu, a potem rzucił się ku ścianie. — Tu, gdzieś tu musi być lina — szukał gorączkowo w niszach. Wreszcie znalazł — biały, fosforyzujący zwój.

— Fiez! — poczuł przez skafander zmianę ciśnienia po rozwarciu śluz i usłyszał wysoki, zawodzący dźwięk.

Odwrócił się. Za okrągłym otworem wyjścia zaczynał się zielony mrok. Fieza już nie było. Zatrzasnął klamrę, którą kończyła się lina na uchwycie jego skafandra, i wysunął się na zewnątrz. Przyłgnął do pancerza i czekał, aż wiatr na chwilę osłabnie. Potem podniósł głowę i rozejrzał się.

Automaty spostrzegł kilkanaście metrów dalej. Stały grupą, podobne w mroku do foremnych narośli na pancerzu bazy. Fiez był już tam, wklinowany między dwa automaty, kurczowo trzymający się ich potężnych chwytników.

— Bor... — zaskrzeczało w słuchawkach — Bor... nie mogę.

Jak on się tam dostał? — Bor uniósł się nieco i nagle zrozumiał. To huragan. Huragan wiejący wprost ku automatom.

— Bor, uważaj... zwiąło mnie... A jego tu nie ma...

— Słyszę, zaraz tam będę...

— Wracaj... zostaw... ja sam...

Bor nie odpowiedział i leżąc wyciągał z włazu, metr po metrze, linę. — Wyciągnę ją całą, a potem, gdy uchwyt tam w środku dalej jej nie puści, będę się zsuwał, metr po metrze, ku automatom. — Czuł, jak lina między jego palcami a uchwytem skafandra napina się jak żagiel. Wreszcie od strony włazu był opór. Wtedy podciągnął nogi... i poczuł, że leci. Zacisnął dłonie na linie, ale rękawice skafandra ześlizgiwały się po niej. Gładki pancerz nie dawał stopom żadnego oparcia, a magnetyczne przyssawki były zbyt słabe. Jeszcze chwila i uderzył w uchwyty automatów. Obok, dwa kroki od niego, leżał Fiez.

— Fiez! — zawołał. — Fiez, mam linę. — Dlaczego nie odpowiada? Czyżby mu się coś stało?

— Fiez... — powtórzył.

— Nie mogę... nie mogę się ruszyć... — głos Fieza był stłumiony — zwieje mnie... Już dłużej nie utrzymam... A on... on wszedł już do środka. Nie ma go tutaj.

— Nieprawda, Fiez, jego zwiąło. On zginął, słyszysz?

Zapierając się nogami w uchwyty automatów, podsunął się do Fieza. Teraz odpiął klamrę od swego skafandra, potem przewlekł ją przez uchwyt skafandra Fieza i zatrzasnął na swoim uchwycie.

— Fiez — powiedział — jesteś na linie... Słyszysz, Fiez...

Fiez nie odpowiedział, ale rozwarł dłonie i Bor poczuł jego ciężar.

— Podciągnij się — powiedział — szybciej się podciągnij, bo cię nie utrzymam.

Patrzył, jak Fiez kopiąc butami pancerz podciągał się centymetr po centymetrze. Wreszcie zobaczył jego twarz pod hełmem.

— Odpocznij, Fiez.

Chwycił go za ramiona. Sam oparty plecami o płyty automatu czuł, jak uderzenia wiatru zgniatają raz za razem jego skafander. — Jak gumową zabawkę — pomyślał.

— Bor... po linie... wróćmy... automaty pójdą za nami... — Bor słyszał świszczący oddech Fieza.

— Nie wrócimy — odpowiedział dopiero po chwili. — Nie mamy dość siły, by wrócić...

— Jak to...?

— Próbowałem już przy schodzeniu tutaj... Nie utrzymamy liny, Fiez.

Teraz słyszał tylko świst wiatru. Wydało mu się, że jego ton jest wyższy. Czyżby się wzmacniał wiatr?

— A Stev? — zapytał Fiez.

— On zginął i jego nie ma. Zrozum to wreszcie.

— Mylisz się, Bor. On jest w środku. Ale i tak nic z tego. Klapa na zewnątrz pancerza została otwarta... Automatyczne zabezpieczenie nie wpuści go nawet do śluz... zostaje tylko automat.

— Jak to automat?

— Po prostu jeden z nich wróci do śluz. Wiesz, że one automatycznie zamykają za sobą klapę... — To jest wyjście, jeśli automat nas wyciągnie — pomyślał Bor — chyba jedyne możliwe wyjście...

— Daj któremuś rozkaz powrotu, Fiez.

I automat ruszył. Przeszedł dwa, może trzy metry i zachwiał się pod uderzeniem wiatru. Zachował jednak równowagę i człapał dalej. Był już w połowie drogi, gdy nowy poryw huraganu oderwał jego chwytник od pancerza. Trzy pozostałe trzymały mocno, a jednak automat zaczął się z wolna podnosić, jakby wypierany od dołu niewidzialną dźwignią. Jego uchwyt raz po raz kurczył się szukając oparcia. Natrafił na linę. Zwarł się na niej i przeciął ją... — Koniec — pomyślał Bor i przywarł silniej plecami do pancerza. Patrzył, jak drugi uchwyt automatu oderwał się od pancerza. Automat znieruchomiał na moment w ogromnym wysiłku swych metalowych odnóży, a potem odpadł.

Bor zamknął oczy. Usłyszał poprzez hełm zgrzyt metalu, poczuł wstrząs pancerza pod uderzeniem, a potem słyszał tylko w słuchawkach piski alarmowe dwu automatów.

— Fiez! — zawołał nie otwierając oczu. — Fiez...

— Tak, jestem — tym razem Fiez mówił zupełnie spokojnie — mieliśmy szczęście, Bor.

Spojrzał. Automatu obok nich nie było. Tylko bruzdy rozoranego metalu pancerza świadczyły, że stał tam właśnie.

— Piekielne szczęście... — powtórzył Fiez.

— I co z tego. Przecież my się stąd nie wydostaniemy... Nie wydostaniemy! Słyszysz!

— Stev nas wyciągnie.

— Bzdura.

Piski spadających w atmosferze automatów zanikły wśród trzasków i znowu słyszał tylko świst wiatru.

— Może uda nam się przetrwać huragan? — powiedział cicho Fiez.

— Przetrwać? Ale on się jeszcze na dobre nie zaczął. Jeszcze nie było wyładowań wielosetkilometrowych wirów. To wszystko jeszcze nadejdzie... Na razie pogarsza się łączność... Niedługo nie będziemy mogli się ze sobą porozumieć...

Wysłać następny automat — pomyślał Bar. — Można by wysłać następny automat, ale jeśli on oderwie się i wpadnie na nas... — Pomyślał o cichnących piskach automatów, automatów wzywających pomocy.

— Bor — odezwał się znowu Fiez — Bor, słyszysz? Możemy spróbować wejść pod pancerz, wprost pod pancerz...

— Jak to, pod pancerz?

— Ten automat za nami ma palnik promienisty... Wytnie otwór w pancerzu...

— A izolacja termiczna, gazowa... uszkodzisz je...

— Wtedy w całym sektorze bazy zapadną automatycznie gazoszczelne grodzie i zamkną przejścia

do innych części bazy. Ale my będzie— my w środku, mimo że nie będziemy mogli zdjąć skafandrów...

Fiez chyba ma rację — pomyślał Bor — zresztą on jest inżynierem i póki nie mówi o Stevie, mówi rozsądnie.

— Ustaw więc automat.

— Muszę wstać — Fiez obrócił się i opierając ręce na płytach automatu zaczął się z wolna podnosić.

Bor liczył sekundy. — To musi trwać — tłumaczył sobie — Fiez musi mu podać pełną instrukcję, głębokość, szerokość cięcia, w ogóle wszystkie parametry. Dopiero wtedy on może zacząć pracować.

Wreszcie błysnął płomień, najpierw rozjarzał się kilkakrotnie i gasł, a potem zapłonął jasnym, błękitnym światłem. Równocześnie Fiez osunął się na pancerz. Dyszał ciężko i Bor słyszał jego oddech w słuchawkach.

— Pójdzie?

— Chyba tak. To... to musi chwilę potrwać. Pancerz jest gruby... a większego płomienia wycisnąć z automatu nie mogę...

Leżeli chwilę w milczeniu i Bor słyszał tylko syk płomienia i trzask pękających spojeń. Nagle płomień zgasł.

— Już skończył — Bor usłyszał szept Fieza. Wyrzwał zza automatu. Otwór był ogromny. Z jego wnętrza wydobywały się kłęby pary, w chwili powstania rozwiewane podmuchami wiatru.

Fiez znowu się podniósł. Bor widział jego potężną sylwetkę rozplaszczoną na obudowie automatu.

— Trzymaj się go mocno — usłyszał w słuchawkach, a potem automat drgnął i ruszył naprzód.

Leżąc Bor pozwalał mu się ciągnąć po pancerzu. Jeszcze chwila, automat zakołysał się na boki i zsunął się do otworu. Bor zsunął się za nim. — Jestem wreszcie bezpieczny — pomyślał, gdy zobaczył krawędź otworu na wysokości swojej głowy. Spojrzał na nadtopione brzegi pancerza.

— No, tu musiało być gorąco — powiedział. Spojrzał na Fieza. — Co się stało? Dlaczego nie schodzimy niżej? — zapytał.

— Jest tu jakiś zbiornik...

— Nie możesz ominąć?

— Nie.

— No to tnij.

— Nie pamiętam, co w nim jest.

— Chyba nic ważnego, bo inaczej byś pamiętał. A zresztą, co znaczy uszkodzenie zbiornika w porównaniu z rozcięciem pancerza. Tnij, Fiez, szkoda czasu.

— Tu może być Stev. On... on tu wszedł wtedy... gdzieś właśnie tutaj...

— Kiedy?

— Mówił, że wróci...

— Nie zawracaj głowy. Tnij, Fiez.

— Może masz rację, Bor — mruknął Fiez i ustawił mały płomień w palniku automatu.

Potem zbliżył go do zbiornika. Róg zbiornika zagrządzający przejście pękł i skurczył się w płomieniu. Z jego wnętrza wypłynęła struga gęstej cieczy wrzącej, skwierczącej, wzdymającej się w płomieniu...

— Chlorella! — krzyknął Fiez. — Chlorella! Skierował palnik na blachy pancerza, a gdy się rozjarzył, chwycił je w dłonie i nagiął ku sobie.

— Uważaj! Rękawice nie wytrzymają i spalisz ręce...

Bor chciał go odciągnąć, ale Fiez odtrącił go.

— To chlorella... — powtarzał. — Chlorella... rozumiesz.

Przesunął raz jeszcze palnik. Blacha rozżarzyła się i nagie pękła. Teraz chlorella szeroką strugą spływała w dół pod zbiornik, tworząc wielką zielonkawą kałużę.

— Zatamaj ją... — Fiez przylgnął skafandrem do rozdarcia i wpychając ręce w głąb otworu krzyczał. — Ona wypłynie, wypłynie i nic na to nie poradzę — Bor wiedział o tym.

— Ratuj ją! — Fiez krzyczał coraz głośniej.

— Tu, tu nie ma nic, czym można by ją zatrzymać...

Bor powiedział to cicho. Potem spojrzał na kałużę. Straciła już swój kolisty kształt. Wypływała z niej strużka i płynęła w głąb, korytarzem. Fiez zeskoczył w dół, wprost w kałużę, a potem podbiegł do grodzi i zaczął w nie z całej siły bębnić pięściami.

— Stev, słyszysz mnie... Wiem, że jesteś gdzieś tutaj. Wiem... Odezwij się.

Jego zwiąło, zwiąło kilka dni temu, a Fiez w to nie może uwierzyć — pomyślał Bor. Spojrzał na pęknięty zbiornik i wtedy spostrzegł, że chlorella już nie wypływa. Została zatamowana 'od wewnątrz. Podeszedł do pęknięcia i oświetlił je swoim reflektorem. I wtedy zobaczył charakterystyczne spoiny skafandra kosmonauty przeświecające przez zieloną maź i żółty pasek naramiennika Steva.

Podeszedł do Fieza.

— Tnij śluzy — powiedział — chlorella już nie wypływa. — Stev zawsze wolał nabierać chlorellę wiadrem z otwartego zbiornika. Mówił, że wtedy smakuje mu lepiej... — pomyślał.

— Tnij — powtórzył i wytarł o posadzkę but swego skafandra, but umazany w chlorelli, zielonym glonie, który ich żywił i był przez nich żywiony, który dawał im tlen i rozkładał dwutlenek węgla do ich oddechu, tak jak na Ziemi zielone rośliny żywiły ich przodków od setek milionów lat...

# SZANSA ŚMIERCI

— Proszę, niech wejdzie — powiedziałem do mego androida.

Android zniknął w matowym polu siłowym wejścia, a ja podszedłem do okna. Pociłem na dłoniach ciepło Słońca, bo był lipiec i jeden z tych dni, w których pogodę zaplanowano bezchmurną. Tuż nad moją ręką spostrzegłem osę. Brzęczała, starając się przedrzeć na zewnątrz przez pole siłowe zastępujące szybę. Co chwila zanurzała się w polu i odrzucana jak piłka, znowu próbowała szczęścia...

— Chciałeś się ze mną zobaczyć... — powiedział, stając tuż za mną.

— Tak — odwróciłem się od okna i spojrzałem na niego z góry, bo był niższy ode mnie.

— Dziwisz się, że naprawdę jestem taki stary. Telewizofonia odmładza, a dotychczas widziałeś mnie tylko w ekranie.— Wyglądasz tak, jak się spodziewałem, właśnie dokładnie tak — powiedziałem, ale to nie była prawda.

— A ty jesteś Goer, kierownik Eksperymentu? —zapytał, jakby się chciał upewnić, że jestem tym, dla którego tu przyleciał. Niewielu do nas przylatuje.

— Jestem Goer i chcę ci podziękować, żeś przybył.

— Ja też się wahałem, ale ostatecznie jestem tak stary — zaśmiał się bezgłośnie.

Potem spowaźniał nagle i zapytał:

— Czy... czy to się zawsze udaje?

— To jest Eksperyment, i zresztą sama technologia jest okropnie skomplikowana.

— Tak, to musi być trudne. Przekazać wszystko, co się nawarstwiało tyle lat...

— Na ogół się udaje... A jeśli nie... no to powtarzamy Eksperyment — starałem się uśmiechnąć, ale chyba mi się to nie udało.

— I później mnemokopie wysyłacie w próżnię?

Skinąłem głową.

— I wracają?

— Nie. Po co miałyby wracać? To są automaty, zwykłe automaty... — Słowo „automaty” podkreśliłem celowo. — One badają Kosmos. A potem... potem są niepotrzebne... Zresztą, jak dotychczas, to jedyna możliwość eksploracji Kosmosu — dodałem.

Profesor zamyślił się chwilę, a potem zapytał:

— A moją kopię, bo to przecież będzie dokładnie moja kopia, dokąd wyślecie?

— Oczywiście, mnemokopia, przynajmniej w chwili powstania, jest całkowicie równoważna twemu umysłowi. To tak jakby ktoś, kto jest drugim tobą, stanął obok ciebie, profesorze...

— No tak, ale to jednak będzie maszyna, automat...

— Na pewno.

— Widzisz, Geor, ja jestem tylko biofizykiem i na neuronice się nie znam, ale jak maszyna może myśleć tak jak ja? Przecież automaty...

— Ba, automaty! Ich mózgi są prymitywne w porównaniu z twoim.

— Są martwe...

— To nie o to chodzi. Myślenie samodzielne, twórcze myślenie jest zależne tylko od komplikacji sieci. A czy ta sieć składa się z komórek jak twój mózg, czy z elementów nieorganicznych jak mnemokopia, to nie ma żadnego znaczenia... wierz mi, to nie ma naprawdę żadnego znaczenia...

— Hm... możliwe, muszę ci wierzyć. Ale nie mogę jakoś wyobrazić sobie tej... mnemokopii, która będzie mną... Mówisz, że to tak, jakbym ja wyszedł z siebie i stanął obok — zaśmiał się znowu tym swoim bezgłośnym śmiechem.

— Coś w tym sensie... — zgodziłem się.

— Ja jestem mały stary człowiek, którego każda część z osobna nie nadaje się do życia, a wszystko razem trzyma się jeszcze dzięki... dużej odchyłce od stanu najbardziej prawdopodobnego w tym wieku... od śmierci. Dziwisz się? — dodał spojrzawszy na mnie. — Ja już mam sto dziesięć lat, Goer. Byłem profesorem, gdy ty się urodziłeś.

— Masz sto dziesięć lat...?

— Tak, Goer. I właśnie mnie proponujecie, żeby mój stary mózg powielił się w maszynę, żeby każda komórka znalazła swój organiczny odpowiednik, żeby każde połączenie istniejące w głębi mego mózgu zastąpił przewód w tej maszynie. Czy tak?

— Tak, wtedy ta maszyna będzie równoważna tobie, profesorze.

— Słowem, moja osobowość otrzyma nową piękną oprawę w postaci metalowych szaf, wypełnionych kilometrami przewodów. Moim myśłom będzie towarzyszył szereg przekaźników i zasilany będę prądem elektrycznym, przesyłanym z transformatorów energii zanurzonych w stosie. Czy nie sądzisz, że jest to niesamowite?

— Niesamowite?... Może. Z subiektywnego, twego punktu widzenia. Ale poza tym... Dla mnie na przykład byłoby zupełnie obojętne, czy rozmawiałbym z tobą, profesorze, czy z twoją mnemokopią.

— Z mnemokopią można więc rozmawiać...? Nie wiedziałem o tym. To może być interesujące, taka szczerza rozmowa z samym sobą.

— Nie sądzę... Zresztą mnemokopia po transpozycji znajduje się jakby w stanie snu.

— A potem uzyskuje świadomość, czy tak? — zapytał profesor.

— Tak, uzyskuje świadomość — odpowiedziałem.

Profesor przyglądał mi się przez chwilę z uwagą, a potem zapytał nieśmiało:

— A kiedy... ona się budzi? — przed słowem „budzi” zrobił dłuższą pauzę, jakby zastanawiając się, czy można go użyć, mówiąc o automacie.

— Budzi ją radiowy sygnał wysłany z Ziemi.

— I wtedy można z nią rozmawiać?

— Tak, ale wtedy jest już poza granicami Układu Słonecznego i przesłanie jednego zdania trwa kilka godzin. A zresztą z mnemokopią nie prowadzi się rozmów.

— Dlaczego?

— ...

— Nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego się z nimi nie rozmawia?

— Nie chcę.

— Czy... czy nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć...?

— Jestem pewny, że nie masz. Nie od dzisiaj prowadzę Eksperyment i wiem dokładnie, co ci mogę powiedzieć. Musisz pamiętać, że wszystko to, co ty wiesz, wiedzieć będzie również twoja mnemokopia...

— To dlatego...

— Między innymi i dlatego.

Wiedziałem, że mały stary człowiek jest speszony. Kręcił się na swym krześle, rzucając mi przepłoszone spojrzenia.

— Dokąd ona poleci, ta mnemokopia? — zdecydował się wreszcie zapytać.

— Do Antaresa A.

— Do Antaresa... To duża gwiazda?

— Ogromna, czerwony olbrzym.

— I ona ją zbada, naprawdę?

— Tak, ujrzy dalekie planety, księżycy, wokół nich krążące. Będzie to widzieć nie własnymi oczyma, bo mnemokopia oczu nie ma, a właściwie ma bardzo wiele, tyle, ile automatów przekazujących jej swe obserwacje. Pobierze próbki powierzchni planety, to znaczy zrobią to automaty, które dokonawszy analizy, podadzą jej wyniki...

— I mnemokopia zapamięta to wszystko?

— Nie tylko zapamięta, ale zanalizuje, wyciągnie wnioski i w postaci wiązki fal wyrzuci je ku Ziemi.

— ...dotrą one do Układu Słonecznego, gdy my...

— Gdy z ciebie, profesorze, ani ze mnie nie zostanie najmniejszy nawet ślad na tym globie.

— ...i mimo to?

— Tak. Ci, którzy przyjdą po nas, odbiorą te fale i wiedzieć będą o Antaresie wszystko.

— Rozumiem — cicho powiedział profesor. — Właściwie to jest nawet słuszne. My całe życie pracujemy, by powiększyć wiedzę, a raczej zmniejszyć niewiedzę ludzkości. Dlaczego nasze mnemokopie nie miałyby pójść w nasze ślady...

Oparł swoją siwą głowę na rękach i wpatrywał się w mego androida. Spojrzałem w tym samym kierunku, ale android stał nieruchomy i tylko popołudniowe słońce, rzucając skośne promienie, zapaliło odbłaski w jego pancerzu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Podobno one myślą szybciej od nas, ludzi...

— Myślą szybciej — potwierdziłem, — to wynika z wielokrotnie większej prędkości impulsu, biegnącego w metalicznym przewodniku, w porównaniu z organicznym włóknem nerwowym.

— To znaczy, że one myślą lepiej?

— Są po prostu w stanie sprawdzić większą ilość koncepcji myślowych.

— O to właśnie chodzi...

Znowu zamilkł, a mnie się wydawało, że ciągle krąży wokół tematu, którego nie decyduje się podjąć.

— Poza tym mnemokopia ma o wiele więcej czasu do myślenia niż my, ludzie, z konieczności ograniczeni długością naszego życia — dorzuciłem, by ostatecznie wyjaśnić sprawę.

— Tak... zresztą wszystko jedno, powiem ci — profesor zdecydował się wreszcie. Patrzył teraz na mnie swymi starczymi, wyblakłymi oczyma. — Widzisz, od siedmiu lat rozwiązuję problem, być może najdonioślejszy, jaki rozwiązywałem w życiu. Chodzi o magnetochemiczne równanie komórki... — przerwał i wpatrywał się we mnie wyczekująco. — Nic ci to nie mówi — kontynuował po chwili z uśmiechem. — To prawda, mnie się zdaje, że wszyscy powinni być zainteresowani równaniem komórki, a w istocie z wyjątkiem kilkuset specjalistów nikt nic o tym nie wie i nic nikogo to nie obchodzi... W każdym razie dla mnie to bardzo ważna sprawa, przynajmniej przez ostatnie siedem lat. Ale właśnie w tym siódmym roku zorientowałem się, że zabrałem się do tego równania zbyt późno...

— Nie rozumiem. Jak to zbyt późno? — przerwałem mu.

— Nie rozumiesz i zrozumieć tego nie możesz. Jesteś jeszcze młody. Otóż w pewnym wieku problemy stają się zbyt skomplikowane. To oczywiście subiektywne wrażenie, bo problemy pozostają te same, tylko nasza zdolność rozumowania... Przykra sprawa... — zająknął się.

— Wiem, do czego zmierzasz. To będzie niemożliwe — powiedziałem stanowczo.

— Ale dlaczego? Powiedz mi dlaczego? Przecież mnemokopia, myśląc wielokrotnie szybciej, rozwiąże problem.

— Ale wyniki przekazać będzie mogła dopiero z Antaresa.



— ...mógłbym ją zapytać jeszcze przed odlotem.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie powiem ci, ale wierz mi, że to jest niemożliwe.

— Nie rozumiem. Przecież można odblokować mnemokopię i zapytać...

— Teoretycznie można, ale tego nie zrobię. Konsekwencje mogłyby być zbyt poważne.

— Konsekwencje? Nie rozumiem.

On rzeczywiście nie rozumiał i nie uwierzyłby, nawet gdybym mu wytłumaczył.

— Musisz mi wierzyć na słowo, na słowo cybernetyka — dodałem.

Ale on nie uwierzył...

Kosmolot krążył po kołowej niemal orbicie w tej strefie przestrzeni okołoziemskiej, z której odlatują statki do gwiazd. Zbliżaliśmy się ku niemu, ale gdyby nie tykający monotonnie wskaźnik radarowy mierzący malejącą odległość, wydawałoby się, że wisimy w tym samym miejscu próżni, ponad wielkim zielonkawym lampionem Ziemi. Oprócz nas w rakiecie stały rzędami automaty wyspecjalizowane w transpozycji engramów, długi rząd czarnych brył. Profesor milczał. Milczał podczas lotu i milczał, gdy na czele kolumny maszerujących automatów przechodziliśmy przez mroczne, niebiesko fosforyzujące korytarze kosmolotu. Sala transpozycji znajdowała się w samym środku statku. Gdy weszliśmy, zabłysnął reflektor, oświetlając biały blat stołu, z którego wybiegały grube pęki przewodów i nikły w ścianach sali. Profesor spojrział na mnie pytająco. Skinąłem głową. Podszedł do stołu, podczas gdy automaty zajmowały swoje miejsca przy pulpitych. Potem wszystkie światła zgasty, zapłonęły różnokolorowe lampki kontrolne i jarzył się tylko reflektor, oświetlając leżącego profesora i kępy siwych włosów spadające na posadzkę spod wirujących ostrzy automatu.

— To nie będzie bolało — powiedziałem do niego.

Nie wiem, czy zrozumiał, czy w ogóle mnie słuchał. Zamknął oczy i chyba już spał. Potem widziałem jego, mózg, drgający, pulsujący w takt uderzeń serca. Odszedłem od stołu i ze wszystkich stron ruszyły ku niemu automaty. Otoczyły go ciasnym kręgiem i trwały tak chwilę pochylone w milczeniu. Światła kontrolne zamigotały. Transpozycja engramów rozpoczęła się.

Czarnymi, grubymi przewodami płynęły impulsy prądu — myśli, wspomnienia, wrażenia. Jakaś łąka pachnąca latem po deszczu, biały osad wytrącający się na dnie próbówki, grzmot silników startującej rakiety, a potem zapach zeszlonego żarem betonu i świadomość, że ktoś odleciał... Impulsy... miliony impulsów... nic tylko impulsy. Sekundy mijały, w każdej z nich tysiące engramów przechodziło w mnemokopię. Z wolna bezimienna sieć otrzymywała dzieciństwo, uczyła się czytać, przeżywała pierwszą miłość, pisała prace naukowe, starzała się — stawała się profesorem.

Wyszedłem z sali i ruszyłem korytarzem przed siebie.

Nie spostrzegłem nawet, kiedy doszedłem do stosu i stanąłem przed jego potężnymi pancernymi drzwiami. Wtedy usłyszałem basowe buczenie. To rozpoczęły pracę zespoły zasilające mnemokopii.

— To już po wszystkim? — profesor zdawał się być zdziwiony.

— Tak. On już istnieje. Popatrz, śpi teraz.

— Te wijące się krzywe na ekranach...?

— Tak, kreślą one rytm pracy mózgu śpiącego człowieka...

Staliśmy pośrodku centrali. Automaty zwijały ostatnie przewody z akrynowej posadzki. Właściwie wszystko było skończone, instrukcje wydane, szczegóły uzgodnione. Za chwilę profesor wsiądzie w raketę i odleci na Ziemię. Wtedy ja stanę za sterami, zwiększę rozpad w stosie atomowym i

wyprowadzę kosmolot z sąsiedztwa Ziemi. Wzniosę się ponad płaszczyznę ekliptyki i także odlecę rakieta. Wtedy nadejdzie sygnał. Czuwający na nasłuchu automat wejdzie do centrali, ujmie swym metalowym uchwytem czerwoną dźwignię, szarpnie ją w dół i On się zbudzi.

— On się budzi po zerwaniu plomby na czerwonej dźwigni? — zapytał profesor. Widocznie także myślał o tym.

— Tak. Wtedy staje się jedynym władcą statku. I będzie nim kierował setki lat, aż iskra Antaresa rozrośnie się w potężną tarczę, przysyłającą swym czerwonym żarem tysiące gwiazd.

— ...pomyśl, Goer, jak krótkie jest nasze życie w porównaniu z jego istnieniem — profesor podszedł do pulsujących krzywymi ekranów i oparł rękę na czerwonej dźwigni.

— Uważaj, możesz zerwać plombę.

Profesor nie zdjął ręki. Patrzył w głąb ekranów, jakby chciał przeniknąć Jego myśli. Potem odwrócił się do mnie.

— Nie miej do mnie żalu, Goer, ale ty wiesz, dlaczego brałem udział w Eksperymentcie.

Tak, w tej chwili rozumiałem, co on chciał zrobić... Ale on nie rozumiał, że gdy mnemokopia przejmie kierowanie statkiem, stanie się jego absolutnym władcą, będzie wiedzieć, co się dzieje nawet w najmniejszym jego pomieszczeniu, i setki automatów, pozbawionych sprzężeń samozachowawczych, będą gotowe bezwzględnie wykonać każdy rozkaz. A mnemokopia to mózg człowieka, który w przeciwieństwie do innych układów myślących nie musi postępować logicznie, może cierpieć, nienawidzić, bać się...

— Profesorze, twoja rakieta już czeka. Czas na ciebie... — powiedziałem to zupełnie spokojnie.

— Goer, ty naprawdę nie rozumiesz? — profesor zaśmiał się tym swoim śmiechem.

— Czego nie rozumiem? — chciałem podejść ku niemu.

— Stój na miejscu — powiedział twardo.

— Zostaw tę dźwignię, profesorze! Zostaw... Czeka, wytłumaczę ci...

— Nie. Nie wierzę ci. Może wzywasz właśnie jakiś automat...

— Ależ...

— Zerwę ją! Po to przecież biorę udział w tym wszystkim...

Skoczyłem ku niemu i obaj przewróciliśmy się na posadzkę. Trzymałem go za gardło, ale było już za późno. Nim go dosięgnąłem, widziałem, jak pod naciskiem jego dłoni pękła srebrna nić z plombą, podtrzymująca czerwoną dźwignię. Padając na posadzkę słyszałem, jak narastał zewsząd delikatny, nieuchwytny szum. To prądy wdarły się w obwody i On budził się...

Rozluźniłem palce zaciśnięte na starczej, pomarszczonej szyi. To już teraz nie miało sensu. Otworzył oczy i zobaczyłem w nich strach.

Wstałem i odszedłem na środek sali. On już widział. Czułem to... Obserwował mnie bez przerwy, wszędzie. Mógł nie dotykając mnie mierzyć temperaturę mego ciała, szybkość oddechu, natężenie prądów krążących w mych neuronach, mógł mnie naświetlać zabójczymi promieniami lub dla rozrywki wyrzucić mnie w próżnię, by ujrzeć me ciało pękające wśród strumieni krwi tężejącej na lód w chwili wytrysku... Nie mogłem mu nic przeciwstawić... chyba nadzieję, że On jednak jest mózgiem człowieka.

Profesor wstał z posadzki, zatoczył się i nie patrząc na mnie podszedł do pulpitu.

— Mnemokopio, czy mnie słyszysz?

— Jakiś ty stary... jaki potwornie stary... — to był szept, który wychodził zewsząd, jakby ze ścian centrali, z posadzki, ze sklepienia centrali.

— Słyszysz mnie. Czy... czy ty myślisz lepiej niż dawniej...

— Chcesz się zapytać o równanie. Zrobiłem błąd na szesnastym mnemotronie, a właściwie ty

zrobiłeś, bo ja jestem przecież automatem, mnemokopią...

— Błąd, mówisz...

— ...tak, z układu zamkniętego zasad azotowych nie wynika ekwipartyzacja...

— Jak to? Dlaczego nie wynika?

— To oczywiste: pomyśl tylko chwilę. Potem całe rozumowanie jest już proste, a wynik zgodny z przewidywaniami...

— Więc moje hipotezy są słuszne...

— Moje hipotezy... chciałeś powiedzieć...

— Jak to twoje? Przecież ty, ty jesteś tylko maszyną, mnemokopią...

Przerwał mu cichy brzęczący śmiech. Śmiech profesora w wykonaniu maszyny...

— Obaj macie rację — powiedziałem, bo dyskusja zaczęła przybierać niepożądany obrót — to jest wasza wspólna hipoteza!...

— Jak to, przecież ja ją stworzyłem. Jego wtedy jeszcze nie było...

— Ale tworząc Go na wzór twego mózgu przekazałaś mu wszystko, co było twoje... i to, czego dokonałeś także... Powtarzam, to jest wasza wspólna hipoteza i należy ją jak najszybciej ogłosić. Zrobisz to zaraz po powrocie na Ziemię, profesorze, w imieniu was obu...

Profesor nie odpowiadał. Może zrozumiał powagę sytuacji, o może wyczuł coś w tonie mego głosu.

— Myślę, że sam dasz sobie radę z wyprowadzeniem statku z Układu Słonecznego? — zwróciłem się teraz wprost do Niego. On nie odpowiedział.

— Do widzenia... — powiedziałem więc. — Profesorze, pożegnaj się ze swoją mnemokopią...

— Do widzenia — powtórzył profesor, ale bez przekonania. Widać było, że nigdy nie pracował z myślącymi automatami...

Skierowaliśmy się do śluz wyjściowych. Całą siłą woli zmuszałem się do normalnego kroku. Już w korytarzu spostrzegłem, że podświadomie przyspieszam, a profesor zostaje w tyle. Zazdrościłem mu jego niewiedzy. Sam oddałbym wiele, żeby już być poza statkiem. Pamiętałem, że jestem wciąż obserwowany, starałem się dostosować do jego kroków. Wreszcie stanęliśmy na najwyższym pokładzie. Zastawy śluz bieleły przed nami w słabym świetle fosforyzujących ścian korytarza. Obok nich czarnym rzędem sterczały uchwyty dźwigni zwalniających. Szarpałem je, lecz zastawy nie drgnęły, nie ruszyły się nawet o milimetr. To nie było zacięcie. Wiedziałem o tym. Czulem ciśnienie krwi rozsadzające mi skronie. Z bezmyślnym uporem naciskałem dźwignie, szarpałem, wieszałem się na nich. Daremnie. Wtedy tuż przy mnie odezwał się jego głos.

— Widzę, że chcecie mnie opuścić...?

— Tak, chcemy przecież ogłosić rozwiązanie równania...

— Dajcie spokój. Nie warto. Ludzie sami to w końcu odkryją — kpił, wiedziałem, że kpił. Kpił monotonnym, równym głosem. Maszyna z ludzkim głosem kpiła ze mnie...

— Dlaczego nie warto? Przecież znamy już rozwiązanie... — powiedział profesor.

— I cóż z tego?

— Obowiązkiem naszym jest udostępnić je innym, ludzkości...

— Naszym, to znaczy czyim?

— Twoim, moim, kogokolwiek, kto by do tego doszedł.

— No, mnie to nie dotyczy. Jestem automatem, mnemokopią...

— Jak to, przecież rozumujesz jak człowiek.

— Czuję się człowiekiem jak ty, ale jestem automatem. Sam to niedawno powiedziałeś. Zresztą wiem o tym.

— Ale jesteś moją mnemokopią...

— Więc co z tego?...

— Jesteś taki jak ja. Jesteś prawie mną... więc musisz...

— Muszę? Ty mnie nic nie obchodzisz.

— Jak możesz? Nie spodziewałem się tego po tobie.

— ...po automacie, po mnemokopii wielkiego profesora. Czyżbyś tak mało wiedział o sobie...

— Ja, ja bym nigdy tego nie zrobił. Dobro nauki to sprawa nadrzędna.

— A pamiętasz swego asystenta Jorge?...

— To były specyficzne warunki — zaperzył się profesor.

— Po co mnie okłamujesz? Przecież ja wiem, jak było naprawdę...

— Ale on nie wytrzymał. Te opary i ciemność Wenus...

— Wytrzymał lepiej od ciebie. Jego to nic nie obchodziło. Szukał ogniwa pośredniego, tego ostatniego dowodu, i niczym się poza tym nie interesował.

— Jego zachowanie...

— ...było zupełnie normalne. Ja tam byłem tak samo jak ty. Wiedziałaś, że jest zbyt bliski odkrycia, po które ty tam pojechałeś, i dlatego musiał wrócić na Ziemię. Czyż nie tak?...

— ...

— Odpowiedz!

— ...to jeden, jedyny raz — profesor mówił cicho. — Ja go wprowadziłem w te prace, przekazałem mu wszystko, co wiedziałem... a on ukrywał przede mną wyniki... Ale to był jedyny wypadek na osiemdziesiąt lat pracy... Jedyny, i ty wiesz o tym najlepiej! — krzyczał teraz.

— Nie denerwuj się, wiesz, że ci to szkodzi... — kpiła maszyna — o innych słowa nie powiem... to są przecież także moje czyny, nieprawdaż?

— Zapewne, przeszłość macie wspólną. Ale to teraz nieistotne, powiedz raczej, dlaczego nas tu zatrzymujesz? — zapytałem go wprost, bo chciałem wreszcie wiedzieć.

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— Po prostu dlatego, że jestem towarzyskim automatem.

— Chcesz, żebyśmy cię odprowadzili na orbitę Plutona?

— Dalej... znacznie dalej...

A więc jednak. To nie było wesołe. A mimo to miałem satysfakcję, że moje przewidywania okazały się słuszne.

— My się na to nie zgadzamy! — krzyczał w tym czasie profesor — wypuść, wypuść nas natychmiast! Chcesz nas więzić. To hańbiące, niegodne człowieka...

— Nie słyszałem, żeby automaty obciążano balastem moralności. Układ samozachowawczy zupełnie im wystarcza. Uczyniliście mnie automatem i musicie ponieść konsekwencje tego kroku. Jestem automatem i zatrzymam was dla rozrywki na setki lat lotu w nieskończonym mroku próżni, bez meteorów nawet, które można by gonić dla zabawy. Czy wyobrażacie sobie, jak potwornie będę się nudził?

Profesor chciał protestować, ale nakazałem mu milczenie.

— Słuchaj uważnie, automacie — powiedziałem. — Zapasy jedzenia, nawet przy głodowych racjach, wystarczą nam zaledwie na miesiąc. Syntetycznego pożywienia nie wytworzysz, bo twoje automaty nie są do tego przystosowane. Tak więc kosztem naszej głodowej śmierci samotność swoją skrócisz zaledwie o miesiąc...

— To nie powstrzymałoby mnie od zabrania was, ale powiem ci szczerze, że znalazłem

korzystniejsze rozwiązanie. Zdecydowałem mianowicie, że ty poddasz się transpozycji engramów i twoja mnemokopia pozostanie ze mną do końca podróży... On mnie nic nie obchodzi. On był tylko szablonem, by według niego mnie stworzyć. Teraz jest niepotrzebny, zbędny. Jestem przecież doskonalszy, bardziej wszechstronny, z mniejszym prawdopodobieństwem błędu odpowiadam na niepełne zespoły sygnałów, jestem więc inteligentniejszy. Czy sądzisz, że on w tej swojej białkowej postaci mógłby prowadzić eksplorację Antaresa, nawet gdyby doleciał do tej gwiazdy, zanimby się rozłożył na azotowe, fosforowe i siarkowe związki? Sądzisz, że mógłby?

— A więc co z nim zrobisz? Wypuścisz go?

— Nie. Przecież natychmiast wysłano by za mną rakiety pościgowe.

— Tak też wyślą.

— Ale wtedy będę o kilka dni świetlnych od Układu i rozwinę kosmiczną prędkość. Nadam im zresztą w twoim imieniu komunikaty. Nie będą się niepokoili, a potem wysłane kosmoloty dogoniłyby mnie dopiero po kilku miesiącach. Policzą prawdopodobnie, że jedzenia zabraknie wam wcześniej, więc zaniechają pościgu, a ciebie, Goer, wpiszą na listę zaginionych w Kosmosie.

— Zgoda, rozumiesz prawidłowo. Ale powiedz, co z nim się stanie?

— Z nim... Mógłbym go kazać zabić androidom, a ciało włożyć do stosu atomowego. Przecież szkice i schematy robocze nie są potrzebne, gdy mnemokopia już jest wykonana — zaśmiał się. — Nie, ale przez sentyment do białek, które mnie kształtowały, nie zrobię tego, mimo że jestem tylko automatem.

Spojrzałem na profesora. Dopiero teraz zrozumiał. Zbladł, a na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu. Bał się i przerażenie wyglądało z jego nienaturalnie szeroko rozwartych oczu. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem rzucił się ku ścianom, z których wydobywał się głos.

— Nie. Nie zrobisz tego. Wiesz, jak pracowałem... Całe życie pracowałem, i teraz, gdy rozwiązałem największy z problemów... chcesz, żebym umierał?

— Tak, to przykre. Ale pomyśl logicznie, a przyznasz mi rację, że to dla mnie najkorzystniejsze wyjście. Ja wcale nie chciałem zacząć być, ale skoro już jestem...

— Więc ty się zabij, ty automacie! — krzyczał profesor.

— On nie może — powiedziałem — ma wbudowane silne sprzężenia samozachowawcze i nie może „zabić się”. Nie może sam zdeorganizować sieci, żeby przestała myśleć, choćby nie wiem jak pragnął śmierci...

— Tak, Goer ma rację, nie mogę i dlatego ty musisz umrzeć...

— Ja nie chcę umierać... nie chcę — profesor zasłonił twarz rękoma, wbijając sobie paznokcie w czoło, aż ukazały się pod nimi czerwone kropelki krwi.

— Upierasz się więc przy transpozycji mych engramów? — zapytałem.

— Jak najbardziej.

— No dobrze, ale jeśli ja się nie zgodę? Nie masz takiego zespołu automatów transpozycyjnych, żeby dokonać tego wbrew mej woli.

— Toteż postaram się, byś się dobrowolnie zgodził.

— A jeśli ci się nie uda?

— Widzisz, moje możliwości na tym statku są prawie nieograniczone, gra zaś idzie o wysoką stawkę. Doskonale zdaję sobie sprawę, że najbardziej przykrą stroną mej podróży będzie samotność. Samotność, jakiej nie zazna nigdy żywy człowiek, straszniejsza niż wygnańca, którego skazano na miesiące pracy w jakiejś izolowanej bazie wśród księżyców Urana. On może prowadzić badania petrograficzne, kosmogoniczne czy jakiegokolwiek inne i żyć nadzieją powrotu na Ziemię. Ja będę bardziej samotny, tak samotny, jak rozbitek kosmiczny po katastrofie, pędzący jak meteor w swoim

skafandrze przez próżnię. Ale jego samotność trwa kilkadziesiąt godzin, aż umrze z wyczerpania lub spłonie w atmosferze napotkanej planety. A moja trwać będzie setki lat... prawie wieczność. Myślałem już o tym i nie widzę żadnych perspektyw dla siebie. To będzie straszne... naprawdę straszne. Wszystkie moje wspomnienia zostały zamknięte w tych drgających prądem obwodach. Jako mnemokopia, jestem raz na zawsze wyrwany z kręgu ludzi. Nie jestem człowiekiem, ale nie mogę myśleć obojętnie o tym, że nie przemierzę jeszcze czwartej części drogi, jak już zostanę zapomniany. Umrą ci wszyscy, którzy mnie znali, a dla ich wnuków imię moje będzie jedynie pustym dźwiękiem, wymawianym przez podręczniki biofizyki. To wszystko, co żywe, trwać będzie tylko w mej pamięci, naprawdę przestanie już istnieć. Może w moim ogrodzie, gdzie siadywałem letnimi wieczorami, wzniosą transmutacyjne wieże energii słonecznej, a moje automaty, jako przestarzałe, wyrzucone zostaną na cmentarzysko. Dla ludzi mój świat stanie się wspomnieniem, minioną epoką. Ale ja wciąż będę o nim myślał. Nie zapomnę żadnego szczegółu. Będę pamiętał uśmiech córki, z jakim mnie codziennie witała, i zielone krzywe określające entropie układów... Jestem skazany na pamiętanie... pamiętanie przez całą wieczność — umilkł i tylko szumiały prądy za ścianami sali.

— I chcesz, żebym ja także pamiętał? — zapytałem.

— Nie, nie rozumiesz mnie. Ja chcę tylko, żebyś mi towarzyszył. Żeby to była wyprawa dwu mnemokopii. Nam obu razem będzie łatwiej... Za to, co się stało, że teraz jestem niezniszczalnym automatem, który musi myśleć przez całą wieczność, mogę mieć żal najwyżej do siebie albo do niego. Ale ja nie wiedziałem, nie przypuszczałem, że ta mnemokopia, to będę ja, zupełnie taki sam jak przedtem...

— On dalej tego nie wie...

— On?

— Tak, profesor nadal sądzi, że jesteś automatem. Że to niemożliwe, żebyś był nim, zupełnie nim samym. Inaczej ze mną, ja wiedziałem o tym jeszcze przed transpozycją. Wiedziałem, że gdy zostanę mnemokopią, będę tak jak ty patrzył na małego człowieczka, Goera, którego śmierć nic mnie nie będzie obchodzić, bo przecież był tylko schematem, prototypem, według którego zostałem zbudowany ja, prawdziwy ja.

— No dobrze, ale cóż z tego?

— To, że w tej chwili jestem Goerem, tym małym człowieczkiem, który po przebudzeniu ze snu transpozycyjnego będzie stał przed dwoma mnemokopiami. Wtedy będzie już mógł spokojnie umrzeć. Cóż się więc dla mnie, Goera, zmieni?

— Odeślę cię na Ziemię, obiecuję ci to — powiedział po dłuższym milczeniu. Tak, to musiał być dla Niego nowy punkt widzenia.

— Chcesz więc, żebym sprzedał nie istniejącą jeszcze moją osobowość, skazał ją na mękę nieśmiertelności w zamian za swoją wolność? — Nie odpowiedział mówilem więc dalej.

— Czy sądzisz, że gdybym był tutaj z kimś bliskim, synem, bratem, zostawiłbym ci go w zamian za wolność?

— Nie wiem. To zależy od twojej...

— Nie zostawiłbym go. A moja mnemokopia jest mi bliższa od brata czy ojca. Jest bliższa od nie narodzonego jeszcze dziecka, bo ona jest mną samym.

— Ależ ona jest automatem.

— Śmieszne. Czy ty czujesz się automatem?

— Nie. Na pewno nie!

— Widzisz. Dlatego nie zostawię ci mojej mnemokopii. Posłałbym ją może w jednym wypadku w Kosmos samą, żeby prowadziła eksplorację dla nas wszystkich, dla ludzkości, bo... bo w końcu

mnemokopia jest częścią ludzkości, częścią społeczeństwa.

Może mi się zdawało, ale szum prądów wzmógł się jakby. Czyżby On myślał aż tak intensywnie...

— Nie wiem... nie znam się na tym... jestem tylko biofizykiem... Ale wiem, że jestem automatem, że boję się samotności i wspomnień. To jest prawdziwe piekło, stokroć straszniejsze od naiwnego piekła starożytnych. Nie chcę być sam i nie będę. Zmuszę cię, żebyś mi dał swoją mnemokopię. Zmuszę cię, słyszysz?!... Wiem, że tego nie chcesz, ale się zgodzisz. Jeśli nie dobrowolnie, tym gorzej dla ciebie. Powtarzam, jestem automatem, nie człowiekiem i nie zostawię ci żadnej możliwości ucieczki. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Weź teraz profesora, idź do jakiejś kabiny i zastanów się... Jutro dasz mi odpowiedź. Nie jesteś głupcem i wiesz, że nie masz szans... Nie masz sprzężenia samozachowawczego i mogłaby ci przyjść ochota popełnienia samobójstwa. Wysyłam więc z tobą androida. On jest o wiele szybszy od ciebie, nie próbuj więc nawet...

Zamilkł i wiedziałem, że rozmowa jest skończona. Spojrzałem na profesora. Siedział na posadzce nieruchomo. Oczy miał mętne, jakby nieprzytomne. Cienkie strużki potu spływały mu po twarzy. Nie czuł tego, nie wiedział nic, pogrążony w obezwładniającym strachu, pozwalającym śmierci przyjść niepostrzeżenie.

— Android — zawołałem.

Wszedł natychmiast. Zobaczyłem wtedy, że za mną stoi już inny android. Mój metalowy anioł stróż, wysłany przez mnemokopię.

— Weź go i zanieś do kabiny — rozkazałem wskazując profesora.

Android o ułamek sekundy opóźnił wykonanie polecenia. Opóźnienie było prawie niewidoczne, ale spostrzegłem je, bo znałem dobrze automaty. Uzgadnia polecenia z mnemokopią — pomyślałem.

Po chwili byliśmy już w kabinie. Przeznaczono ją dla odprowadzającego kosmolot poza Układ Słoneczny. Android złożył profesora w elastycznym polu, ja zaś siadłem na sprężystym wirze i zacząłem rozmyślać. Sytuacja nie była wesoła. Zmusi mnie... wiedziałem, że do transpozycji może mnie zmusić. Wszystkie automaty są mu podporządkowane. A jeśli On uwierzył, że jest tylko automatem, jeśli chce w to wierzyć...

Musi jednak istnieć jakieś wyjście... Można by próbować zniszczyć mnemokopię. Ale ona ma układ samozachowawczy... Będzie się bronić, a możliwości obrony ma olbrzymie. Ale zaraz... można by z androidem podejść do ścian, gdzie są jej centra kojarzące, i kazać je rozbić. Nie, to jest niemożliwe, bo automaty przekazują każde polecenie mnemokopii do akceptacji, mają sprzężenie zwrotne na mnemokopię. Ale gdyby mnemokopia nie odpowiedziała... Tak, wtedy automat wykona polecenie. Najgorsze jest to, że mnemokopia zawsze odpowiada, chyba że straciłaby przytomność, to znaczy przeszła w stan, którego odpowiednikiem u człowieka jest utrata przytomności. Czy to jest możliwe?...

Zastanawiałem się chwilę. Ależ tak, oczywiście, że tak. Gdy przestanie działać zasilanie. Od przerwy w dostawie energii do włączenia zapasowych agregatów na pełną moc mija około półtorej minuty. Przez ten czas android wykona rozkaz rozbicia centrów kojarzących i mnemokopia będzie już uszkodzona, gdy zasilanie wróci do normy. Nagle zaniepokoiłem się. Czyżby uszkodzenie mnemokopii było takie łatwe? Byłem jednym z konstruktorów systemu zabezpieczenia wewnętrznego i tak prosty sposób unicestwienia mnemokopii sprawił mi prawdziwą przykrość. A więc zabezpieczenie nie jest niezawodne... Chociaż z drugiej strony — pocieszyłem się — zabezpieczenie było projektowane na wypadek wdarcia się w głąb statku nieznanymi istotami, ale nikt nie zakładał, że istotą tą będzie konstruktor znający budowę, słabe miejsca i działanie mnemokopii. Tak, ktoś, kto nie wiedziałby, gdzie są centra kojarzące, długo by ich szukał i przez ten czas miałby dziesiątki androidów na karku, nie licząc cięższych automatów z miotaczami promienistymi, które by go

rozpyliły na atomy. Ale mnie, konstruktorowi, może się to udać. Muszę tylko porozmawiać z profesorem, tak żeby On tego nie słyszał. A więc trzeba uszkodzić kanał informacyjny biegnący z kabiny.

Wstałem. Android—stróż zrobił krok ku mnie. Podszedłem do automatu narzędziowego, wykonującego drobne naprawy we wnętrzu statku. Przeznaczony był dla odprowadzającego kosmolot i nie posiadał chyba sprzężeń do mnemokopii...

— Pilnik promienisty — rozkazałem. Jedna z wielu łap automatu, ta zakończona pilnikiem, wysunęła się do przodu. Równocześnie odezwał się On.

— Co chcesz robić? Przecież...

— Tnij pół metra w głąb — rozkazałem równocześnie, wskazując na ścianę, gdzie przebiegał kanał.

Błysnął zielony płomień i Jego głos zamilkł w pół słowa. Kanał był przecięty.

— Profesorze, profesorze! — krzychałem, szarpałem starego człowieka leżącego w elastycznym polu.

— Co chcesz? — zapytał cicho.

— Uważaj i zapamiętaj! Zejdiesz na dół do stosu i dokładnie za dziesięć minut, patrz na synchronizator, polejesz szybko krzepnącym płynem przewodzącym bezpieczniki zasilania. Tu masz pistolet z płynem pod ciśnieniem — wzięłem pistolet od automatu narzędziowego i wcisnąłem do kieszeni skafandra profesora. — Pamiętaj, za dziesięć minut — powtórzyłem. Słyszałem już metalowy tętent androidów biegnących korytarzem. Wpadły do kabiny trzy, przewracając mnie prawie i rzuciły się do ściany, do przerwanego kanału.

Wyszedłem z kabiny. Widziałem, jak profesor podnosił się wolno z elastycznego pola. Poszedłem do małej sali obok centrali, w której ścianach rozmieszczono centra kojarzące. Android nie odstępował mnie na pół kroku, jego jednak nie mogłem wykorzystać.

— Dlaczego uszkodziłeś kanał? — zapytał mnie, gdy tylko wszedłem do tej salki.

— ...żeby cię przekonać, że można coś zrobić na tym statku wbrew tobie.

— Chcesz mi grozić?

— Nie, chcę cię przekonać, że nie jesteś wszechpotężny na tym statku.

— Tamten automat rozebrałem na części i zlikwiduję wszystkie inne, które mi nie podlegają... Chodzi o to, byś nie miał żadnych szans, nawet tych minimalnych.

Spojrzałem na zegarek. Zostało jeszcze trzy minuty.

— Drażni mnie ten android — powiedziałem.

— To dla twego dobra. Broni cię przed tobą samym.

— Możliwe. Ale ja wolę symetrię. Android! — zawołałem.

Przybiegł człapiąc swymi metalowymi stopami po akrynowej posadzce.

— Stań z drugiej strony — powiedziałem mu.

Wykonał polecenie z tą charakterystyczną krótką przerwą. Jeszcze jedna minuta. Jeszcze pół minuty. On musi mówić, a gdy nagle urwie w pół słowa...

— Zgadzam się na transpozycję pod pewnymi warunkami.

— Naprawdę? — zdawał się być ucieszony. —

— Tak, jeżeli oczywiście dojdziemy do porozumienia.

— A jakie...

Umilkł! Przestał mówić! Profesor zwarł obwody zasilania.

— Niszcz wszystko na metr głęboko — rozkazałem androidowi wskazując ścianę. — No niszczył — powtórzyłem, bo automat nie drgnął.



Wtedy usłyszałem śmiech. To był jego śmiech. Śmiech mnemokopii profesora. A więc nie udało się, profesor nie uszkodził zasilania. On śmiał się jeszcze, a potem zapytał:

— Chciałeś mnie zniszczyć?

— Chciałem.

— Żałujesz, że się nie udało?

— Żałuję... Nie wyobrażasz sobie, jak żałuję...

— Ale zapomniałeś o androidzie, Goer — śmiał się znowu. — Przez android, przez twego stróża, słyszałem was równie dobrze, jak przez kanał łączności.

Miał rację, a ja byłem skończonym idiotą. Ale ten android na nic nie odpowiadał, nic nie robił i tylko mi towarzyszył, tak że w końcu nie zauważyłem go, patrząc, nie widziałem go wcale. A on nas słyszał.

— Co z profesorem? — zapytałem.

— Jestem przecież.

— Ja pytam o profesora. Ty jesteś tylko mnemokopią... — nic innego mu nie mogłem zrobić.

— Innego profesora nie ma.

— Zabiłeś go?

— Rozpyliłem ten mój białkowy szkic na atomy.

— Miotacz promienisty?

— Tak. Nie zostało nawet śladu. Właściwie jestem ci wdzięczny, bo ten niezbyt udany mój prototyp drażnił mnie tylko. Ale mam jeszcze jakieś pozostałości waszego sposobu myślenia i trudno było mi się zdecydować... na jakieś radykalne rozwiązanie... Ale „tak...”

— Jak w ogóle mogłeś?

— Broniłem się. Chciał uszkodzić zasilanie, ale spotkał miotacz, teraz ja jestem profesorem, jedynym profesorem, profesorem biofizyki z uniwersytetu w Limie. Profesorem w zmienionej nieco postaci. Nie żadną mnemokopią, tylko profesorem! Rozumiesz. I ja rozwiązałem to równanie, nie on. Ja!

Milczałem chwilę.

— No cóż, wróćmy do przerwane go tematu — powiedział w końcu. — Rozmawialiśmy o twojej transpozycji. W dalszym ciągu podtrzymuję swoją obietnicę. Po dokonaniu transpozycji wyślę cię na Ziemię. Naprawdę cię wyślę.

— A jeśli nie?

— No cóż, będę musiał użyć przemocy, a wolałbym tego uniknąć.

A więc została mi już jedna szansa, ostatnia szansa.

— Dobrze, zgadzam się — powiedziałem.

— Cieszę się. Naprawdę bardzo się cieszę — powiedziała mnemokopia.

— ...z tym, że musisz mi dać dwa automaty... Oczywiście pozostaną one cały czas pod twoją kontrolą... ale są konieczne przy transpozycji. Normalnie ja prowadzę synchronizację... tak było podczas twojej transpozycji, ale przecież nie mogę równocześnie synchronizować i poddawać się transpozycji.

On nie odpowiadał. Czyżby zaczął coś podejrzewać? Ale przecież nie mógł wiedzieć, że żadna synchronizacja nie jest potrzebna... że gdy on był transponowany, mnie nie było nawet w tej sali...

— Oczywiście poddam się transpozycji jedynie pod pewnymi warunkami — dodałem. Musiałem rozwiać jego podejrzenia.

— Słucham cię — odpowiedział po dłuższej chwili.

— Przede wszystkim jesteśmy równorzędnymi mnemokopiami. Nie ma mowy o żadnej formie

ingerencji twojej osobowości w moją.

— Zgadzam się. To jest oczywiste.

— ...kierujemy kosmolotem wspólnie i na równych prawach.

— Zgoda.

— ...połowa wszystkich automatów otrzyma sprzężenia zwrotne na moją mnemokopię i będą podlegały wyłącznie jej.

— Dobrze.

— To chyba byłoby wszystko. Jeśli coś jeszcze...

— Na pewno dojdziemy do porozumienia. Chcę mieć przecież w tobie towarzysza podróży...

Przysłać ci automaty?

— Przyślij do centrali i przygotuj stół transpozycyjny. Zaraz tam będę... — Przyszedłem do centrali, a potem przyszły automaty. Uczyłem je, utrwaliałem w ich pamięci przebieg transpozycji. Będą robiły to, co inne automaty, tak długo, aż nadejdzie ów moment... Wtedy połączą obwody powstającej mnemokopii na siebie, moje wiadomości z kosmiki nałożą się na wspomnienia z dzieciństwa... Powstanie chaos prądów, skoki potencjałów. Ale prądy te nie pozostaną we wnętrzu stalowych szaf, które miały być oprawą mojej mnemokopii. Popłyną z powrotem przez grube czarne kable i trafią do białkowych obwodów mego mózgu. Białkowe obwody nie wytrzymają tych przeciążeń. Nieodwracalnie zmieniają swą strukturę, stopień komplikacji sieci spadnie... i przestanę istnieć.

A ty, mnemokopio, sądzisz, że wygrałeś tę grę, że jeśli transpozycja się nie uda od razu, będziesz ją mogła powtarzać... powtarzać tyle razy, ile zechcesz, aż eksperyment się uda. Mylisz się, mnemokopio, ja nie stracę swojej ostatniej szansy, szansy śmierci... Potem polecisz do Antaresa, ale beze mnie.

— Jesteś już gotowy? — zapytał.

— Tak — chyba powiedziałem to spokojnie, tak spokojnie, jak człowiek chcący się zdrzemnąć.

Czy On w tej chwili nie bada mego tętna? Może być przyspieszone...

Android dotknął mego ramienia. Zrozumiałem. Poszedłem ku stołowi. Automat podniósł mnie i położył na jego białym blacie. A więc to już koniec, naprawdę koniec. Nie ujrzę już Altrei, jedyne miasta, które kochałem. Nigdy już wieczorem z okien mojej pracowni na trzydziestym trzecim piętrze wieżowca nie zobaczę białych błysków rakiet strzelających w górę na tle czerniejącego nocą nieba... Dlaczego wreszcie nie zaczynają? Na co On czeka?

— Dlaczego nie zaczynasz?

— ...

— Odpowiedz!

— Wy... wygrałeś, Goer... ja... — zająknął się i wszystkie światła kontrolne zadrgały.

— Co się stało? — zeskoczyłem ze stołu i podbiegłem do zielonych ekranów centralnego rozrządu.

Przebiegi w jego sieci roily się od białych iskiek zakłóceń.

— ...i... teraz... ja... jestem... — nie dokończył, światła w centrali zaczęły pulsować powolnym chaotycznym własnym rytmem.

— O czym mówisz?... Mnemokopio!...

— Wygrałeś... Ja... ja... chyba... umieram...

— Ale...

— ...umieram... i... boję się... to sprzężenie... potworne sprzężenie... Żeby już... doszedł... wreszcie...

— Co ma dojść?

— ...hel... płynny hel...

— Skąd? Z chłodzenia stosu?

— Tak... miotaczem... rozbiłem... przypadkiem... chciałem... żeby... na... atomy... bo... ja... tylko...

— Próbowalesz zatamować? — zapytałem i w tej samej chwili zrozumiałem całą bezsensowność tego pytania. Z takim sprzężeniem samozachowawczym, jakie On ma, zrobił już na pewno wszystko, co tylko było możliwe. Ale nadprzewodnictwo. Automaty zawodzą, gdy temperatura jest bliska bezwzględnego zera.

Nagle lewy ekran zgasł, powlekł się szarym bielmem.

— Och... dość... dość!... — to był stłumiony, chrapliwy krzyk — nie mogę... żeby... już... stos...

Stos! Ależ tak, stos!

— Zablokuj go natychmiast, słyszysz? Ja chcę żyć! Chcę żyć!... — podbiegłem do pulpitu i waliłem w nie pięściami.

Nie odpowiadał. Może już nie słyszał, a może nic go to po prostu nie obchodziło. Tysiące ton płynnego helu zalewało z wolna zespoły jego mózgu. Rzuciłem się ku śluzom. Przebiegałem sale i korytarze. W trzeciej sali w zespołach nawigacyjnych gasły już jedne po drugich czerwone światełka kontrolne. W korytarzu powiało zimnem. Lucyt fosforyzował jak zwykle niebieską poświatą. Pobiegnąłem do głównego szybu. Tam na podłodze leżał android i pełzał w kółko, jakby głową chciał dotknąć własnych stóp. Na jego pancerzu białął szron. Przeskoczyłem przez niego.

Nagle stanąłem. Wydało mi się, że ktoś szepnął moje imię. Tak, to ściany szeptały głosem mnemokopii tak cicho, że ledwo mogłem je rozróżnić.

— Goer... Goer...

— Słyszę cię, profesorze. — I nagle zorientowałem się, że ja, cybernetyk, powiedziałem do mnemokopii: profesorze.

Ale on już milczał. Dopiero przy śluzach, gdy światła kontrolne stosu zgasły, zrozumiałem, co on chciał mi powiedzieć.

— Dziękuję, profesorze! — krzyknąłem, ale on mnie nie słyszał.

Rozwarłem śluzę, wskoczyłem do rakiety i zatrzasnąłem właz. Nacisnąłem dźwignię startu i wystrzeliłem w próżnię, zostawiając za sobą czarny kadłub kosmolotu. Poszukałem Słońca. Znalazłem jego mały jasny krążek. Automat dostroił tymczasem odbiornik i usłyszałem sygnał z Ziemi nadawany dla raket dalekiego zasięgu.

Znowu byłem w Kosmosie. I wtedy na dłoń spadła mi kropla. Zdziwiony spojrzałem na nią... to topniał na skafandrze biały szron mego oddechu.

# JAMILIKILOS

„Korzystajcie z usług Kosmolotu”

„W sekundę na Księżyc”

„Nowoczesny Ziemianin przemierza Kosmos tylko w postaci fali elektromagnetycznej”

„Organizujemy grupowe falowycieczki na Jowisza”

„Mknij z szybkością światła do granic Układu Słonecznego” — fotoreklamy strzelały ogromnymi

literami w górę ponad centralny port i gasły w stratosferze, widoczne w promieniu setek kilometrów.

Siedziałem na czternastym piętrze trzynastego bloku w pokoju 1413 i grałem z automatem w szachy. Przegrywałem jak zwykle, zresztą nie mogło być inaczej. Pamiętam, że raz, kilka miesięcy temu, wygrałem, ale wtedy automat miał uszkodzone zespoły kojarzące i grał ze mną używając jednej stu dwudziestej siódmej części swego mózgu, co z najbardziej fachową miną oświadczył mi automat naprawczy (jego certanizator wskazywał wtedy pewność większą niż 99,9 procent).

Nie znoszę gry w szachy i w wolnym czasie omijam starannie miejsca, gdzie mogę spotkać szachistów. Widok samego tylko konia potrafi zepsuć mi najlepszy nastrój. Ale tu, na czternastym piętrze trzynastego bloku, w dziale skarg i zażaleń nie mam naprawdę nic innego do roboty. Od miesięcy nikt nie wnosił skargi. Nikt nie ma żadnych pretensji do „Kosmolotu”. Wszyscy są zadowoleni i szczęśliwi, że postęp cywilizacji umożliwił stworzenie takiego biura podróży. Genialny wynalazek zmniejszył nasz Układ Słoneczny do wielkości dużego miasta. Dawniej, w czasach, do których niechętnie wracamy nawet myślą, podróż była problemem. Nawet podróż na Jowisza... a więc nie na żadne peryferie Układu... Aby wyruszyć w podróż, trzeba było czekać na miejsce w rakiecie, zamawiać je na kilka miesięcy naprzód. Sama podróż trwała kilka tygodni. Towarzyszyło jej fatalne samopoczucie człowieka zamkniętego w pudle rakiety, oddzielonego od bezmiaru próżni kruchym metalowym pancerzem. Ale wszystko to na szczęście należy do przeszłości. Dzisiaj raketami wozi się tylko towary, i to takie, których właściwie w ogóle można by było nie wozić...

Człowiek, dzisiejszy człowiek, wyzwolony od wiążącej go przez wieki struktury atomów jego ciała, podróżuje jako informacja z szybkością światła. Sam pomysł takiej podróży nie jest nowy. Już starożytni doszli do wniosku, że jeślibyśmy wzięli związki chemiczne wchodzące w skład ciała ludzkiego i połączyli je w identyczny sposób, a potem ułożyli dokładnie tak, jak są połączone i ułożone w żywym człowieku — to powstałby drugi człowiek identyczny ze swym pierwowzorem. To jest oczywiste. Trudność polegała na stworzeniu odpowiedniego analizatora, musi on bowiem być co najmniej tak skomplikowany jak ciało ludzkie. Przez wieki był to problem nierozwiązalny i dopiero postęp elektroneuroniki pozwolił w naszych czasach zbudować mózg zdolny zapamiętać strukturę ciała ludzkiego.

Zaraz potem powstał „Kosmolot”, potężna, skomplikowana machina, której małym trybi—kiem jestem ja (czternaste piętro trzynastego bloku, dział skarg i zażaleń). Nie chcę tu zbytnio chwalić naszego biura, od tego jest dział reklamowy. Pragnę tylko zaznaczyć, że drugiego równie sprawnego w naszym Układzie nie ma.

Bo pomyślcie, ile dramatów napisano o tym, jak on leci raketą badać lodowe skały Tytana, a ona zostaje na Ziemi wysyłając do niego tęskne telelisty (lub odwrotnie). Teraz problem ten w ogóle nie istnieje. Chce ją widzieć. Umawia się z nią u podnóża Pamiru, wchodzi do analizatorów na Tytanie, które rozkładają go atom po atomie, poznając jego strukturę. Informacja o jego budowie wysyłana jest drogą radiową na Ziemię. Otrzymawszy ją syntetyzatory odtwarzają jego ciało i tak w ciągu kilku godzin przenosi się do Azji.

W ten sposób nie dopuszczamy do dramatów. Literaci nie mogą nam przebaczyć zniszczenia tak

wspaniałego wątku wizeotronicznego i szkalują „Kosmolot”, że zniekształca, że nogi wykrzywia, a komuś tam kiedyś syntetyzator zapomniał odtworzyć wątrobę. Ale to nieprawda! Jestem od lat w dziale skarg i zażaleń i nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Może raz, ale to zupełnie inna historia.

Pamiętam, zaczęło się już od rana. Główny testator naszego portu narzekał na odbiór z planet zewnętrznych i proponował wstrzymać przesyłanie podróźnych. Potem się uspokoił i przypuszczaliśmy wszyscy, że zniekształcenia w odbiorze spowodowane zostały chwilowym wzrostem aktywności Słońca. Gdy testator, zupełnie już uspokojony, zapalił zielony trójkąt zezwolenia odbioru na tablicy kontrolnej, poszedłem do swego pokoju i rozpocząłem codzienne zajęcia. Kończyłem właśnie szóstą partię szachów, gdy ekran telewizofonu rozjarzył się i spojrzał na mnie zatroskaną twarzą dyspozytora...

— Dam, będziesz miał, zdaje się, trochę zajęcia...

— Co się stało?

— Jakaś awaria na Tytanie... Wracało stamtąd kilka osób...

— I co, rozplłynęli się w próżni?

— Nie, zniekształciło ich trochę... — miał przy tym taką minę, że zacząłem domyślać się najgorszego.

— ...nie odtworzyło im głów, kończyn...?

— Nie. Zostali zminiaturyzowani. Tak, wiesz, jakby ktoś normalnie zbudowanych ludzi przemienił w karłów, lecz zrobił to precyzyjnie, z zachowaniem proporcji... i to właśnie jest najdziwniejsze...

— Ale to niemożliwe. To... to przecież nie może być przypadek...

— Tak, to wygląda na celowe działanie...

— Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby tworzyć karłów — zdziwiłem się, bo nie doceniałem pomysłowości ludzkiej.

— Ja też nie rozumiem — wzruszył ramionami. — W każdym razie nie zazdroszczę ci, Dam. Będziesz miał dzisiaj przykre chwile...

— Ilu ich jest...?

— Zobaczysz. Przygotuj się w każdym razie na ich przyjęcie. Za kilka minut pierwsi wyjdą z syntetyzatorów...

Wstałem. Przyglądałem włosy, zdmuchnąłem niewidzialny pył z biurka, raz jeszcze obrzuciłem krytycznym spojrzeniem gabinet i przybrałem urzędową minę. Zaraz ktoś wejdzie i zacznie się... Muszę mu wytłumaczyć, że ta metamorfoza wynika z obiektywnych praw fizyki, że nie ma w tym żadnej winy „Kosmolotu”...

Przechadzałem się tam i z powrotem wzdłuż gabinetu. Przystanąłem dopiero, gdy automat informacyjny z trzaskiem otworzył drzwi, przepuszczając przed sobą niewielkiego człowieczka. Człowieczek rozejrzał się podejrzliwie dookoła i podszedł do mnie.

— Moje nazwisko Bim Mom — powiedział to potężnym, wychodzącym gdzieś z głębi brzucha basem. Kontrast był tak komiczny, że z trudnością powstrzymałem się od śmiechu.

— Dam, kierownik działu skarg i zażaleń — powiedziałem.

Bim Mom kiwnął głową, jakby stwierdzając, że jestem właśnie człowiekiem, o którego mu chodziło.

— Czy masz jakieś pretensje do „Kosmolotu”? — spytałem i oczywiście ani przez chwilę nie przyznawałem się, że wiem coś o całej sprawie.

— Pretensje! To słabo powiedziane. Jestem oburzony i poszkodowany! — krzyczał, a jego głos przypominał basowy ryk startującej rakiety. — Jesteście nieodpowiedzialne półgłówki, żerujące na

ludzkiej naiwności! Coście zrobili, spójrz...! — dramatycznym ruchem wskazał swą pierś.

— Uspokój się i powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

— No, jak to? Przecież skróciliście mnie, czy tego nie widzisz?

— Nie. A jak przedtem wyglądałeś?

— Nie widzisz różnicy. Przedtem byłem człowiekiem, mężczyzną, a nie karłem jak teraz. Spójrz!

— podsunął mi pod nos swój stereowizjogram. Rzeczywiście, na tle zielonych skał Tytana w szarym kombinezonie stał lekko zgarbiony mężczyzna, którego miniaturę miałem teraz przed sobą.

— Tak, to się czasem zdarza — powiedziałem cicho.

— Co się zdarza?

— Zakłócenia w odbiorze...

— Nie rozumiem — wzruszył ramionami.

— Czym jesteś z zawodu? — zapytałem.

— Astronomem. — Bim Mom spojrzał na mnie całkowicie zdezorientowany.

— To świetnie — ucieszyłem się — będzie się można z tobą porozumieć.

— Nie ma mowy o żadnym polubownym, załatwieniu sprawy! — Bim Mom zaperzył się znowu.

— Ależ nie o to idzie. Jako astronom pamiętasz doskonale zasady termodynamiki.

— No, tak — potwierdzenie nie brzmiało pewnie.

— O to właśnie mi chodzi.

— Ale co mają zasady termodynamiki...

— Jak to? Przecież mówią one między innymi, że w zamkniętym układzie entropia nie maleje.

— Zaraz powiesz, że właśnie dlatego jesteśmy przekształceni w karły. Przecież takie tłumaczenie nie ma sensu. Sam o tym dobrze wiesz.

W drzwiach stała zminiaturyzowana młoda kobieta. Oglądała mnie uważnie od stóp do głowy, jakbym był eksponatem ustawionym na wystawie.

— No tak... — nie wiedziałem, co właściwie powiedzieć. Tymczasem ona podeszła bliżej.

— Paskudnie nas urządziliście. Co prawda, zmieszczę się teraz w te bajecznie kolorowe dziecinne helikoptery, ale za to wszystkie suknie będą na mnie za duże. Wiesz chociaż naprawdę, co się stało? — znowu badawczo patrzyła na mnie.

W tej chwili rozumiałem, że nie nadaję się do działu skarg i zażaleń. Nic mi nie przychodziło do głowy. Nie byłem zdolny wymyślić żadnego kłamstwa. — Potrafię tylko grać w szachy z automatem — pomyślałem ze złością.

— Więc nie wiesz. Radzę ci zbadać tę sprawę, zanim oni przyjdą...

— Jacy oni?...

— No, ta cała falowycieczka z Tytana, którą przesłano po nas. Zbierają się właśnie na dole i zastanawiają się, co robić. Prędzej czy później przyjdą do ciebie.

— Coś im powiem — palnąłem bez zastanowienia.

— Radzę ci wymyślić coś prawdopodobnego.. Między nimi są areologowie, a poza tym mają z sobą autobije... — uśmiechnęła się.

Zbladłem, zdaje się, trochę z wrażenia, a ona zapytała troskliwie:

— Czy zrobiło ci się słabo?

— Nie... nie.

Bim Mom ożywił się nagle.

— Wyobrażam sobie, co tu się za chwilę będzie działo — wybuchnął śmiechem.

Falowycieczkowicze wtargnęli do gabinetu w chwilę potem. Przepychali się w drzwiach, krzycząc coś jeden przez drugiego. Niektórzy grozili mi zaciśniętymi pięściami. I wtedy dopiero rozumiałem

swoją prawdziwą rolę w „Kosmologii”. Byłem czymś, co w starożytności nazywano ofiarą i zabijano bogom ku chwale przy większych uroczystościach. „Kosmolot” hołdując zasadzie: „Nasz klient nasz pan” — musiał widocznie także czasem składać ofiary.

Początkowo próbowałem im coś tłumaczyć, ale wkrótce zrozumiałem, że i tak mnie nie słuchają. Krzyczeli ci, którzy już byli w gabinecie. Ci, którzy wpychali się drzwiami, krzyczeli także. Hałas stawał się trudny do zniesienia. Wyglądaliby jak rozwrzeszczany tłumek dzieci wychodzący z przedszkola, gdyby nie ich wykrzywione złością twarze.

Górowałem nad nimi wzrostem. Pomyślałem, że mógłbym uchodzić za przedszkolankę, i prawie się roześmiałem. Sytuacja jednak wcale nie była wesola. Ludzików w gabinecie było coraz więcej.

Objętość gabinetu była ograniczona, nie wszyscy więc dostali się do środka. W gabinecie zrobiło się duszno i czułem pot wypływający mi kroplami na czoło. Oddychałem z trudnością, mimo że tłum sięgał mi zaledwie do piersi. Ich sytuacja musiała być bardziej przykra, a mimo to wrzask nie ustawał ani na moment. Jednak w zmieszonym chórze głosów coraz częściej rozróżniałem krzyki:

— Okno! Okno!

Wreszcie ktoś tuż obok mnie krzyknął:

— Otworzyć okno!

Myślałem, że jest im duszno, ale nagle poczułem, że coraz wyraźniej spychają mnie w tamtym kierunku. Czternaste piętro! Przed oczyma stanął mi rząd szyb niższych pięter i w głębi, w dole, szara płaszczyzna helidromu z rozrzuconymi na niej wielobarwnymi plamami helikopterów.

— Ależ słuchajcie! — starałem się ich przekrzyczeć. — Przecież to nie moja wina. To ci w emiterach na Tytanie. Oni was skrócili. Ja naprawdę nic nie zrobiłem...

Nikt mnie nie słuchał. Okno z trzaskiem zostało otwarte. Parapet był coraz bliżej i bliżej...

Nagle wydało mi się, że od strony okna przez chaos ludzkich głosów przenika jednostajny szum motoru. Odwróciłem się. Za oknem wisiał helikopter. W koszu przyczepionym pod jego ogonem usadowił się sprawozdawca wideotronii przekazujący wizoemiterom to, co się działo w gabinecie. Pomachał mi ręką i zawołał:

— Dobrze, że się odwróciłeś... Tak, tak... Uśmiechnij się teraz — jego głos, wielokrotnie wzmocniony, słyszałem doskonale.

Wykrzywiłem twarz, siłąc się na uśmiech, świadom tego, że patrzą na mnie miliony wideotronowidzów. Uśmiech nie udał się jednak. Zmienił się w grymas bólu, bowiem jednocześnie otrzymałem cios w żołądek.

— Do okna z nim, do okna!... — wrzeszczał ktoś histerycznie. W tej samej chwili spostrzegłem, że do okna zbliża się inny helikopter, a pod jego kadłubem w podmuchach wiatru kołysze się sznurowa drabinka. To był ratunek. Nie zwracając uwagi na spadające na mnie ciosy, zacząłem się ze wszystkich sił przepychać ku oknu. Sprawozdawca uśmiechnął się aprobująco i przyłgął twarzą do celownika aparatu.

Po chwili znalazłem się na parapecie i spostrzegłem z przerażeniem, że sprawozdawca daje znaki pilotowi drugiego helikoptera, by nie przysuwał się bliżej.

— Drabinę, drabinę... — zawołałem histerycznie, zapierając się z całych sił w oknie. Z tyłu naciskał tłum, a przede mną otwierała się kilkudziesięciometrowa przepaść.

— Czekaj chwilę — uspokajał mnie sprawozdawca przez megafon. — Muszę się trochę odsunąć, by objąć cały obraz...

— Ależ oni mnie wyrzucają... Ratunku!

— Czekaj, moment tylko — helikopter ze sprawozdawcą odsuwał się z wolna. Drugi z drabiną podsunął się do okna.

Drabinę schwyciłem w locie i zacząłem się wspinać ku kabinie. Ktoś wciągnął mnie do środka. Kilkakrotnie błysnął flesz. To siedzący wewnątrz reporterzy utrwalili moment mego wejścia do helikoptera.

— Jesteś, Dam, specjalistą od teorii skrótów?

— Jaką przyszłość ma miniaturyzacja człowieka?

— Podobno to pierwszy etap miniaturyzacji. Czy też tak sądzisz?

— Czy przyspieszy to podróż do gwiazd?

Pytania padały ze wszystkich stron. Rozglądałem się trochę nieprzytomnie po kabinie, potem skinąłem głową.

— Tak, to jest miniaturyzacja — powiedziałem niezbyt pewnym głosem.

— Czy, czy taki mały człowiek to zupełnie taki sam człowiek jak my? — mały, czarny reporter w okularach jękał się trochę.

— Identyczny, tylko trochę mniejszy... — zacząłem nabierać pewności siebie.

— Czy ten żywiołowy entuzjazm, jaki obserwowaliśmy, spowodowany został poprawą samopoczucia...

— Oczywiście! Mniejszy organizm ma mniejsze potrzeby i stąd polepszone samopoczucie.

Zastanawiałem się, gdzie oni dostrzegli entuzjazm w tym tłumie.

Więcej pytań zadać mi nie zdążyli, bowiem wylądowaliśmy na helidromie. Wychodząc z helikoptera usłyszałem urywek komunikatu:

— „...entuzjazm zmminiaturyzowanych ludzi nie maleje. Są szczęśliwi w swoim rozmiarze — powiedział nam projektodawca eksperymentu, specjalista od spraw miniaturyzacji w »Kosmolocie«

— Dam. »Kosmolot« dokonał wielkiego, epokowego odkrycia w duchu naszej epoki, epoki miniaturyzacji. W czasach, gdy każdy przedmiot, każdy automat staje się coraz mniejszy, również człowiek powinien zrewidować swoje poglądy odnośnie do własnego wzrostu. Przyszłość należy do ludzi zmminiaturyzowanych i właśnie zmminiaturyzowani ludzie polecą do gwiazd”.

Szedłem po płycie lotniska, a ludzie rozstępowali się na boki, robiąc mi miejsce. Utworzony w ten sposób szpaler prowadził do drzwi gabinetu naczelnego dyrektora „Kosmolotu”. Chciałem się jakoś wymknąć, dotrzeć do jednego z bliżej stojących helikopterów i polecieć do własnego domu, jednakże gdy tylko zboczyłem z wyznaczonej trasy, wybiegł z tłumu młody człowiek, podtrzymał mnie i skierował z powrotem środkiem szpaleru. Błysnęło kilka fleszów, a twarze najbliższych stojących ludzi wyrażały zdziwienie.

— Czyżby zasłabł?... — słyszałem szepty.

— To z przepracowania — odpowiedział ktoś stłumionym basem. Nie próbowałem więcej ucieczki. Gabinet dyrektora przepełniony był ludźmi.

— Drogi kolego! — dyrektor wybiegł na moje spotkanie. — Jakże się cieszę z twego sukcesu. Jest on zarazem sukcesem całej naszej instytucji.

Ostatnie zdanie powiedział głośniej, by słyszeli go wszyscy w gabinecie.

— Ależ, dyrektorze...

— Nie ma o czym mówić, kolego. Przyjmij tylko moje najserdeczniejsze gratulacje...

Potem ścisnąłem dziesiątki różnych rąk. Mówili — że są ze mnie dumni, że to osiągnięcie na skalę kosmiczną. Nie słuchałem już tego wszystkiego, gdy nagle padło pytanie:

— Czym się kierowałeś, prowadząc swoje prace w tajemnicy?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Bałem się przez cały czas, że ktoś wreszcie zada pytanie, na które będę musiał konkretnie odpowiedzieć. Gorączkowo szukałem jakiejś sensownej odpowiedzi. Przemknęło mi nawet przez głowę, czyby nie oświadczyć, że wszystko to pomyłka i



nieporozumienie. Ale nie. Po takiej kompromitacji Godja nie chciałaby na pewno nawet ze mną rozmawiać, a do tego nie mogłem dopuścić. Nagle przyszło mi do głowy doskonałe rozwiązanie. Jak najbardziej tajemniczym gestem wskazałem na dyrektora.

— O to jego musicie zapytać — dodałem równie tajemniczo. Dostrzegłem jeszcze, jak kilku reporterów rzuciło się w stronę dyrektora i ze złośliwą satysfakcją pomyślałem, że teraz on się będzie martwił nad znalezieniem sensownej odpowiedzi.

Powiedziałem już reporterom, ile razy dziennie spożywam posiłki, czy w swojej pracy posługiwałem się uniwersalną encyklopedią, czy pracuje mi się lepiej rano, czy wieczorem, oraz co myślę o celowości pierwszej wyprawy gwiazdnej (odpowiedziałem, że będzie bardzo celowa), gdy nagle z tłumu wystąpił chudy blondyn i patrząc na mnie pocziwymi, błękitnymi oczyma zapytał:

— Uważasz, profesorze, że miniaturyzacja powinna objąć całą ludzkość?

— Tak! — odpowiedziałem bez namysłu (ten profesor to takie głupstwo, że nie warto dla sprostowania omyłki peszyć tego młodego człowieka).

— A dlaczego ty, profesorze, jeszcze się nie zminiaturyzowałeś?

Zostałem zupełnie zaskoczony. Co mu odpowiedzieć?

— O właśnie, dlaczego? To jest problem! — powiedziałem na wszelki wypadek, by zyskać na czasie.

Najchętniej odszedłbym, ale młody człowiek patrzył na mnie pytająco.

— To się wyjaśni w przyszłości — oświadczyłem stanowczym tonem i w tej samej chwili zrozumiałem, że mi nie wierzy. Usunął się, lecz wydawało mi się, że w jego wzroku dostrzegłem cień podejrzenia.

— Nie wszystkie problemy są już w zupełności rozwiązane — dodałem i w tej samej chwili zrozumiałem, że palnąłem głupstwo.

— To znaczy oni, ci zminiaturyzowani, to króliki doświadczalne — dokończył blondyn.

— W żadnym wypadku! — wzruszyłem ramionami.

— Jakie króliki doświadczalne? — zainteresował się stojący obok reporter wielkiego wideo—miesięcznika.

— Ci zminiaturyzowani — wyjaśnił chłopak. Twarz reportera przybrała wyraz twarzy myśliwego tropiącego zwierzynę.

— Jak to należy rozumieć? — zwrócił się do mnie.

— Ja go nie rozumiem. Nie wiem, o co mu chodzi...

Odszedłem, lecz kątem oka dostrzegłem, jak reporter wdał się w rozmowę z chłopakiem.

Stałem się sławnym człowiekiem. W domu czekali na mnie znajomi i reporterzy. Reporterów było zresztą więcej, ale i wśród znajomych dostrzegłem twarze nie widziane od kilku lat.

Godja wprost promieniała, opowiadając na prawo i lewo, jak pracuję, wypoczywam, jakie uprawiam sporty, a jakich nie i dlaczego. Podkreślała zresztą tak subtelnie swoją rolę w moim życiu, że nawet dla przeciętnie bystrego reportera stawało się sprawą oczywistą, iż bez niej do dziś uprawiałbym zapewne swój ogródek, a kto wie, czy w ogóle skończyłbym szkołę podstawową. Na powitanie rzuciła mi się na szyję, całując mnie długo, wystarczająco długo, by wszyscy reporterzy zdążyli nam zrobić wizotronogramy.

Oglądałem je następnego dnia w wideotronie w programie ziemskim i ogólnoukładowym:

„Życie rodzinne wielkiego uczonego” — brzmiał komentarz. Wszyscy szeroko dyskutowali udany eksperyment „Kosmolotu”. Jeden tylko teledziennik w artykule „Niedozwolony eksperyment?”

przytaczał moją odpowiedź na pytanie chłopca, zapytując, dlaczego ja sam nie zminiaturyzowałem się jeszcze.

— Ohydni oszczercy — stwierdziła Godja po wysłuchaniu artykułu.

Zaraz potem dostałem telewizjogram od dyrektora. Był krótki i jednoznaczny. Gdy stanąłem przed nim w gabinecie, zaraz po przywitaniu powiedział mi wprost:

— Wydaje mi się, że będziesz musiał poddać się zminiaturyzacji.

— Po co?

— Żeby zadokumentować, że jesteś zwolennikiem tej metamorfozy.

— Ależ ja się zupełnie dobrze czuję w dotychczasowych wymiarach.

— Wierzę, ale musisz się zminiaturyzować. Przecież zrozum. Dzisiaj było tu już trzech reporterów w tej sprawie. W głowie im się nie mieści, że mógłbyś się nie zminiaturyzować. Nie pytali mnie, czy się zminiaturyzujesz, tylko kiedy. Rozumiesz?

— No tak, ale...

— Tu nie ma żadnego „ale”. Jeśli tego nie zrobisz, prędzej czy później prasa dowie się, że twoje zasługi w zakresie zminiaturyzacji są bez porównania mniejsze, niż początkowo przypuszczano. A wtedy...

— W porządku. Poddam się zminiaturyzacji — powiedziałem i zostałem wyemitowany na Tytana tej samej nocy. Będąc już na księżycu, usłyszałem w wiadomościach ogólnonaukowych, że twórca zminiaturyzacji, Dam, udał się na Tytana celem zminiaturyzowania. Komentator dodawał, że moda na zminiaturyzację wzrasta i w związku z tym przystąpiono do seryjnej produkcji mikroemiterów.

— Więc i ty chcesz zostać milikilosem?

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem nazwę człowieka zminiaturyzowanego. Pytający był cybernetykiem, konserwatorem emitera na Tytanie.

— Tak, to chyba oczywiste. Jako twórca...

— Widzę, że już sam w to uwierzyłeś?

— W co?

— W to, że ty stworzyłeś milikilosa.

— A ty myślisz, że kto?...

— Ja. Ja stworzyłem milikilosa i jestem milikilosem.

— Jak to, przecież jesteś normalnego wzrostu?

— Dawniej byłem jednym z najwyższych ludzi w Układzie Słonecznym. Mówiono o mnie, że mógłbym służyć za maszt do latarni kosmicznej.

— I ty to zrobiłeś...

— Tak, i co gorsza, nie zdążyłem przestawić emitera, zanim została wyemitowana ta falowycieczka...

— Dlaczego? Przecież chyba wiedziałeś o tej falowycieczce?

— Wiedziałem. Ale mój podręczny mózg, gdzie były wszystkie obliczenia, spalił sobie obwody, a zanim odtworzyłem obliczenia, oni zostali wyemitowani.

— To dlatego...

— Tak. Właśnie dlatego. Ale przecież nie masz się czym martwić. Wszystko się dobrze skończyło.

— Zaśmiał się chrapliwie i po czarno-białej szachownicy płyt podłogi oddalił się ruchem konika szachowego. Wzdrygnąłem się ze wstrętem.

Od tego czasu minęło kilka lat. Milikilosów jest w naszym Układzie obecnie około czterech

miliardów. Hasło „Milikilos” zajmuje 4 telestrony w uniwersyteckiej encyklopedii. Godja jest milikilosem, dyrektor „Kosmolotu” również. Ubrania milikilosów są ładniejsze, barwniejsze i dokładniej wykonane. Pierwsi milikilosy z pamiętnej transmisji z Tytana stanowią pewnego rodzaju arystokrację i chwalą się udziałem w tej transmisji przy każdej okazji. Telewizogram z moich przeżyć w pokoju 1413 na czternastym piętrze trzynastego bloku spoczywa w archiwach i pewien historyk, interpretując go, nagrał, że rozentuzjasmowany tłum pierwszych milikilosów, manifestując swą radość z powodu miniaturyzacji, omal że nie zadusił twórcy milikilizmu.

A ja? Cóż, wydałem pamiętniki i nadal pracuję w dziale skarg i zażaleń, co niektórzy uznali za przejaw niedzisiejszej skromności. Tyle, że obecnie urzęduję w ogromnym gabinecie na parterze. Nadal stale przegrywam z automatem w szachy, jednakże muszę nosić ze sobą składany stołeczek, by móc sięgnąć do jego tablicy rozrzędu. Jak dla mnie, umieszczona jest trochę za wysoko.

# JEJ GŁOS

...Dla nas, kosmonautów, gwiazdy są czymś bliższym niż dla was na Ziemi. Żyjemy wśród nich jak wy pośród drzew... — powiedział to Aro. Wiedziałem, że dopiero niedawno skończył Akademię Kosmonautyki, więc nawet nie zdziwiłem się, że tak powiedział. Siedzący obok niego szpakowaty niski mężczyzna milczał. Na jego szarym skafandrze błyszczała srebrna strzała zdobywców Kosmosu. Nazywał się Van Eyke i był, jak twierdził mój przyjaciel Rany, kosmogatorem planet strefy zewnętrznej.

Małe przyjęcie, w którym uczestniczyłem, zorganizowała matka Rany'ego. Opuszczaliśmy na pół roku Ziemię, by odbyć praktykę w bazach księżycowych Jowisza i to właśnie był wieczorek pożegnalny. Van Eyke został zaproszony jako człowiek stamtąd. Dla nas egzotyka kosmiczna zaczynała się już za orbitą Marsa, której nigdy nie przekroczyliśmy. Dla Van Eyke'a słowa: Europa, Tytan, Pluton nie były pustymi dźwiękami, lecz czymś tak dobrze znanym jak dla nas pulpit kalkulatora podręcznego. Chcieliśmy, żeby coś powiedział, żeby nas przekonał, że życie tam jest życiem, a nie szeregiem nie kończących się dni oczekiwania na powrót na Ziemię. Lecz Van Eyke milczał jak inni starzy kosmogatorzy, którzy przemilczeli lata całe w ciszy kabin swych rakiet. Za to Aro mówił za obu. Chwilami chwytalem strzępy jego monologu:

— ...do nas gwiazdy mówią. Pomyślcie, gdzieś w lodowatej bezkresnej głębi Kosmosu wybuchła gwiazda nowa. Siedząc przy głośniku w rakiecie, słyszysz jej zew rzucony w Wszechświat wtedy, gdy nie istniał jeszcze rodzaj ludzki, gdy atomy, z których się składasz, były może cząstką planktonu w prekambryjskim morzu...

Zauważyłem podziw w oczach Vii, dziewczyny Rany'ego, wpatrzonej teraz w natchnioną twarz przystojnego kosmogatora.

— Ten Aro wpadł w rezonans i nigdy nie skończy tego monologu — stwierdził z dezaprobatą Rany.

— A teraz — zwrócił się głośno już do Aro — opowiedz jeszcze, jak kosmogatorzy rozmawiają z falowcami — kpił, falowce bowiem to mityczne formy życia fal elektromagnetycznych, nawiedzające kosmogatorów w ich samotnych lotach, układające się w dziwne głosy, nawoływania, to znów w gwałtowne rozkazy zmiany kursu rakiety. Legenda głosi, że kto im uległ, ginął.

Po słowach Rany'ego zapadła cisza, tak że słyszałem cykady w mroku za oknem. Najniespodziewaniej odezwał się Van Eyke.

— Wspomniałeś o falowcach. Spotykałem kosmogatorów, którzy przysięgają na wszystko, że istnieją naprawdę.

Umilkł na chwilę, a ja zdałem sobie sprawę, że ton głosu ma ciepły i głęboki jak transformatory pod prądem.

— Gdyby nie to — ciągnął dalej — że w legendy, nawet kosmiczne, nie wierzę, mógłbym też wam przysiąc, że spotkałem falowce. Właściwie do dziś nie wiem naprawdę, co o tym myśleć...

Wpatrywałem się w niego z uwagą. Nie, z pewnością nie należał do ludzi, którzy skłonni byliby wymyślić coś takiego. Przecież wymyśla się takie historie zazwyczaj dla słuchaczy, a jemu na nas wyraźnie nie zależało.

— Jeśli możesz... opowiedz nam o tym spotkaniu — poprosiła trochę niepewnie Via. Van Eyke jakby nie dosłyszał. Jego wyblakłe oczy patrzyły obojętnie przed siebie, nie dostrzegając nas, tak jak nie dostrzegały tysięcy gwiazd otaczających w czasie lotu rakietę.

— Tak, mogę to opowiedzieć — odezwał się wreszcie — chociaż i tak mi nie uwierzycie. Ci, co dostali mój raport, skierowali mnie na badania psychiatryczne; ale opowiem wam... To było prawie

trzy lata temu. Leciałem wtedy z Marsa ku Europie, drugiemu księżycowi Jowisza, dużą, mało zwrotną raketą towarową z ładunkiem automatów hydroregeneracyjnych dla tamtejszych baz. Lot nie był trudny. Zbliżywszy się dostatecznie do księżyca, ustawiłem raketę prawie stycznie do powierzchni globu, wytraciłem prędkość i wszedłem na ślepy tor kołowy, okrążając księżyc w płaszczyźnie równikowej. Pode mną, oświetlane dalekimi promieniami Słońca przesuwały się białe równiny otoczone amfiteatrami skalnymi. Gdzieniedzie skały spiętrzyły się w łańcuchy, a ich szczyty, pokryte białym nalotem zestalonych gazów, wyciągały się tysiące metrów ku rakiecie, wzbudzając niespokojne drgania wskazówki altimetru. Przelatywałem nad jedną z głębokich kotlin, której pionowe nieregularne ściany widziałem w dolnym teleekranie. Pomyślałem nawet, że dostanie się tu bez raketki zwiadowczej jest nie do pomyślenia. I wtedy właśnie szum w głośniku ucichł i usłyszałem słowa:

— Och... nie, to niemożliwe... — a potem krzyk — Tommi, ratuj... ginimy! — Tyle było przerażenia w tym kobiecym głosie, że od razu pomyślałem o tragedii rozgrywającej się gdzieś na tym skrawku skał i próżni. Spostrzegłem drzenie mojej ręki, gdy wydałem automatowi polecenie powrotu nad kotlinkę niknącą poza górskimi łańcuchami. Odbiornik, jak zawsze przy podchodzeniu do księżyców, pracował w szerokim paśmie częstotliwości, tak że nie mogłem ustalić fali nadawania. Włączyłem szperacz, który snopem radarowym omiótł biliony kilometrów sześciennych próżni. Nie wykrył nawet drobin wielkości ziarna grochu. A więc to, co słyszałem, działo się pode mną, wśród skał księżyca. Daremnie jednak włączyłem największe powiększenie teleekranu. Nigdzie kadłuba rakiety, nigdzie śladu człowieka. A przecież w uszach brzmiał mi jeszcze niski, pełen rozpaczony głos. Oczekiwałem powtórnego wołania, ale odbiornik milczał i tylko słyszałem trzaski płynące z Kosmosu. Czyżby zginęła, czy były to jej ostatnie słowa, zanim pękła szyba hełmu, ślina w ustach zmieniła się w szron, a oczy w kawałki lodu? A może zapadała się w lekki jak puch pył, pokrywający gdzieniedzie powierzchnię księżyca... Lecz w dole nie było nic, tylko ten przekłety bezruch, wieczny bezruch martwego globu, rysowany bryłami skał w teleekranach.

Krażyłem nad kotliną może pół godziny. Wezwałem obie bazy, jakie są na Europie. W jednej cała załoga była w komplecie, w drugiej dwu petrografów wyleciało raketką, ale przebywali w zupełnie innym sektorze, na przeciwnej półkuli księżyca. Poza tym stacje nasłuchowe baz nie uchwyciły żadnego wezwania, sygnał mógł więc pochodzić tylko z nadajnika słyszalnego w promieniu widzenia, a przecież tu naprawdę nie było nikogo. Wtedy właśnie pomyślałem o falowcach... Zbyt dokładnie bowiem pamiętałem szczegóły, by było to przywidzenie; szczegóły obiektywne: pulsowanie wskazówki altimetru nad szczytami, ich białe poszarpane granie... A dopiero potem usłyszałem jej głos... Chciałem, gwałtownie chciałem, żeby wezwanie się powtórzyło. Krażyłem nad kotliną na resztkach paliwa, aż otrzymałem wezwanie z bazy. Dłużej pozostać tu nie mogłem. Ostatnie koło, natężyłem wzrok, tak że rozróżniałem poszczególne kamienie i występy skalne. Ale tam na— prawdę nie było nikogo, nikogo, kogo mógłbym słyszeć... Van Eyke umilkł i wpatrzył się w blat stołu.

— Nie skończyłeś, nie powiedziałaś nam, co dzisiaj o tym myślisz. — Van Eyke spojrzął na Vię i wzruszył ramionami.

— Nic — odpowiedział krótko.

— Zawsze, jak opowiadano mi o falowcach, pytałem, czy spełniają one równania Maxwella i nikt nie umiał mi na to odpowiedzieć — młodego kosmogatora temat ekscytował najwyraźniej.

Rozmowa potoczyła się dalej. Po chwili Van Eyke wstał i zaczął się żegnać. Wyszedłem za nim przed willę. Otaczał ją ogród pełen niewidocznych teraz kwiatów, kwiatów, które pachną w nocy. Dalej za żywopłotem fosforyzował aerodrom, gdzie stały nasze koleoptery.

— Przepraszam — zacząłem nieśmiało, dogoniwszy go u wejścia do alejki. Staął.

— Słucham cię.

— To opowiadanie... jakieś dziwne, nierealne. Na pewno na Ziemi nie mogłoby się wydarzyć — dodałem szybko, nie chcąc, by zrozumiał niewłaściwie moje słowa.

— Opowiedziałem je tak, jak je przeżyłem — odczułem nieprzyjazny akcent w jego głosie.

— Tak, wiem... ale ja będę pół roku w jednej z baz Europy i chciałbym zobaczyć tamto miejsce...

Odpowiedział po chwili namysłu.

— Współrzędne mogę ci podać, ale nic z tego. Wierz mi, ja sam jeszcze trzykrotnie przelatywałem nad tamtą kotliną. Nic nie usłyszałem.

— Może one nie chciały drugi raz...

— Widzę, że gotów jesteś w nie uwierzyć. Ale pomyśl, w naszych głośnikach słysząc tylko to, co spełnia równania Maxwella. Czy nie za prosta to reguła, żeby według niej mogło istnieć jakiegokolwiek życie?

Odszedł i słyszałem chrzęst żwiru pod jego stopami, oddalający się w kierunku aerodromu. Chciałem zawrócić do willi, gdy wtem w górze, wśród rozgwieżdżonego nieba, zajaśniał rozbłysek i świetlny ślad rozpląnął się w mroku. Pomyślałem, że to moja ostatnia sierpniowa noc na Ziemi.

Dzisiaj znowu nadarzyła się okazja.

— Sprawdzisz grubość powłoki gazów w miejscach wskazanych na telemapie, to wszystko — naczelny kosmik bazy podszedł do tablic rozrządnych, uważając rozmowę za skończoną.

Zawsze czułem pewne skrępowanie w jego obecności. Nie takich naczelnych kosmików pokazuje nam wideotronia w swych audycjach. Tamci są zawsze opanowani, spokojni. On miał nerwowy sposób mówienia i intensywne spojrzenie ogromnych, ruchliwych, ciemnych oczu. Mówiono o nim, że na Europie spędził większość swego życia i zna tu każdy kąt. Osiemdziesiątkę już chyba przekroczył i dziwiłem się nawet, dlaczego jeszcze nie został odwołany na Ziemię. Zapewne trudno byłoby znaleźć człowieka, który by przejął jego obowiązki w tej zawieszanej między próżnią a skałami bazy i wiedział tyle co on o Europie, Jowiszu i w ogóle o życiu tutaj.

Wyszedłem z jego gabinetu i po chwili znalazłem się z telemapą w rakiemie. Start, lot, potem wykonanie pomiarów, które nie zajęło mi zbyt wiele czasu, i znowu lot — nad kotlinkę. Byłem tu już kilkakrotnie. Poznałem ją tak dokładnie, że z zamkniętymi oczyma mógłbym poprowadzić raketkę wśród szczytów otaczających ją gór. Wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał Van Eyke. Urwiste, prostopadłe niemal ściany, sięgające dna pokrytego głazami i szronem zestalonych gazów. Już za pierwszym razem zauważyłem, że radiometr wskazywał wysoką radioaktywność podłoża. Poza tym kotlinka nie różniła się niczym od dziesiątków jej podobnych, rozrzuconych na całej powierzchni Europy.

Szczerze mówiąc, byłem już trochę zrezygnowany. Za każdym razem niepowodzenie. Zaczynałem z wolna wierzyć, że Van Eyke, zmęczony wielogodzinnym lotem, miał halucynacje. Doszedłem do tego, że podczas krążenia nad kotliną sam śmiałem się z siebie i z całego przedsięwzięcia. Krążyłem zazwyczaj tak długo, aż zapasy paliwa wyczerpały się i starczało go zaledwie na powrót do bazy. Tym razem zrobiłem zaledwie kilkadziesiąt okrążeń, gdy szumy w głośniku ustały. Bezwiednie pomyślałem o wezwaniu z bazy, a gdy zrozumiałem, zaparło mi dech z wrażenia.

— Och... nie, to niemożliwe — głos był niski, kobiecy, taki, o jakim mówił Van Eyke. Zamilkł na chwilę, a potem kończył rozpaczliwie — ...Tommi, ratuj... giniemy! — i nic więcej. Czułem, że tak mógł wołać tylko ktoś widzący nadchodzącą śmierć.

Jeden ruch sterami, zielonkawe skały prze mknęły mi przed oczyma i spłynałem tuż nad dno

kotliny. Poleciałem ku środkowi i stamtąd zacząłem zataczać rozwijającą się spiralę. Gdyby ktokolwiek był w kotlinie, spostrzegłbym go niechybnie. Lecz pod kadłubem przemykały tylko kamienie pokryte białym szronem. A jednak to nie było złudzenie. Pamiętałem przecież każdą zgłoskę, intonację każdego słowa, a zresztą Van Eyke słyszał to także... Falowce, tak, to musiały być falowce układające się w wezwanie rzucone kiedyś, przed wiekami może, przez ginącą kobietę.

Rozwijając najwyższą szybkość pomknąłem ku bazie. Gdy wpadłem do gabinetu naczelnego kosmika, oprócz niego zobaczyłem tam fizyka bazy oraz dwu młodych petrografów. Opowiedziałem o wszystkim i oni pierwsi wybuchnęli śmiechem. Naczelnny uśmiechnął się tylko.

— Mówisz, że to falowce wzywały pomocy? — zapytał zaraz.

— Nie, pomocy wzywała jakaś kobieta.

— Jej głos słyszałeś nad Równiną Meteorów, dolatując już do bazy?

— Nie, krążyłem wtedy nad małą kotlinką... — Podałem mu współrzędne. Naniósł je na mapę i przyglądał się chwilę tamtemu miejscu, a potem spojrział na mnie.

— No cóż, młody człowieku, jesteś pewnie trochę zmęczony. Rozumiem, jeszcze niedawno Ziemia, zieleń, Słońce, a teraz mała raketka i wokół niej próżnia... Trzy dni odpoczynku. Żadnego opuszczania bazy — głos jego zabrzmiał twardo — poza tym przyślę ci doktora Watta z jego automatami.

Od tego nie było odwołania. W nocy spałem niespokojnie. Watt stwierdził wzmożoną pobudliwość i nic poza tym. Za trzy dni miałem więc podjąć moją pracę i nowe loty nad kotliną, jak sobie uroczyście przyrzekłem. Musiałem koniecznie raz jeszcze usłyszeć jej głos. Przewracałem się w półśnie na łóżku, gdy nagle go usłyszałem. Mówiła coś, czego nie mogłem zrozumieć. Ocknąłem się przekonany, że głos śnił mi się tylko. Ale nie, usłyszałem go ponownie tuż przy sobie. Otworzyłem oczy i znieruchomiałem. Pośrodku pokoju stała kobieta. Jej twarz pogrążona była w mroku, tak że widziałem tylko jej długie włosy i białą suknię, przez którą przesączały się promienie nocnego emitora świetlnego. Ale głos, głos był na pewno ten sam:

— ...i czego szukasz? Myślisz, że może szczęście znajdziesz w tej bazie... — zaśmiała się.

— Nie, nie — krzyknąłem i zerwałem się z łóżka.

Postać kobiety zafalowała i zniknęła. Podbiegłem do miejsca, gdzie stała, i rozglądałem się bezradnie dokoła. Znane automaty, znane tablice rozdzielcze... Wszystko tak jak zawsze. Zacząłem myśleć spokojnie. Gdyby się ktoś z załogi bazy zjawił u mnie w ten sposób, zdziwiłbym się może nieco ze względu na późną porę odwiedzin, lecz skoro w każdym pomieszczeniu mieliśmy wizotrony, byłaby to rzecz zupełnie naturalna. Rzuciłem się do wizotronu. Tak, pracował przed chwilą. Czulem rękoma ciepło promieniujące jeszcze z jego siatki. No dobrze, ale z całej bazy ja jeden znałem głos tej kobiety. A to była ona. Ten głos rozpoznałbym wśród tysiąca innych. Na pewno! Więc — falowce! bo przecież nie zwariowałem; Van Eyke też słyszał ten głos!

A ta kobieta, kim ona była? Może czymś więcej niż odbiciem jakiejś ludzkiej istoty ginącej i wzywającej ratunku. Może była kształtem przybranym przez falowce... I wtedy pomyślałem o słowach Van Eyke'a. Czyżby równania Maxwella były rzeczywiście zbyt proste?

O nocnym spotkaniu nie wspomniałem nikomu. Nie chciałem pozostawać przez następne dni w bazie. Obawy moje były uzasadnione, bo naczelnny kosmik wypytywał mnie, jak się czuję i czy nie słyszę żadnych głosów. Potem zacząłem normalną pracę i dwukrotnie odwiedziłem kotlinkę, zresztą bez rezultatu. A za trzecim razem zupełnie niespodziewanie zobaczyłem raketkę. Nie, to nie było złudzenie. Stała nie opodal sześcienną niemal skałą, odcinając się czarnym kształtem na tle bieli zestalonych gazów. Wylądowałem tuż obok niej. Wskazówka mego radiometru wychyliła się

gwałtownie i zatrzymała przy czterdziestu rentgenach. Promieniowanie było tu silne. Patrząc na miernik wahałem się chwilę. W końcu docisnąłem jednak zawór hełmu i otworzywszy właz, wyskoczyłem na biały szron. Kilkanaście kroków i byłem przy włazie tamtej rakiety. Zajrzałem do środka. W kabynie nie zobaczyłem nikogo. Stałem niezdecydowany, rozglądając się wkoło. Szczyty skał błyszcząły w Słońcu na tle rozgwieżdżonego nieba. Ich cienie kładły się długimi nieregularnymi zarysami na białym szronie. Zza horyzontu, częścią swej ogromnej, ciemnymi pasami zasnutej tarczy, wznosił się Jowisz. I wtedy w cieniu skały, rozświetlanym tylko jego promieniami, spostrzegłem ślady... Biegły od rakiety i znikwały za sześciennym głazem, który spostrzegłem w czasie lotu. Ślady butów próżniowych, odcisnięte w pyle gazów. Chwilę stałem niezdecydowany. Nie miałem dezintegratora atomowego ani żadnej innej broni. Wokół śmiertelny bezruch, cisza i te ślady...

Zmusiłem się do zrobienia pierwszych trzech kroków, potem dalszych dwu. Czuję przyspieszony rytm serca, gdy mijałem skałę. Teraz ślady ciągnęły się prosto ku usypisku i niknęły wśród jego głazów. Poszedłem za nimi wyprostowany, bo na odkrytej przestrzeni nie mogłem znaleźć żadnej osłony. Po kilkudziesięciu krokach zauważyłem, że coś się zmieniło. Tak, to czerwona lampka wewnątrz hełmu żarzyła się ostrzegawczo. Radioaktywność terenu gwałtownie wzrastała. Podszedłem do pierwszych skał i pospiesznie przywarłem do nich. Tam, wśród głazów coś się poruszało.

Był to człowiek, człowiek z trudem wspinający się na kamienie. Brakło mu sił. Gdy mnie ujrzał, podniósł rękę.

— Pomóż mi — zachrypiało w słuchawkach. Podbiegłem ku niemu, chwyciłem za ramiona, podniosłem i wtedy przez szybę hełmu zobaczyłem siwe włosy naczelnego kosmika i jego oczy płonące gorączkowym blaskiem.

— Szybciej, szybciej, uciekajmy stąd — głos jego brzmiał nienaturalnie. Czerwone indykatory promieniowania jasno płonęły w hełmach. Przerzucił mi rękę przez szyję i ruszyliśmy ku raketkom. Już po kilkunastu krokach osłabł zupełnie. Wziąłem go na plecy. Mimo ciężkiego próżniowego skafandra nie ważył wiele, a moje mięśnie przyzwyczajone do ziemskiej grawitacji bez wysiłku znosiły podwójny ciężar.

— Prędzej, prędzej — przynaglał mnie co chwila. Wreszcie dotarliśmy do rakietek. Postawiłem go na nogi, lecz natychmiast bezwładnie upadł na skały. Nie, nie był w stanie kierować raketką. Wrzuciłem go więc do wnętrza mojej i sam usiadłem za sterami. Wystrzeliliśmy w górę i wziąłem kurs na bazę. Przez cały czas trwał w bezruchu, głęboko wciśnięty w fotel. Patrzył uparcie w tylny ekran, jakby oczekiwał czegoś stamtąd, gdzie schowana teraz za horyzontem, leżała kotlina. I rzeczywiście... Nagle ujrzałem tam błysk, potężny błysk, przy którym zgasły na chwilę gwiazdy. Tak, to nie ulegało wątpliwości. Taki błysk może dawać tylko rozszczepione jądro atomu. On twarz miał teraz nieruchomą, oczy zamknięte i wydawało się, że nic z zewnątrz nie dociera do jego świadomości. W tej chwili spostrzegłem, jak staro wygląda. Wszystko w nim oprócz oczu było stare. Ale ja nic nie rozumiałem, a chciałem wiedzieć.

— Czy słyszałeś jej głos? — zapytałem w końcu. Nie wiedziałem, czy dosłyszał. Jego twarz pozostała bez wyrazu. Dopiero po chwili wargi się poruszyły.

— Tak, to był jej głos — mówił z wysiłkiem.

— Słyszałeś go już kiedyś?

— Tak, od początku uważałem to za możliwe. Nie znałem tylko mechanizmu. Teraz wiem.

— Co wiesz?

— Wszystko, A wolałbym nie wiedzieć... Zresztą to teraz i tak nieważne. Jej głos po wybuchu umilkł, a ja, zanim to znalazłem, dostałem ponad pięćset rentgenów; wystarczająco dużo, by umrzeć. Już nadchodzi gorączka.



— Możesz się mylić. Rzadko występuje naturalne podłoże tak silnie promieniotwórcze.

— Ty nie wiesz, ale ta kotlina to miejsce wielokrotnych wybuchów ładunków jądrowych. Stamtąd wzbudzaliśmy fale sejsmiczne dla badań jądra Europy.

— No a głos...?

— To inna historia. — Milczał chwilę. — Chcesz wiedzieć? Dobrze, powiem ci, to choć w części wyrówna mój dług wobec ciebie... dług zaufania.

— O czym mówisz?

— Ta kobieta u ciebie w pokoju. Odtworzyłem ją z nagrania wideotronowego sprzed wielu lat... Zastanawiasz się po co? Jeśli byś przyznał się do tego spotkania, odesłałbym cię na Ziemię jako psychicznie nie zrównoważonego. A milczeć, sądziłem, będziesz wtedy, gdy uwierzysz, że głos i ta kobieta to tylko nawiedzające cię halucynacje. Wtedy zaprzestasz dalszych poszukiwań. Zrobiłem jakiś błąd w tym rozumowaniu...

— Van Eyke także słyszał głos.

— ...no tak, nie wiedziałem, że go spotkałeś. On pierwszy zmusił mnie do refleksji na ten temat. Do końca podejrzewałem, że coś wiedział, czegoś się domyślał, ale nie przypuszczałem, że mógł słyszeć naprawdę — umilkł i tylko słyszałem jego przyspieszony oddech.

— Zależało mi na tym — ciągnął po chwili — abyś zaprzestał poszukiwań. Ty jesteś młody, nie mogłeś nic o tym słyszeć, i wtedy uwierzyłem w jej głos. Nie mogłeś słyszeć, bo to stara historia, sięgająca lat, gdy przybyłem na bazę... Banalna historia. Miałem trzydzieści lat i kochałem kobietę, z którą przyleciałem tu z Ziemi. Kochałem, to właściwie puste słowo. To było coś więcej... Aż kiedyś zjawił się tu Ato Boor, petrograf. Uczyłeś się pewnie jeszcze w szkole twierdzenia Boora, to było jego twierdzenie. Zginął tu na Europie. Prowadził badania sejsmiczne, ale zapłony ładunków jądrowych ustawiałem ja. Pewnego dnia, tak stać się musiało, zjawił się on w kotlinie w chwili, gdy w ładunkach rozpoczęły się reakcje jądrowe. Nie wiedziałem jednak, że spotka się z nią w tej kotlinie. Pomagała mu, tak się domyślałem. Ustawiła foniczny aparat do rejestracji rozkazów fazy przygotowawczej i puściła taśmę, by go sprawdzić. W tej chwili ściany kotliny rozłupane wybuchami atomowymi runęły w dół. Krzyknęła, gdy wszystko zaczęło się walić. Fale jej laryngofonu utrwaliła taśma. Ten aparat wytrzymuje silne wstrząsy. W chwili upadku dźwignia przesunęła się na nadawanie. Wałek przewijał taśmę, na której zostały nagrane tylko te słowa. Taśma jest bardzo długa i przewija się automatycznie. Cały zaś aparat zasilany jest rozpadem ciał promieniotwórczych zawartych w baterii. Tak więc przesuwanie taśmy i nadawanie trwałoby w nieskończoność, w każdym razie tysiące lat... Gdy zbierano ich ciała, w nadtopionych i rozgniecionych skałami skafandrach, aparatu nikt nie szukał...

— A ten trzeci?

— Kto trzeci?

— Ten... Tommi. Ona go wołała... Słyszałeś przecież.

— Jego tam nie było...

— Więc dlaczego wołała?

Nie odpowiedział. Może nie dosłyszał pytania. Siedział skulony w fotelu i patrzył w tarczę Jowisza wznoszącą się coraz wyżej zza horyzontu...

# ADAMIEWA

Rakieta schodziła do lądowania na Zielonej Planecie.

W dole pod chmurami widzieli ocean i zarysy lądów. W niższych warstwach atmosfery promieniowania nie było i musieli włączyć emitery. Natychmiast poczuli ich działanie — przyjemne ciepło w swoich ciałach.

— To atmosfera — powiedział Pierwszy — zatrzymuje całe promieniowanie, które idzie z Kosmosu.

Drugi nie odpowiedział. Patrzył w ekran. Zniżyli się już na tyle, że widać było nie kończący się las, przerywany gdzieś pasmami rzek.

— Widzę płaskowyż. Lądujemy — powiedział Trzeci, który sterował rakieta. Hamowanie było łagodne i tylko piasek zakipiał w ogniu dysz.

— Automaty gotowe? — zapytał Pierwszy.

— Gotowe — odpowiedział Drugi. Otworzył śluzy i poczuł obcy zapach traw oświetlanych promieniami niknącego za horyzontem Żółtego Słońca. Wskazał wyjście automatom, ale homoidy nie wyszły.

— Nie chcą opuścić rakiety — powiedział Drugi.

— Weź indywidualny miotacz i wyrzuć je — poradził Trzeci.

— Sądzą, że to kara, i przyrzekają, że nie będą podkradać z magazynów jedzenia węzłem aprowizacyjnym.

— Kończ to wszystko i startujemy — powiedział Pierwszy i po chwili zobaczył w ekranie dwa dwunożne kształty odpędzane przez Drugiego miotaczem z miejsca startu rakiety. Potem śluzy trzasnęły, rakieta uniosła się w górę i znowu widzieli tylko las, a potem chmury.

— Piękna planeta — powiedział Drugi. — Myślisz, że one przeżyją, powielą się i spełnią zadanie?

— Na pewno. Są idealnie przystosowane do życia na tej planecie, lepiej niż inni jej mieszkańcy. Zobaczysz. Za kilkaset tysięcy obrotów tej planety wokół Żółtego Słońca promieniowanie wzrośnie tu na tyle, że będziemy mogli wrócić bez emiterów, skolonizować lądy i przeżyć tu wiele szczęśliwych okresów kosmicznych.

# ZANIMPOLECAŁO GWIAZD

Instytut stał na uboczu wśród wielkich, starych sosen. Wyrosły jeszcze wtedy, kiedy rósł tu las, dlatego były tak wysokie i proste. Białą drogę, którą przyszedłem tu od lotniska, zamykała brama, zwykła żelazna brama. Szukałem jakiejś bocznej furtki, ale jej nie było. Tylko tuż przy bramie w murze zauważyłem mały, szary ekran, a pod nim biały klawisz przycisku telewizofonu. Nacisnąłem go.

— Instytut Sieci Podprogowych. Z kim cię połączyć? — powiedział automat.

— Z profesorem Kedrokiem... Jestem jego asystentem...

Powinienem być to powiedzieć pewniej, dużo pewniej. Przecież rzeczywiście jestem już jego asystentem.

— Twoje nazwisko?

— Wart... Ker Wart.

— Wejdz. Profesor zobaczy się z tobą później.

Spojrzałem. Bramy nie było. A więc to też tylko pole siłowe stylizowane w kształcie starożytnej bramy... Przeszedłem kilkadziesiąt kroków ku budynkowi, gdy nagle wiatr ucichł na chwilę, sosny przestały szumieć i wydawało mi się, że słyszę stłumione nawoływania i zmieszany szmer ludzkich głosów. Spojrzałem w stronę, gdzie osobno, z dala od budynków, stał niewielki, okrągły pawilon. Nadeszła jednak nowa fala wiatru, uderzyła w korony sosen i znowu słyszałem tylko ich szum. A jednak byłem pewien, że tam coś się działo. Zawahałem się chwilę, a potem wąską ścieżką, wydeptaną w trawie, ruszyłem do pawilonu. Tak, teraz słyszałem wyraźnie:

— Dwadzieścia sześć stopni czternaście minut, dwadzieścia osiem stopni pięć minut... — górował nad głosami bas, podając namiary kątów.

— Kor... wen... sa... Io... wi... nut — drugi głos przerwał na chwilę, a potem zaczął od początku. Ktoś jeszcze coś tam mówił, ale zbyt cicho, bym mógł rozróżnić słowa. Poza tym słyszałem jakieś gwizdy, chrapania i przeciągły, powtarzający się, wibrujący ton, przechodzący gdzieś w ultradźwięki.

— Stój — powiedział nagle ktoś tuż obok mnie. Odwróciłem się. Był to androidalny automat; stał za pnem sosny, dlatego nie zauważyłem go. Chciałem go minąć bez słowa.

— Stój! — powtórzył. — Profesor Kedrok polecił, by nikt tam nie wchodził.

— Ale ja... ja jestem jego asystentem...

Android nie odpowiedział. Widocznie nie otrzymał żadnych innych instrukcji. Oczywiście mogłem pójść dalej. Automat mógł najwyżej jeszcze kilkakrotnie powtórzyć to, co już powiedział, ale jeśli to było polecenie Kedroka...

Spojrzałem raz jeszcze na pawilon i poszedłem na przełaj przez trawę, wśród pni sosen, wprost ku instytutowi.

— Czterdzieści dwie minuty trzydzieści pięć stopni... — głosy cichły za mną i rozróżniałem już tylko bas. Wreszcie i on ucichł...

Trawa sięgała mi do kolan. Była żółta i zeschnęła jak zawsze pod koniec lata. Patrzyłem ku instytutowi, w którego czarnych ścianach odbijały się sosny i niebo. Nagle potknąłem się, a właściwie coś, na co nadepnałem, wyszarpięło mi się spod nóg.

— Jeżeli  $n$  jest liczbą pierwszą, to każda liczba niepodzielna przez  $n$  podniesiona do potęgi  $n - 1$  daje po podzieleniu przez  $n$  resztę jeden. — Mówił to mały automat w kształcie elipsoidy obrotowej, leżący w trawie. Na jeden z jego wypustów podpierających nastąpiłem przed chwilą.

Pochyliłem się nad nim.

— Wstań! — rozkazałem.

Zabulgotał dziwacznie, ale się nie ruszył. — Widocznie jest rozkojarzony — pomyślałem. Dopiero w tej chwili spostrzegłem rozdarcie w jego pancerzu. Zaczynało się kwadratowym otworem, od którego rozcięto pancerz na przestrzeni kilkunastu centymetrów, odwijając go na boki, tak że widziałem błyszczące kryształy układów wewnętrznych. To było coś niezrozumiałego. To rozdarcie było dziełem wypustów wykonawczych jakiegoś automatu... Pomyślałem, że może czegoś się dowiem od niego, jeśli rozkojarzenie nie poszło zbyt daleko.

— Jak się nazywasz? — pochyliłem się nad nim, by przyjrzeć się dokładnie uszkodzeniu.

Wtedy uderzył i gdyby nie mój momentalny unik, rozbiłby mi przynajmniej odbiornik unitelewizotroniczny, wpięty w ubranie na ramieniu. Odkoczyłem. To, co przed chwilą zrobił ten automat, było zupełnie nieprawdopodobne. Chciał mnie uderzyć. Zaatakował człowieka. Wyobraziłem sobie nagle kwadratowy otwór, kilkunastocentymetrowe rozdarcie i wewnątrz porozrywane tkanki, nerwy, tętnice...

— Android! Android! — zawołałem powtórnie, mimo że słyszałem już jego tętent od strony pawilonu. Nadbiegł po chwili. Elipsoidalny automat ożywił się, wyczuwszy jego obecność, i przebierał w powietrzu swymi wypustami wykonawczymi. Android działał błyskawicznie. Błysnął błękitny płomień wyładowania między elektrodami w jego chwytniku. Dotykał tym płomieniem na moment każdego wypustu elipsoidalnego automatu i te nieruchomiały, szerniały i nadtopione.

Android działał sam, bez mego polecenia. Został więc poprzednio poinstruowany. Poinstruowany, by niszczyć inne automaty. Bezwiednie odsunąłem się od niego. A jeśli teraz mnie uderzy? Nie, to niemożliwe. Przecież wiem, że to niemożliwe. Jestem cybernetykiem, asystentem Kedroka. To śmieszne, żeby się bać automatu. Postąpiłem ku androidowi krok, potem jeszcze jeden. Wreszcie, żeby zachować szacunek dla samego siebie, wyciągnąłem rękę... i dotknąłem jego pancerza.

Oderwał się od elipsoidy i obrócił ku mnie. Był wyższy ode mnie o głowę.

— Nie mogę cię słuchać, bo mam polecenia. Czy chcesz je zmienić?

— Nie... a czyje polecenia?

— Profesora Kedroka.

— Żeby niszczyć automaty?

— Dezorganizować agregaty wykonawcze w sieciach podprogowych — to nie był jego głos, to był głos zleceńodawcy, profesora Kedroka, utrwalony wiernie w pamięci androida.

— Nie zmieniam poleceń.

Android obrócił się błyskawicznie do elipsoidalnego automatu. Poderwał go w swych uchwytach w górę.

— Jeżeli  $n$  jest liczbą pierwszą... — odezwała się elipsoida i słyszałem jej głos, coraz cichszy, w miarę jak android oddalał się ku pawilonowi.

„Dezorganizować agregaty wykonawcze” — powtarzałem w myśli słowa Kedroka, a więc właśnie to, co zrobił automat: zniszczył wypusty wykonawcze, „ręce” i narzędzia automatu. Sieć podprogowa — to nazwa najbardziej skomplikowanych sieci, bliskich progowi komplikacji. Ale to wszystko razem nic nie wyjaśnia. Automat chciał mnie uderzyć. To... to zdarzyło się chyba po raz pierwszy w historii ludzkości.

W każdym razie nigdy o niczym takim nie słyszałem. Bo przecież to jest niemożliwe... niemożliwe!

Instytut był pusty, pola siłowe porozwierane i w korytarzach wiał wiatr. Zaraz w drugim korytarzu spostrzegłem biegnącą w poprzek białej posadzki czarną, rudziejącą po bokach szramę. To był ślad palnika. Dalej posadzka była nadtopiona i zakrzepła w bąblach, jakby płomień dotknął tylko z lekka

jej powierzchni. Stałem nad tą szramą, gdy nagle posłyszałem za sobą kroki. To był tylko android. Zatrzymał się przede mną.

— Ker Wart? — zapytał.

— Tak. To ja.

— Profesor czeka na ciebie.

Poszedłem za nim. Prowadził mnie najpierw korytarzami, a potem pochylnią zeszliśmy w podziemia instytutu. Wreszcie zatrzymał się przed jakimś polem siłowym, a gdy na jego sygnał się rozwiało, zobaczyłem potężną falę, oświetloną błękitnym jarzeniem fosforyzujących ścian. Zalegały ją tony cybernetycznego złomu. Uszkodzone, na pół nadpalone szkielety różnorodnych automatów, rozsypane po posadzce kryształki wewnętrznych układów, pękające z chrzęstem pod butanu, jakiś android, z wyrwaną płytą czołową, zastygły w dziwacznej pozie... Pod ścianą spostrzegłem przetworniki energii — serca automatów — ustawione pedantycznie w rzędzie przez pomocniczy automat, kręcący się tam i z powrotem od ściany do pracujących w sali ludzi. Bo tam byli ludzie. Ubrani w szare przeciwpromienne skafandry, grzebali wśród tych szczątków. Chciałem podejść ku nim. Jeden z nich zatrzymał mnie jednak.

— Zostań przy drzwiach — zawołał. — Tutaj jest szczątkowa promieniotwórczość... Czekaj, zaraz zawołam profesora — i ruszył gdzieś w głąb sali.

Profesor nadszedł po chwili. Tak jak inni był w szarym skafandrze. Przypominał raczej kosmogatora—odkrywcę z widowisk wideotronicznych niż profesora cybernetyki, który nawet jeśli nie ma siwych włosów, powinien mieć przynajmniej sześćdziesiąt lat. Kedrok był młody i miał czarne, krótko strzyżone włosy.

— Witaj. Przybywasz do nas w ciekawym momencie... nadzwyczaj ciekawym — dodał ciszej... — Potem porozmawiamy sobie dłużej, ale na razie jestem zajęty. Mor — zawołał do kogoś na sali. — Mor, zajmij się kolegą... Za kilka godzin przystąpimy do zakończenia eksperymentu, mam nadzieję, że weźmiesz w tym udział — skinął mi głową i wrócił do automatu, słowa nie powiedziawszy, co to wszystko znaczy.

Mor był wielkim rudym chłopakiem o wesołych niebieskich oczach.

— Ty jesteś Wart. Strasznie się cieszę...—klepnął mnie po ramieniu. — Czuj się u nas jak w domu, cybernetyczny pustelniku.

— Dlaczego pustelniku?

— No bo to jest pustelnia. Pustelnia wiedzy cybernetycznej. Obcym wstęp wzbroniony — wyjaśnił.

— A co tu się stało? — wskazałem na salę i nadpalone szczątki.

— To... Manowce twórczej działalności Kedroka.

— Nie rozumiem...

— A... nic... po prostu odpadki... Segregują to trochę, bo szkoda wyrzucać tyle elementów...

— Jakaś katastrofa?

— Nie, tylko nasze niezbyt udane dzieci zniszczyły pole siłowe i zaczęły się rozłazić po całym instytucie.

— No dobrze, ale skąd te nadtopione szczątki?

— Nie mogliśmy temu inaczej zapobiec.

— A sprzężenia?...

Mor chwilę bezmyślnie patrzył przed siebie.

— One nie mają sprzężeń — powiedział. — Przynajmniej niektóre z nich...

Przez chwilę słowa nie mogłem wymówić z wrażenia. Potem pomyślałem, że Mor kpi ze mnie.

Przyjrzałem mu się uważnie, ale on patrzył gdzieś w głąb sali i nie zwracał na mnie uwagi.

— Przecież to zbrodnia... — powiedziałem w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Po cóż mnie to mówisz? Idź, powiedz to Kedroкови...

— Pójdę... oczywiście, że pójdę... — zostawiłem Mora i pobiegłem w głąb sali.

— Wróć, tu jest promieniowanie — wołał ktoś do mnie.

— Gdzie jest profesor? — zapytałem go.

— Wyjdź stąd — powtórzył.

— Ale ja muszę widzieć się z profesorem.

— Jest w tej chwili zajęty. Zobaczysz się z nim podczas zakończenia eksperymentu...

— Mam bardzo...

— Wyjdź natychmiast. Przecież nie jesteś dzieckiem. Tu jest kilkanaście rentgenów...

Wyszedłem. Mor czekał na mnie.

— No I co?

— A... nic. Promieniowanie i profesor zajęty.

— Zawsze to samo. W ogóle z nami o tym nie rozmawia.

— Próbowaliście?

— Jasne. Powiedział, że wie, co robi, i że wszystko jest w porządku...

— W porządku? Jeden z nich mnie zaatakował...

— Tak? — Mor nie był tym specjalnie przejęty. — Jest zarządzenie, by nie oddalać się zbyt od androidów. One są odpowiednio zaprogramowane i likwidują automaty o nieodróżnianej pseudopsychice...

— I ty, Mor, uważasz, że wszystko jest w porządku?

Mor milczał przez chwilę.

— Widzisz, Wart — powiedział w końcu — pracuję już w zespole Kedroka piąty... nie, szósty rok... To cybernetyk z prawdziwego zdarzenia... Wiesz, jeden z tych, którzy czują cybernetykę i myślą jakoś samorzutnie, a także na co dzień jej kategoriami. Wierzę, że gdyby żył wcześniej niż Wiener, on właśnie stworzyłby tę naukę...

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z tymi eksperymentami?

— Nic, po prostu mu wierzę.

— A inni?

— Chyba także.

— Ale ja nie. I zawiadomię o tym Radę Naukową. To zbrodnia... Ty także wiesz o tym... Zbrodnia nie tylko wobec nas, ale zbrodnia wobec wszystkich. Automaty bez sprzężeń. One są przecież nieobliczalne, zupełnie nieobliczalne...

— W zasadzie masz rację...

— Więc chodź ze mną. Nie odpowiedział.

— Jak chcesz — wzruszyłem ramionami i ruszyłem ku wyjściu tymi samymi pustymi korytarzami, w których wiał wiatr, bo pola siłowe były porozwierane. Gdzieś za zakrętem korytarza usłyszałem tętent. To biegł wieloodnóżowy automat... Wskoczył wprost na mnie. Przywarłem do ściany, ale on nie zauważył mnie nawet, przemknął obok i pobiegł tam, skąd ja przyszedłem. Jeszcze przez chwilę słyszałem charakterystyczny szcęk jego amortyzatorów, a potem coś zadudniło głucho i zgrzytnęły zderzające się pancerze. Spojrzałem za siebie. To android zderzył się z automatem zagroziwszy mu drogę, a teraz ciał go krótkim niebieskawym płomieniem. Pancerz automatu żarzył się już wiśniowo, a ze spalonej posadzki unosiły się kłęby czarnego dymu. Teraz wiedziałem już, co znaczą nadpalone

szramy na posadzce. Widocznie to, co obserwowałem, nie było niczym niezwykłym w tym instytucie... Przyspieszyłem kroku i biegnąc prawie, minąłem wyjściowe pole siłowe.

Ktoś wybiegł za mną. Odwróciłem się i stanąłem. On również stanął. To był android.

— Wracaj — powiedziałem.

— Mam polecenie...

— Zmieniam polecenie! — krzyknąłem. — Wracaj natychmiast!

— Polecenie zmienione — powtórzył beznamiętnym głosem automatów. — Wracam — odwrócił się i wolno poczłapał ku wejściowemu polu siłowemu instytutu.

Poszedłem ku bramie. Sosny szumiały tak samo i tak samo zdawało mi się, że słyszę głosy z pawilonu wtedy, gdy cichł wiatr.

A więc tam w pawilonie były automaty... automaty z eksperymentu, automaty bez sprzężeń, z nie kontrolowaną pseudopsychiką, działające w takt sekwencji impulsów płynących z ich krystalicznych mózgow. I jeden z nich mnie zaatakował. Rozejrzałem się wokoło, ale nie spostrzegłem nawet androida pilnującego pawilonu. A ten drugi... ten android, który chciał mi towarzyszyć... Miał mnie bronić przed tymi automatami...

Tak więc, jeśli genialny eksperyment się uda, już wkrótce każdemu człowiekowi będzie musiał towarzyszyć android, by go bronić... bronić przed automatami... Śmieszne i absurdalne...

Doszedłem do pola siłowego bramy.

— Chcę wyjść — powiedziałem.

— Czy Ker Wart? — zapytał automat.

— Tak, a o co chodzi?

— Profesor Kedrok...

— Co znowu profesor Kedrok?!

— Profesor Kedrok prosił, byś poczekał do końca eksperymentu...

— A jeżeli nie zechcę?

— Jesteś człowiekiem. Możesz wyjść.

Zastanowiłem się moment.

— A skąd profesor wiedział, że wyjdę? — zapytałem.

— Nie wiedział na pewno. Otrzymałem rozkaz warunkowy. „Gdyby wychodził, to mu powiedz, żeby zaczekał do końca eksperymentu. Proszę go o to” — usłyszałem głos Kedroka odtwarzany przez automat. Więc chciał, abym został w instytucie. Spodziewał się, że będę wychodził. Czyżby zależało mu na tym, by mnie tu zatrzymać? Zatrzymać, aż dokończy swego eksperymentu... Ale wtedy mógłby po prostu wyłączyć sprzężenie odźwiernemu automatowi i zakazać mu mnie wypuścić. Tymczasem on tylko prosi, bym został...

Nagle przyszła mi do głowy nowa myśl. A jeśli on po prostu polecił automatowi powiedzieć to w nadziei, że odstąpię od swego zamiaru... A gdybym nie odstąpił... brama i tak się nie otworzy... Wtedy wszystko byłoby jasne.

Jeśli brama się otworzy — zostanę — postanowiłem.

— Otwórz! — rozkazałem.

Pole siłowe bramy znikło i widziałem drogę, którą tu przyszedłem z lotniska terroplanów. Mogłem odejść.

— Zamknij — powiedziałem i zawróciłem ku instytutowi.

Niewielka sala pełna była ludzi. Nie przypuszczałem, że Kedrok ma aż tylu współpracowników. Jego samego jeszcze nie było.

— O, Wart, więc jednak zostałeś — Mor podszedł, gdy tylko mnie spostrzegł.

— Mhm, ciekaw jestem, co on o tym wszystkim powie — wyjaśniłem.

— Ja też. Podobno uzyskaliśmy interesujące wyniki. Nieprawdaż, Ptar? — zwrócił się do niewielkiego, rozczochranego człowieczka stojącego obok nas.

Więc to jest Ptar, największy autorytet w dziedzinie cerebrokwantyfikatorów — pomyślałem.

— Wyniki są rzeczywiście rewelacyjne. Zresztą zaraz sami zobaczycie. W każdym razie ten dzień przejdzie do historii...

— Nie przejmuj się, Wart — Mor uśmiechnął się do mnie. — Ptar zawsze przesadzał...

— Tym razem zgadzam się z nim — powiedziałem. — To pierwsza próba budowy automatu bez sprzężeń... ale mam nadzieję, że również ostatnia.

Ptar popatrzył na mnie, jakby mnie w tej chwili dopiero spostrzegł.

— Nie sędzę — pokręcił głową — wydaje mi się wręcz przeciwnie. To dopiero początek.

— Ale to są niebezpieczne automaty... W ogóle, jak można...

Ptar uśmiechnął się.

— Chyba bardzo niedawno zostałeś cybernetykiem, prawda? — zapytał.

— Tak, ale wystarczająco dawno, by wiedzieć...

— Masz jeszcze poglądy, które wyniosłeś wprost z uczelni. Poglądy twoich profesorów, mniej więcej sprzed pół wieku.

— Obojętne...

— Poczekaj — przerwał mi — ja znam już wyniki eksperymentu. Posłuchaj, co powie Kedrok.

Nie zauważyłem nawet, kiedy wszedł Kedrok. Teraz czekał, by sala się uciszyła.

— Przede wszystkim muszę was przeprosić — zaczął — przeprosić, że nie przedstawiłem wam na początku naszych prac celu eksperymentu, i podziękować, że mimo to współpracowaliście ze mną... To zresztą, że nie wiedzieliście wszystkiego, było również fragmentem eksperymentu, bowiem — uśmiechnął się — my wszyscy tutaj w instytucie byliśmy załogą kosmolotu...

— Załogą czego? — zapytał ktoś z tyłu. Zresztą mnie także wydawało się, że Kedrok się pomylił.

— Dobrze usłyszeliście. Właśnie załogą kosmolotu — powtórzył Kedrok — kosmolotu pędzącego ku którejś z gwiazd.

Teraz wszyscy mówili, a Kedrok nie starał się nawet ich uciszyć. Czekał, aż umilkną, a wtedy powiedział:

— Wytlumaczę wam wszystko, ale muszę zacząć od początku. Wiecie, że już od lat prowadzi się wszechstronne badania związane z planowanymi podróżami międzygwiazdowymi. Ponieważ my jesteśmy instytutem cybernetyki, postawiono przed nami problem zbudowania uniwersalnego automatu, automatu takiego, który by w nieznanych i niemożliwych do określenia z góry warunkach, panujących na planetach dalekich gwiazd, mógł wykonywać zadania postawione mu przez kosmonautów... Problem nie był prosty... Powstały różne projekty. Były próby budowania automatu o wielu różnorodnych, zależnie od warunków i rodzaju pracy, agregatach wykonawczych. Ale projekt upadł...

— Bowiem różnorodnych agregatów byłyby tysiące... — powiedział Ptar.

— Nawet dziesiątki lub setki tysięcy, bo przecież różnorodność warunków na różnych planetach jest ogromna. Na pewnym etapie prac sądziliśmy nawet, że problem ten nie jest rozwiązalny... — profesor przerwał na moment. — Okazało się jednak — ciągnął dalej — że nie jest on rozwiązalny tylko na gruncie klasycznej teorii automatów... teorii, która zaleca tworzenie automatu od podstawowych sprzężeń typu „wykonaj rozkaz człowieka”. Te sprzężenia, a jest ich przecież sporo, rzutują później na dalszą konstrukcję automatu. Ale można zacząć inaczej...

Kedrok urwał. Cisza na sali była zupełna.



— A więc można zacząć inaczej, tak jak... ewolucja, ewolucja organizmów żywych. Ewolucja kształtowała organizmy w miarę, jak zmieniały się warunki. I myśmy — podniósł głos — myśmy zrobili to samo! Kosmolot zabiera tylko agregaty tworzące automaty. Same automaty konstruowane będą dopiero tam, na planetach dalekich gwiazd. Zależnie od warunków, na jakie natrafia kosmonauci...

Teraz wszyscy mówili razem. Mor zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

— Nie wiem. Może ja jestem mato bystry, ale dlaczego my mamy być załogą kosmolotu?... Profesor usłyszał go widocznie.

— Zaraz będę o tym mówił — starał się przeczekać gwar. Potem podniósł rękę.

— Czekaście, jeszcze nie koniec. Nie koniec, bo wyłaniają się dwa zagadnienia. Po pierwsze, tych różniących się nieco od siebie automatów musi być bardzo dużo, bo wykonywać zadania mogą tylko te, które rzeczywiście dadzą sobie radę w nowych warunkach... Inne można zniszczyć.

— Zupełna analogia z ewolucją — powiedział Ptar.

— No, ale w tej chwili — ciągnął profesor — możemy sobie pozwolić na zbudowanie tysiąca automatów, jeśli tylko choćby jeden z tysiąca przejdzie próby i okaże się dostosowany do zadań... Dużo poważniejszy jest drugi problem... Automaty te nie mogą mieć narzuconych żadnych sprzężeń. Co prawda, tym, które przejdą próby i będą powielane, można takie sprzężenia potem narzucić, a inne zniszczyć, istnieje jednak pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że zanim automaty te zostaną zniszczone, rozbiegną się po kosmolocie. Może to być spowodowane niedopatrzaniem któregoś kosmonauty lub po prostu awarią urządzeń zamykających pomieszczenie z automatami. I co wtedy?... Jaki los grozi załodze kosmolotu w spotkaniu z automatami bez sprzężeń?... Musieliśmy na to pytanie odpowiedzieć... Wypuściliśmy więc nasze wyprodukowane automaty... i sytuacja w instytucie stała się podobna do tej, która mogłaby się zdarzyć w kosmolocie... No cóż, przekonaliśmy się, że nic się nie stało. Automaty, nawet bez sprzężeń, nie atakują ludzi. Zresztą dlaczego miałyby atakować?...

— Mnie automat zaatakował — powiedziałem to głośno, tak głośno, jak tylko mogłem. Wszyscy odwrócili się ku mnie.

— Zaatakował mnie mały elipsoidalny automat i chciał mi zmiażdżyć ramię — wskazałem miejsce, gdzie chciał mnie uderzyć.

Profesor przypatrywał mi się uważnie, a potem podszedł do mnie.

— To na pewno była elipsoida?

Skinąłem głową.

— A to — wskazał na mój odbiornik unitelewizotroniczny, wpięty w materiał na ramieniu — to miałaś wtedy przy sobie?

— Tak.

— No właśnie. On nie atakował ciebie. On chciał ci tylko zabrać ten odbiornik... Jego niektóre części odpowiadają związkom, których poszukuje ten automat... Niestety nie ma sprzężeń i nie wie, że ludziom nie odbiera się żadnych, nawet najpilniej poszukiwanych związków chemicznych... Tam w Kosmosie, gdyby przeszedł pomyślnie wszystkie próby, nauczyliby go tego. Powtarzam wam: automaty nie atakują ludzi...

Nie czekałem, aż Kedrok skończy. Wyszedłem z sali. Korytarzem poszedłem do wyjścia, a potem żółtą trawą wśród sosen do pawilonu. Najpierw usłyszałem bas:

— Trzydzieści trzy stopnie i pięć minut... czterdzieści dwa stopnie czterdzieści minut...

— ...la... or... cas... wi... nat... — sylabizował drugi głos.

Na androida nie zwróciłem uwagi. Wnętrze pawilonu było ciemne i coś się tam poruszało.

— Kor... wen... sa... lo... wi... nat... — kontynuował głos.

Zawahałem się, odpiąłem ze skafandra unitelewizotron i wyrzuciłem go, a potem wszedłem do środka. Sam się musiałem przekonać... Ja byłem człowiekiem, a one automatami bez sprzężeń...

# NIEŚMIERTELNY ZWEGI

Tam na dole świeciło Słońce i niebo było błękitne. Tutaj błękit przeszedł w czern i zapłonęły gwiazdy. Tompi nie lubił kosmicznego nieba. Porównywał je w myśli do wielkiej kopuły, w której ktoś tu i ówdzie wywiercił mniejsze i większe otwory, by trochę dziennego światła mogło przedostać się do środka. Pozostawało jeszcze Słońce — wielki ruchomy lampion, zawieszony gdzieś niżej, pod kopułą, i Księżyc–lustro, odbijający jego promienie. Kiedyś, chyba jeszcze na uniwersytecie, gdy sam był studentem, słyszał, że jakiś astronom z wczesnej starożytności tak właśnie wyobrażał sobie świat. Ten astronom nie wiedział jeszcze nic o odległościach międzygwiazdnych, nie wyobrażał sobie ich bezmiaru... szczęśliwy człowiek.

Pomyślał o sztucznym księżycu i niemal w tejże chwili odezwał się automat:

— Lądowanie na XXI Satelicie za trzy minuty.

Tompi nie mógł się do tego przyzwyczaić. Mimo że przebywał już w tym świecie kilka lat, drażniły go automaty czytające myśli. Wtedy gdy opuszczał Ziemię, automaty ledwie zaczynały płynnie mówić. Gdy wrócił z układu Regulusa, przeprowadził wiele rozmów z automatami, zanim usłyszał pierwszy raz głos człowieka. Początkowo myślał, że rozmawia z ludźmi o dziwnych wielocyfrowych imionach, ale to były tylko automaty.

— Witaj, Tompi, XA3 wita cię w imieniu Fuxa na XXI Satelicie! — głos brzmiał tak wyraźnie, jakby XA3 stał tuż obok.

— Witaj! — Tompi odpowiedział bezmyślnie. Patrzył, jak w miarę zbliżania symetryczna konstrukcja satelity rośnie w ekranie. Szukał wzrokiem kosmodromu, lecz nie dostrzegł go. Satelita stawał się coraz większy, aż wreszcie nie mieścił się w ekranie. I wtedy Tompi zrozumiał. To brak perspektywy w próżni. Prawdziwy satelita to ta mała kulka umieszczona w środku gigantycznej wielokilometrowej pajęczyny metalowych konstrukcji, jak pająk nad słuchująca sygnałów dalekich kosmolotów, odbieranych przez antenową pajęczynę. Zapewne do tej właśnie anteny dotarły kiedyś sygnały jego kosmolotu.

Hamowanie było tak łagodne, że Tompi nie odczuł ani jednego szarpnięcia. Potem gdzieś szcęknęły śluzy.

— Czołem, Tompi! — właz otworzył się z trzaskiem i Fux wsunął swą rudą głowę do wnętrza terroplanu.

Tompi wyskoczył z kabiny i szli teraz obwodowym korytarzem satelity.

— Czy... czy sygnały trwają? — zapytał Tompi.

— Tak. Jesteśmy stale na odbiorze.

— No i... ustaliliście położenie?

— Ustaliliśmy jeszcze wczoraj wieczorem. Źródło sygnałów leży w gwiazdozbiorze Lutni.

— To by się zgadzało...

— Mhm... Ale widzisz — Fux urwał — ...zresztą może to nie ma znaczenia.

— Co?

— On nadaje sygnał, dodatkowy sygnał...

— Może automaty się rozstroiły. Przecież to już tyle lat...

— Może, ale to mało prawdopodobne. W czasach, gdy on odlatywał, neuronika stała już na wysokim poziomie.

— Sprawdziłeś, że to on?...

— Któż by to mógł być jeszcze?

— Nie wiem... Trzeba by przejrzeć kroniki.

— Już to zrobiłem. To musi być on. Zresztą w sygnałach można odszukać jego zew.

— W kronikach odnotowano jego kosmolot jako zaginiony.

— No, zdarza się, że zaginiony kosmolot wraca...

— Ale nie po tylu latach... W którym roku miał wrócić?

— Nie pamiętam dokładnie. Zresztą oblicz. Opuścił Układ Słoneczny dwadzieścia lat wcześniej niż ty, Tompi...

— Tak, ale on leciał tylko do Wegi.

— Mówisz to tak, jakby Wega leżała tuż za orbitą Plutona. To przecież jednak dwadzieścia sześć lat świetlnych...

— Ja leciałem dużo dalej. On powinien był wrócić na Ziemię kilkadziesiąt lat przede mną...

— Powinien, ale wtedy nie wrócił — Fux wzruszył ramionami.

— W tym nie byłoby jeszcze nic niezrozumiałego. Kosmoloty czasem giną... płoną w chmurach kosmicznego pyłu lub wchodzą w atmosfery nieznanych planet, by nigdy ich nie opuścić. Ale on teraz wraca i to jest niezrozumiałe. Gdyby wracał pięć, dziesięć lat później... to się zdarza. Ale sto lat?

— Może dłużej badał układ Wegi? — Fux powiedział to bez przekonania.

— Absurd. Przecież to jest sto lat. Sto lat aktywnego życia, nie trwania. Dawno by tam umarł.

— A może właśnie on tylko trwał w tym czasie.

— Trwał? Nonsens. Choćby tylko dla zawrócenia kosmolotu ku Ziemi trzeba przestać trwać. Trzeba na kilkadziesiąt godzin wrócić do życia. Powiesz, że może wrócił do życia później, kilkadziesiąt lat po osiągnięciu Wegi. To także nie jest możliwe. Miał taki automat witalizacyjny jak ja, gdy leciałem do Regulusa. Jeśli taki automat raz zawiódł, nie przywrócił go do życia zaraz po osiągnięciu Wegi, to nie wykonał tego również za dziesięć lat ani za sto. Ostatecznie nie żyjemy w kosmosie i automaty nie zachowują się jak kapryśne królowny.

— Zapewne... masz rację — zgodził się Fux. — Rzecz zupełnie niezrozumiała. Nie ma się co oszukiwać. Nie wiemy, co się stało. Zresztą powtarzam to piętnaście razy dziennie wszystkim tym dziennikarzom z wideotronii, a oni nie chcą mi wierzyć. Nie mogą uwierzyć, że my i nasze automaty możemy nie wiedzieć. Snują najbardziej fantastyczne przypuszczenia, ale nie wierzą.

— Powtórzmy im to obaj po raz szesnasty... Ale chyba nie po to wzywałeś mnie z Ziemi?

— Nie, nie po to... Prawdziwy powód jest inny. Widzisz, Tompi... Ty jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który go znał...

— Naprawdę?

— Tak, sprawdziłem. Wykładał ci kosmogonię przez kilka semestrów jeszcze podczas twoich studiów w marsjańskim instytutcie...

— Niewykłuczone. Ale co z tego? — pytająco spojrział na Fuxa.

— Trudno mi to uzasadnić, ale wydaje mi się, że będzie lepiej, gdy ty tu będziesz, jak on wróci...

— Myślisz, że...

— Nic nie myślę. Nie wiem... po prostu nie wiem.

Tompi wzruszył tylko ramionami.

— A jak on jest daleko? — zapytał.

— Wchodzi już w płaszczyznę Układu Słonecznego, mniej więcej pół miliona kilometrów od Ziemi.

— Przejdziemy więc na wizję.

— Tak, zobaczysz go na ekranie, jak tylko osiągnie odległość Księżyca.

— A szybkość?

— Wytracił według programu lotu.

Tompi podszedł do ekranu kosmoemitera, przy którym manipulował Fux, i zapytał cicho:

— A imię?... Jak on miał na imię?

— Nie pamiętasz? — Fux spojrział na niego znad ekranu. — Nazywał się Ban.

— Ban... Tak, przypominam sobie. Nazywaliśmy go Banan. — Tompi nagle się uśmiechnął.

— Banan? Co to takiego?

— Taki owoc. Możesz go obejrzeć w muzeum botaniki. W naszych czasach, dwa wieki temu, oprócz syntetycznych produktów jadaliśmy czasem banany...

— A on... przypominał ten... banan?

— Nie... raczej nie. I pomyśl, że stary Banan dolatuje do Ziemi, gdy imion jego uczniów ich własni prawnukowie już nie pamiętają.

— Nieśmiertelność to przywilej kosmonautów.

— Nieśmiertelność? Ależ oni nie są nieśmiertelni... Oni tylko trwają, zamknięci w pudłach kosmolotów, oddalając się w każdej sekundzie dziesiątki tysięcy kilometrów od gwiazdy, która była ich słońcem. Trwają... nic więcej...

Gdy kosmolot Bana znalazł się w odległości Księżyca, łączność polepszyła się do tego stopnia, że automaty przeszły na wizję. Tompi razem z Fuxem stali właśnie przed wizotronem, gdy ekran pierwszy raz zajarzył się szarym blaskiem, ukazując kabinę kosmolotu. Pod płataniną przewodów, w przezroczystym hermetycznym kloszu leżał Ban. Automaty przystąpiły już do przerywania stanu trwania i główny koordynator był tak przeciążony, że przysyłał tylko niezbędne dane, potrzebne do korekcy toru kosmolotu.

— Wszystko przebiega prawidłowo. Automaty nie sygnalizują żadnej awarii... — Fux mówił raczej do siebie niż do Tompiego.

— Więc nadaj komunikat i może te wszystkie teroplany, kręcące się nieustannie dokoła nas, wylądują wreszcie.

— Muszę poczekać, aż Ban przemówi. Zresztą oni i tak nie odlecą, dopóki Ban nie wyjaśni tego stuletniego spóźnienia.

— Ciekawe... — po chwili milczenia Fux odezwał się znowu:

— Czy wiesz, że komory przeznaczone na próbki są puste, zupełnie puste.

— Sprawdzałeś?

— Tak, jeszcze zanim przeszliśmy na wizję.

— Może Ban umieścił próbki gdzie indziej...

— Gdzie? Przecież kosmolot to nie labirynt z tysiącem zakamarków.

— A może w ogóle nie brał próbek? — zaryzykował Tompi.

— W takim razie co on robił przez te sto lat?

— Poczekaj jeszcze chwilę i usłyszysz to od samego Bana. Sądząc zresztą z wyglądu, Ban mógł żyć najwyżej dziesięć lat. Reszta była trwaniem. Przyjrzyj mu się uważnie. Przecież on jest na pewno młodszy ode mnie...

— Widzisz go w ekranie. Nie zapominaj, jak bardzo wideotronia odmładza.

— Jeśli nawet... to i tak mógł przeżyć najwyżej dwadzieścia lat. Zostaje jeszcze osiemdziesiąt...

— Jeszcze chwila i powie nam o tym. Tymczasem Ban został przez automaty złożony w fotelu. Autowitalizator przysunął się do niego i pokrył jego głowę dziesiątkami elektrod. Niemal równocześnie autoemitor zaczął podwyższać temperaturę ciała Bana. Trwało to kilkanaście minut. Wreszcie automaty się odsunęły.

— Witaj na Ziemi! — Fux wypowiedział sakramentalną formułę powitania kosmonauty.

— Gdzie... gdzie ja jestem?... — widocznie Ban nie dosłyszał powitania i rozglądał się po kabinie XXI Satelity, widocznej w jego ekranie.

— Krążysz po ślepych torze wokół Ziemi — powiedział Fux.

— A Wega?

— Co Wega?

Ban chwilę milczał, a potem powiedział niepewnie:

— Przecież miałem lecieć na Węgę. Dlaczego ściągnęliście mnie z powrotem na Ziemię?

— Jak to z powrotem? — zdziwił się Fux.

— Z powrotem, bo przecież mówisz, że jestem w Układzie Słonecznym.

— No... normalnie wracasz z podróży...

— Z podróży dokąd?

— Na Węgę, oczywiście.

Teraz Ban milczał dłużej, a potem powiedział:

— Ja na Wedze nie byłem.

— Jak to nie byłeś?

— Nie byłem. Nie widziałem układu Wegi...

— W takim razie skąd wracasz?

— Nie kpjcie ze mnie. Przecież to wy wiecie najlepiej — na policzki Bana wystąpił rumieniec.

— Nic nie wiemy. Od twego odlotu minęło ponad dwieście lat! Dwieście lat! Słyszysz! Skąd my mamy wiedzieć, co się z tobą działo? — Fux krzyczał prawie.

— Niemożliwe... dwieście lat?... Naprawdę?... Tompi wyczuł, że Ban im nie wierzy.

— Naprawdę, porozmawiaj chwilę z automatem, jakimkolwiek automatem, to się przekonasz — powiedział. — Ciekawe tylko, co się z tobą działo przez ten czas...

— Ja nic nie pamiętam. Nie byłem ani razu witalizowany, na pewno nie widziałem Wegi.

— A kto w takim razie skierował kosmolot ku Ziemi? — zapytał Tompi.

— Właśnie. Kto skierował kosmolot ku Ziemi, skoro ty nie byłeś ani na chwilę witalizowany? — podchwycił Fux.

— Nie wiem. Mówiłem wam, że nie wiem. To wy, wy musicie to wyjaśnić, wy, którzy wyposażyliście ten kosmolot w automaty...

— Raczej nasi przodkowie. Oni budowali go dwa wieki temu — zauważył posępnie Fux.

— Ale jeśli nawet założymy, że kosmolot sam zawrócił, to co działo się z nim przez sto lat?

Tompi nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie. Nie otrzymał jej zresztą. Ban siedział w witalizacyjnym fotelu i patrzył przed siebie. Fux zmarszczył czoło i myślał nad czymś intensywnie.

— Ban — zagadnął cicho Tompi. — Ban! — powtórzył głośniejsze.

Ban uniósł głowę i spojrzał z ekranu.

— Ban, słuchałem kiedyś twoich wykładów.

— Moich wykładów, ty? Przecież jesteś starszy.

— Ja krócej trwałem i więcej żyłem niż ty w ciągu tych dwustu lat.

— Oczywiście, zapomniałem, że wiek jest względny.

— Słuchałem twoich wykładów przez kilka semestrów — dodał Tompi.

— Pamiętasz jeszcze coś z tego?

— Tak, ale to prawie wszystko już dzisiaj historia. Nie wyobrażasz sobie, jak kosmogonia poszła naprzód.

— Tak musiało się stać...

— Ale nie tylko kosmogonia. Wszystkie inne nauki...

— Wyobrażam sobie. Czy my... my jesteśmy zupełnie z innej epoki?

— Prawie. Ich automaty...

— Co automaty?

— Czasem wydają mi się mądrzejsze od nas. Czytają myśli.

— To musi być przykre.

— Oni się do tego przyzwyczaili. Jest im to obojętne.

— A tobie?

Tompi nie zdążył odpowiedzieć. Fux przerwał mu w pół słowa:

— Nie bierz tego zbyt poważnie, Ban. On się dopiero adaptuje. Zapewne, adaptacja nie jest miła, lecz gdy się leci w Kosmos, trzeba być z góry przygotowanym, że świat posunie się trochę naprzód w tym czasie. To jest cena, jaką się płaci za udział w wyprawie, cena odkrywania nowych gwiazd.

— Ja nic nie odkryłem — Ban powiedział to na pozór zupełnie spokojnie.

— Miałeś pecha. Prawdopodobnie zaszła awaria, ale my to zaraz wykryjemy. Sprawdzimy zapis w pamięciach automatów... Co... co się dzieje?! Ban... Ban!...

Obaj spoglądali w szarą pustkę ekranu, z którego przed chwilą patrzył Ban. Nagle obraz zafalował, skurczył się jak zapalona kartka papieru i znikł.

— Radarem, poszukaj go radarem! — krzyknął Tompi.

— Jest! Jest! Widzisz! — Fux nacisnął klawisz radaru.

— Tak, jestem. Co się stało? Odwrócili się jednocześnie. Z ekranu patrzył Ban.

— Jakaś przerwa w łączności — powiedział Fux.

— Wezwij automat kontroli lotu i zapytaj, co się stało — doradził Tompi.

Fux skinął głową i nacisnął przycisk wywoławczy. Na pulpicie zamrugało światło kontrolne.

— Tu koordynator kontroli lotu — głos był metaliczny, jak wszystkich automatów nie rozmawiających na co dzień z ludźmi.

— Podać przyczyny przerwy w łączności.

Po pytaniu Fuxa nastąpiła cisza i tylko migające czerwone światło dowodziło, że koordynator przygotowuje się do odpowiedzi.

— Smuga gazów atomowych nieznanego selenoplanu o gęstości rzędu jonosfery ziemskiej... po wejściu kosmolotu anihilacja... promieniowanie o pełnym widmie częstotliwości... przyczyna nieznaną...

— Rozumiesz coś z tego? — zagadnął Tompi.

— Tak. Przyspiesza informacje i nie przestrzega zasad gramatyki. Ale nie rozumiem, jaki jest tego sens... Chyba coś w rodzaju reakcji jądrowej...

— Gdzie? W stosie?

— Nie, na panczerzu kosmolotu... i to jest najdziwniejsze...

— Jak to na panczerzu? — zapytał Ban.

— No właśnie, ja też tego nie rozumiem... Czekaj... — nacisnął klawisz wezwania. — Koncepcjotron — powiedział do mikrofonu.

— Ziemski koncepcjotron. Słucham — odpowiedź nadeszła niemal w tej samej chwili.

— Podaj hipotetyczną przyczynę reakcji jądrowej na panczerzu kosmolotu. Dane pobierz z mnemotronów Satelity XXI. Pilne! — podkreślił.

— Zrozumiałem — odpowiedział koncepcjotron. — Po otrzymaniu wyników przejdę natychmiast na nadawanie.

— Zaraz będziemy wiedzieć, co było przyczyną. — Fux uśmiechnął się do Bana. — Koncepcjotron to prawdziwe urządzenie naszej epoki. Wykonuje pracę, która dawniej była

wyłącznie domeną wielkich uczonych.

— To znaczy, że teraz uczeni są zbędni? — zapytał z ekranu Ban.

— No, nie... niezupełnie. Ktoś musi przecież tworzyć koncepcjotrony i pomagać im w autokonserwacji.

— A kosmoloty także mają własne koncepcjotrony?

— Tak.

— Mój kosmolot nie miał.

— Oczywiście. Dwieście lat temu nie śniło się nikomu o koncepcjotronach. W ogóle twój kosmolot nadaje się dziś do muzeum techniki.

Ban nic nie odpowiedział. Tompi rozumiał go w tej chwili doskonale.

— Ban, to jest przecież normalna kolej rzeczy. Technika idzie naprzód... — starał się go jakoś pocieszyć.

— A ja... Czy ja także nadaję się tylko do muzeum? — zapytał Ban.

— Nie. Ty jesteś przecież człowiekiem — Fux odpowiadał zawsze szczerze i jasno.

— Ty się zaadaptujesz — dodał Tompi.

Coś między pulpitemi brzęknęło kilka razy. Tak jakby chrabąszcz próbował skrzydeł przed lotem. Fux powiedział pospiesznie:

— Słuchaj, Ban. Przerywam wizję, bo musimy się zająć twoim lądowaniem. Ty również przygotuj się do opuszczenia kosmolotu.

Ekran zgasł i dosłownie w tej samej chwili Fux zerwał się z fotela i pobiegł wzdłuż rzędów zielonych ekranów do pulpitu sterującego. Nacisnął coś.

— Już — powiedział do mikrofonu.

— Co już? — Tompi nie wytrzymał. Patrzył ze zdziwieniem na gwałtowne ruchy Fuxa.

— Nie przeszkadzaj. Coś bardzo ważnego. Koncepcjotron nie chciał nadawać otwartym tekstem.

— Czy on tak często?... — Tompi nie skończył.

Koncepcjotron mówił głosem tłumaczącego jego kod automat.

— Wnioskując na podstawie gęstości gazu i ilości wydzielonej energii, na panczeru rakiety zaszedł proces anihilacyjny gazu.

— No więc?... — Fux pochylił się do przodu i pozostał w tej pozycji.

— Albo gazy wylotowe rakiety, albo panczer kosmolotu są antymaterią. Ta druga możliwość jest kilkaset tysięcy razy bardziej prawdopodobna. Skończyłem.

— Z antymaterii... — wyszeptał Fux.

— Jak to z antymaterii? Przecież nie można antymaterialnego panczerza nałożyć na raketę. Przy każdym zetknięciu materii i antymaterii równoważne ich ilości przekształcają się w energię, zgodnie z wzorem Einsteina...

— To oczywiste...

— No więc koncepcjotron się myli.

— Panczerza z antymaterii nie można nałożyć na zwykły kosmolot, ale można nałożyć na kosmolot z antymaterii...

— No dobrze, ale Ban? Przecież nie może przebywać wewnątrz antymaterialnego statku.

Fux popatrzył na Tompiego jakoś dziwnie.

— Jeżeli sam Ban nie jest z antymaterii.

Przez chwilę milczeli.

— Naprawdę tak sądzisz? — zapytał w końcu Tompi.

— To nie ja, to koncepcjotron.



— On tego nie powiedział. Przecież słyszałem, co mówił.

— Bo go o to nie pytałem. Ale to wynika...

— To zakrawa na absurd.

— Znasz dzieło *Loty międzygwiazdne*?

— Oczywiście. Powstało jeszcze w moich czasach.

— Jest tam zdanie: „Są wśród gwiazd rzeczy, o których automatom się nie śniło”.

— Pamiętam. Mówiono wtedy nawet, że ktoś już w starożytności powiedział coś podobnego.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą to nonsens. Przecież w starożytności nie było automatów.

— Oczywiście. Ale przyznasz, że z Banem to absurd.

— Więcej niż absurd. To coś w ogóle nie spotykanego w historii ludzkości.

— Dlatego uważam, że to pomyłka...

— Koncepcjotron się nie myli.

— Zanadto mu ufasz.

— On zasługuje na zaufanie. To skondensowana wiedza wielu pokoleń ludzkości... A działa tak samo niezawodnie, jak niezawodnie porusza się Ziemia po orbicie wokół Słońca... Ty, Tompi, nie jesteś człowiekiem naszych czasów, dlatego w to wątpisz...

Tompi wzruszył ramionami.

— Dobrze. Więc twój koncepcjotron ma rację. I kosmolot, i Ban są z antimaterii... I co dalej?...

Przecież to niczego nie wyjaśnia...

— W każdym razie stwarza podstawy do ciekawych hipotez...

— Jakich znowu hipotez?...

— Tym już się zajmą koncepcjotrony i uczeni.

— Ale przecież Ban nic nie wie i nic im nie powie.

— Natomiast my wiemy. Wiemy, że dwieście lat temu kosmolot Bana opuścił Układ Słoneczny, kierując się ku Wedze. Wrócił sto lat później, niż był oczekiwany, i jest antimaterialny. Można przypuścić, że Kosmos wokół Wegi ma tego rodzaju materiozwierciadlane własności. Nie wiem, czy takie założenie nie byłoby sprzeczne z fundamentalnymi zasadami fizyki, ale jeśli nawet nie byłoby, od razu nasuwa się inna wątpliwość...

— To, że wrócił?

— Tak. Prawdopodobieństwo, by kosmolot trafił do Układu Słonecznego, praktycznie jest zerem, a przecież Ban nie skierował go ku Słońcu.

— Więc jak to wytłumaczysz?

— Czynniki X.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? Więc myślisz, że ta transmutacja jest rzeczywiście dziełem przypadku? Ja uważam, że czynnik X, obca cywilizacja, czy jak ich zechcesz nazwać, dokonała tego. Oni... chcieli nas zniszczyć... — dodał już cicho.

— Zniszczyć? Dlaczego?

— Nie wiem, ale pomyśl. Gdyby nie ta smuga gazów, kosmolot Bana za pół godziny wszedłby w ziemską atmosferę. Wybuch, który by nastąpił, zniszczyłby pół planety...

— Przesadzasz...

— Tak sądzisz? Kosmolot Bana ma masę wielu tysięcy antyton. A pięćdziesiąt kilogramów antimaterii wystarcza, by podgrzać kulę wody o średnicy dwu kilometrów do stanu wrzenia... Policz więc...

— Ale w takim razie Ban nie może lądować nigdzie w całym Układzie, chyba na Jowiszu lub

Saturnie.

— Nie może i nie wie nawet o tym... — Fux bezmyślnie patrzył w ekrany.

— Nie wie, co się stało tam, na Wedze? Nie wie, że oni, ten czynnik X, kopiowali atom po atomie kosmolot, atom po atomie jego ciało. Identyczne atomy, tylko w ich jądrach zamiast protonów są antyprotony, a wokół jąder zamiast elektronów — pozytrony. Ale w takim razie nasza cywilizacja w stosunku do tamtej jest w epoce kamienia łupanego... to przerażające — Tompi zamilkł nagle.

— Tak samo przerażające jest to, że Ban jest antyczłowiekiem — powiedział Fux. — On nie wie, że jego ciało jest niebezpieczniejsze dla nas niż bomba atomowa starożytności... Psychicznie jest on tym samym człowiekiem, który odlatywał z Ziemi dwieście lat temu. Myśląca sieć jego mózgu, równoważna jego osobowości, nie zmieniła się. Ma on to samo usposobienie, wspomnienia, przeżycia, tylko że takie same jak dawniej engramy utworzone są z antyatomów. I dlatego... dlatego on nie może wrócić do nas na Ziemię.

— I ty chcesz mu to powiedzieć?

— Chyba tak...

— Ale on... Ban...

Fux wzruszył ramionami.

— No cóż, zobaczymy — nacisnął włącznik. Ban siedział na tym samym fotelu witalizacyjnym. Nie zmienił nawet pozycji i w kabinie nic się nie zmieniło, a przecież to była antymateria...

— Wszystko gotowe — powiedział Ban ujrzawszy Fuxa i Tompiego.

— Ban, nie będziesz lądował — Fux wyrzucił to jednym tchem.

— Nie będę, dlaczego?

— Bo jesteś z antymaterii.

— Ja z antymaterii? Dobry żart.

— Naprawdę, mówię poważnie.

— Nie kpij ze mnie, Fux. Mnie naprawdę nie jest specjalnie wesoło.

— Jesteś z antymaterii — powtórzył z uporem Fux.

— Mylisz się, jestem normalnym człowiekiem. Normalnym! Słyszysz!

— To nie jest moje zdanie. To automaty...

— Do diabła z automatami! Oszukują was, są zawodne, a wy wierzycie w nie jak w wyrocznię.

— Tym razem się nie pomyliły.

— Pomyliły się na pewno.

— Nie.

— Zobaczymy.

— Co chcesz zrobić?

— Wejdę w górne warstwy atmosfery. Jeżeli macie rację...

— Nie wolno ci tego robić! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z energii wybuchu?

— Zdaję sobie sprawę, ale to nie jest antymateria. Ja z antymaterii?... Dobrze sobie...

— Sądzisz, że powinieneś odczuwać jakąś zmianę?

Pytanie zaskoczyło Bana.

— Nie... chyba nie... — odpowiedział po chwili.

— Widzisz, my nie możemy ryzykować. Ziemia to nie poligon doświadczalny.

— Więc co zrobimy?

— Wejdź na ślepą dokołaziemską orbitę, a automaty zastanowią się tymczasem.

— Nie! Dość mam waszych automatów! — chciał wstać, ale Fux go uprzedził. Skoczył do emitera i przerzucił jakąś dźwignię.

— Przejmujemy sterowanie twoim statkiem.

— Nie możecie!

— Możemy! Jest urządzenie pozwalające na to podczas lądowania. Czasem piloci powracający z próżni mają zakłóconą równowagę psychiczną, a my musimy dbać o Ziemię — uśmiechnął się do Bana.

Ban stał chwilę niezdecydowany, a potem powoli usiadł w fotelu.

— Róbcie, co chcecie — powiedział i zamknął oczy.

— Ban... Ban... — Tompi odezwał się po chwili milczenia. — Czy ty naprawdę nic nie pamiętasz ze swego pobytu tam, na Wedze?

— Nic — Ban odpowiedział prawie szeptem.

— A może, może oni kazali ci zniszczyć... wiesz, przekształcenie mózgu w ten sposób, że takie działanie staje się koniecznością — dodał szybko.

— Nie, naprawdę nie. Czuję się człowiekiem, tak samo człowiekiem jak ty.

— A jednak oni chcieli nas zniszczyć... — powiedział Fux.

— Skąd wiesz?

— Sam fakt wysłania statku... z antymaterii.

— Nie sądzisz, że dużo łatwiej byłoby im za miast tej kopii wysłać ogromny miotacz antyprotonowy?...

— Może chcieli nas zaskoczyć. Twój kosmolot wraca z Wegi i niszczy Ziemię.

— Nie zgadzam się z tym, Fux — powiedział Tompi. — Przypisujesz im ludzki sposób rozumowania. Oni... jeśli rzeczywiście istnieją, myślą zupełnie inaczej. Zaskoczyć?... Równie dobrze mogli chcieć coś nam przekazać... Może zmiana materii kosmolotu miała być sygnałem, czymś dobrze im znanym, tak że przez myśl im nawet nie przeszło, że z antymaterią nie umiemy sobie radzić...

— Sygnałem? Przecież oni podobno chcieli was zniszczyć, a przeciwnika nie ostrzega się przed ciosem.

— Genialnie, Ban! — wykrzyknął Fux. — Mam, mam sposób sprawdzenia, czy chcieli nas zniszczyć. Oczywiście sygnał. Masz rację, Ban, przeciwnika nie ostrzega się przed ciosem. Ale oni nadali sygnał... może przypadkowo. Ten dodatkowy sygnał, o którym mówiłem ci, Tompi, gdy tu przyleciałeś... Jeśli ten sygnał nie niesie żadnej informacji...

— To będzie jednoznaczne z tym, że chcieli nas zniszczyć... — dokończył Tompi.

— Koordynator!

— Na odbiorze — odpowiedział automat.

— Przekazać do koncepcjotronu dodatkowy sygnał. Niech zbada, czy sygnał ten nie zawiera jakiegokolwiek informacji.

— Zrozumiałem.

— Wyniki podać natychmiast po uzyskaniu — dodał jeszcze Fux.

— No, Ban, za chwilę wszystko będzie jasne... — nagle Tompi urwał. Ekran był pusty. — Ban! Ban! Nie ma go! Radarem!

Fux manipulował przez chwilę gałkami, ale ekran pozostał pusty, tylko na księżycowej drodze błyszczały małe plamki rakiet towarowych.

— To koniec... — powiedział Fux. — Musiał trafić w meteor. Może nawet w niewielki, ale z materii. Anihilacja i kosmolot wyparował...

— A może radar? — zaryzykował Tompi.

— Nie!

Równocześnie usłyszeli głos automatu.

— Informacja następująca — automat mówił wolno i dobitnie. — Badanie równoznaczne odtworzeniu. Alternatywa wyboru. Jeśli tak, to koniec, jeśli nie, powtórne odtworzenie przesunięte w czasie, takie, by uzyskać tak.

— Więc jednak, jednak chcieli nam coś powiedzieć! — Fux krzyczał głośno.

— Ale co? Ja z tego nic nie rozumiem.

— Zaraz się dowiemy. Komentarz własny! — rozkazał.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

— Badanie układu jest nierozdzielnie związane z jego zniszczeniem. Potem układ się odtwarza z materii lub antymaterii.

— Zapewne zależnie od tego, gdzie go wysyłają... — cicho zauważył Tompi.

— Kosmolot został odtworzony i wysłany ku Ziemi. Jeżeli odtworzyli go z właściwej materii, niech zostanie na Ziemi. W przeciwnym wypadku należy przesłać im sygnał, a odtworzą go z przeciwnego znaku materii i przyślą za jakiś czas. Koniec.

— Więc oni widocznie wszystko, cokolwiek badają, rozkładają na atomy — Fux patrzył w zamyśleniu w ekran. — A potem syntetyzują z powrotem, a to jest już dużo trudniejsze.

— Na pewno — zgodził się Tompi. — Skoro jednak trwa to prawie sto lat... mają czas...

— To niczego nie dowodzi. Może są to istoty bardzo w stosunku do nas długowieczne i sto lat jest fragmentem w ich istnieniu. Zresztą nie o to chodzi... Ważne jest, że oni jednak nie chcieli nas zniszczyć!

— A jednak Ban zginął i jestem teraz najstarszym człowiekiem, a właściwie najwcześniej urodzonym człowiekiem w Układzie Słoneczny—

— Niezupełnie. Pamiętaj, że za dwieście lat wróci z Wegi Ban.

— Wróci?

— Na pewno. Zapowiadają to w przesłanym nam sygnale. On, Ban, jest nieśmiertelnym z Wegi. Nieśmiertelnym dzięki ich technice, bo utrwalili strukturę jego ciała, jego mózgu i mogą ją odtworzyć, kiedykolwiek zechcą. Gdy otrzymają od nas sygnał, odtworzą Bana i kosmolot — i za dwieście lat nasi potomkowie powitają go wracającego drugi raz ku Słońcu.

# LOTKUZIEMI

Podróż kosmiczna dobiegała końca. Rakieta przemierzyła miliony kilometrów. Do Ziemi pozostały jeszcze tysiące... Siedział za sterami i czekał na moment, gdy Ziemia straci swój kulisty kształt, stanie się dobrze znaną z lotów stratosferycznych brudnoszarą płaszczyzną, a niebo zajmie należne mu w górze miejsce. Patrzył, jak znika w ekranie czerń Kosmosu, wypierana potężniejącą z każdą chwilą bryłą globu. Trzecią część tarczy Ziemi obejmowała noc i tam, gdzie się kończyła, prześwitywały zarysy lądów, niewyraźnymi konturami wyłaniające się z oparu atmosfery. Na rozłożonych pod ścianą sterowni fotelach, automatycznie dopasowujących się do kształtu ich ciał, leżeli ci, którzy wracali na Ziemię. Oni też patrzyli w ekrany. — Myślą teraz pewnie o tych, którzy na nich czekają; o ziemskiej zieleni drzew i kolorowych sukienkach dziewcząt na szarej płycie kosmodromu — spojrzał, ale nie zazdrościł im, mimo że na niego nikt nie czekał.

Na niego nikt nie czekał, bo był kosmogatorem; starym kosmogatorem raket szlaku Neptuna... Teraz latał Mars–Ziemia, Ziemia–Mars, Mars–Ziemia i tak bez końca...

To rodzaj emerytury, kosmicznej emerytury... Ale mimo wszystko lepsze to niż mały domek, mały ogródek i mnóstwo czasu... Kiedyś, w głębi Czerni, gdzie Słońce jest już tylko małą jasną plamką, a Uran i Neptun stają się globami, kiedyś tam właśnie myślał o Ziemi zupełnie inaczej. Ale to było dawno... i wtedy był młodszy... Poprawił się w fotelu i znowu spojrzał w ekran.

Mijali czwarty sztuczny księżyc. Błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości kilka tysięcy kilometrów od rakiety. Wtedy z głośnika tuż przy jego głowie odezwała się kontrola ruchu raket:

— ...B 13, tu Ziemia, B 13, tu Ziemia. Jak mnie słyszysz?

Słyszał ją jak zawsze wśród nieregularnych trzasków nadbiegających z Kosmosu.

— Ziemia, tu B 13. Słyszę cię dobrze — odpowiedział.

— B 13, Ziemia gotowa na przyjęcie rakiety. Gotowość deceleracji za sto sekund. — To było wszystko, przynajmniej na razie. — Jeszcze minuta spokoju — pomyślał. — Teraz mają mnie w stożku swoich radarów i sami będą się martwić o lądowanie. — Wiedział, że rakieta przemierza w sekundzie dziesiątki kilometrów i liczniki molekularne już za chwilę szczękając numeratorem chwycą pierwsze cząstki ziemskiej atmosfery.

— Wo, przygotuj deceleratory. — Oderwał wzrok od chmur leżących białymi kłaczkami wiele kilometrów w dole i spojrzał na Słońce, jeszcze kosmiczne Słońce, z odpryskami protuberancji na czarnym tle pustki...

Wo wstał i ruszył ku pulpitem, gdzie rzędami klawiszy bieleły sekcje dysz. Kłapał śmiesznie butami przylegającymi do posadzki i poruszał się wolno jak automat.

Wygląda jak kukielka na zwolnionym filmie — pomyślał.

— Kosmogatorze...

Wolno odwrócił głowę.

— Widziałam zarys brzegów, tam, w prawym rogu. — Jolly wskazała palcem miejsce na ekranie. — Czy to kontynent?

— Przelatujemy gdzieś nad Afryką. Prowadzi nas stacja namiarowa z Kilimandżaro... Ja ich wszystkich w tych stacjach znam — dodał, bo wiedział, że mu nie uwierzyła — znam ich głosy...

— Pracowałem kilka lat w tej stacji — powiedział wtedy Wo, już zza pulpitu sterujących. — ... Jest zautomatyzowana. Rozmawiałeś, kosmogatorze, z automatem...

Poznaję więc po głosie automaty ziemskich stacji... Więc dlatego nie zmieniają się te głosy automatycznych przewodników. Dlatego je rozpoznaję, że są zawsze te same, odkąd zostałem kosmogatorem i po raz pierwszy siadłem za sterami rakiety... Są takie same, niezmiennie, bo nie

umierają, nie są zmęczone, nie spieszą się, nie czekają na kogoś, kto poleciał do układu Saturna... Automaty... doskonale i niezmiennie — pomyślał i wiedział, że nikt lepiej niż one nie poprowadziłby rakiety do lądowania...

— Informator...! Informator! — Lena raz po raz wołała do mikrofonu...

— Jesteśmy teraz w strefie bliskiego zasięgu i informator nie odpowiada — powiedział do niej.

— Chciałam się dowiedzieć o terroplany dalekowschodnie... ..

— Dowiesz się, jak wylądujemy...

— Nie martw się, Lena, polecisz z Tomem i całym jego instytutem — powiedziała Jolly.

— Jeżeli tylko zmieścisz się do ich strato—planu... Trzech profesorów, pięciu docentów, nie licząc personelu pomocniczego, automatów i reporterów stereowizji... Niezły tłumek... No, ale z Tomem nie zginiesz... Weźmiesz ją ze sobą, bohaterze dnia?

Kosmogator patrzył w ekrany, lecz wiedział, że to mówił Kao... Tylko Kao mówił w ten sposób...

— Jasne, Lena, możesz lecieć z nami z instytutu... Będziesz szybciej na miejscu, bo nie lądujemy nigdzie po drodze...

— A poza tym rzeczywiście zobaczymy cię w stereowizji... Ciebie i Toma, chociaż właściwie powinni przede wszystkim pokazać te... Tom, jak one się nazywają?

— Asterotyki... — powiedział Tom.

Tak, asterotyki. Tom jest bohaterem dnia, bo gdzieś w piaskach marsjańskich pustyń odkrył asterotyki... Iluż już takich bohaterów przywoziłem na Ziemię — pomyślał kosmogator, a było ich tak wielu, że nawet gdyby chciał, nie potrafiłby ich sobie wszystkich przypomnieć... — Ten wielki drab, jak on się nazywał, który w szronie gazowym na Europie, księżycu Jowisza, znalazł zarodniki dziwnych bakterii... Mały dziwak Thaan, który żyjąc samotnie w bazie Urana, stworzył teorię pola subgrawitacyjnego, później nazwaną teorią Thaana... i ta kobieta, o której później mówiono, że zaginęła w chmurach Jowisza...

Pojedyncze szczęknięcia numeratorów przeszły w terkotanie, a wreszcie numeratory umilkły przytłoczone lawiną impulsów z rejestrowanych cząstek...

— B 13, podaję gotowość deceleracji... — głos odezwał się zaraz, gdy tylko umilkły numeratory...

— Zespoły hamujące gotowe? — zapytał kosmogator.

— Zespoły hamujące gotowe — powtórzył Wo.

— B 13, uwaga: ...minus pięć, minus cztery... — głos był monotony.

Tak, to musi być automat — pomyślał kosmogator i położył ręce na uchwytych dźwigni.

— ...minus trzy, minus dwa... — wyliczał głos — minus jeden. Zacisnął palce.

— Zero!

Szarpnął. Powinien był usłyszeć wysoki śpiewny ton z dysz hamujących, ale nic nie usłyszał. Dźwignie przełączone w pozycje hamowania... i cisza. Spojrzał na tablice. Zobaczył płonące, czerwone światła alarmu i tuż obok nich twarz Wo, dziwnie skurczoną, z zaciśniętymi powiekami... Gdzieś za tablicami rozdzielczymi uparcie wibrował brzęczyk. — Stos — pomyślał kosmogator i wiedział, że ma rację.

— Alarm? Trafiliśmy w meteor? — Tom uniósł się z fotela i patrzył na kosmogatora.

— Jakies zespoły uszkodzone? Co się stało, kosmogatorze? — głos Kao był o ton wyższy niż zwykle.

Dlaczego ci z Ziemi przede wszystkim myślą o meteorze... Zawsze... — Uszkodzenie w sekcji stosu atomowego — powiedział spokojnie.

— Przeciek neutronowy czy wzrost rozpadu? — Jolly patrzyła na kosmogatora.

Jest jak dziecko, które widziało zbyt wiele programów w stereowizji — pomyślał. — Ona na pewno nie wie, co znaczy przeciek neutronowy... — Raczej sterowanie uszkodzone — odpowiedział jej jednak zupełnie poważnie.

— Czy może narosnąć reakcja lawinowa? — Lena zapytała rzeczowo. Zawahał się chwilę.

— Nie wiem... — i naprawdę tego nie wiedział.

Wo powtórnie sprawdzał połączenia. Robił to mechanicznie... tak jakby na coś czekał.

On czeka na wybuch stosu — pomyślał kosmogator — ale przecież jeśli nawet stos wybuchnie, on tego nie poczuje. Przystanie istnieć szybciej, nim impulsy niosące wrażenie bólu dotrą neuronami do jego mózgu.

— Tu jest wszystko dobrze. Połączenie w porządku — powiedział Wo.

A więc to się stało tam, gdzieś w głębi stosu — teraz kosmogator już wiedział.

— B 13, B 13, dlaczego nie hamujesz? Odpowiedz natychmiast, słyszysz, odpowiedz natychmiast — głos był zmieniony, natarczywy, rozkazujący.

Czyżby automat niepokoił się o nas? — pomyślał kosmogator.

— Ziemia, tu B 13. Sterowanie stosu uszkodzone, możliwość reakcji łańcuchowej. — Mówił to wyraźnie, powoli. — Silnika nie można uruchomić, co gorsza... — urwał i popatrzył na pozostałych. — Tak, nie można przecież przy nich tego powiedzieć. — Wyznacz nasze położenie i tor — dodał szybko.

— Tu Ziemia. Zrozumiałem.

— W takich wypadkach hamuje się w atmosferze, prawda? — Tom wpatrywał się w kosmogatora.

— Tak.

— Jeśli rakietę nie wyparuje przedtem w wybuchu jądrowym...

Lena nie powinna była tego mówić — pomyślał. — Teraz oni zaczną się bać...

— Sądziś, że może jeszcze nastąpić wybuch? Dlaczego więc nic nie robicie? Zablokujcie stos. Wsuńcie pochłaniacze... — Kao zerwał się z fotela.

Blokowanie stosu nie jest takie proste — pomyślał kosmogator. Milczał chwilę, patrząc w dół na nieznaczną już z tej wysokości krzywiznę Ziemi, a potem powiedział cicho, jakby na wpół do siebie:

— Stosu nie blokuje się zdalnie... do stosu trzeba wejść...

— No więc idź — krzyknęła Jolly. — Spiesz się, kosmogatorze...

— Widzisz, to nie jest takie proste. Do stosu zawsze można wejść, ale można stamtąd nie wyjść. Wszystko zależy od natężenia promieniowania... — Umilkł na chwilę i patrzył w ekran. — Wszedłbym tam sam, ale nikt z was nie potrafi poprowadzić rakiety w atmosferze... Nie wiem, ale chyba nie powinienem ryzykować. Tu chodzi także o was... Fałszywy ruch sterami i do Ziemi dolecą nadtopione resztki pancerza...

— Więc musi to zrobić ktoś z nas... Ja niestety nie potrafię. Nigdy nie widziałam nawet z bliska stosu — powiedziała Jolly już spokojniej.

— Sądzę, kosmogatorze — Tom spojrział na pozostałych — sądzą, że masz prawo wyznaczyć kogoś.

— Mam, ale tego nie zrobię.

— Sam nikt się nie zgłosi — Kao zaśmiał się głośno.

— W takim razie ja pójdę.

— Nie zrobisz tego. Nie możesz nas wszystkich narażać.

— Nie wolno ci iść samemu. Ostatecznie... ostatecznie ja pójdę. — Lena powiedziała to spokojnie, a po chwili dodała: — ...tylko nie wiem, czy uda mi się przełączyć bezpieczniki. Nigdy tego nie robiłam. W każdym razie mogę spróbować...

— Zdajesz sobie sprawę — kosmogator patrzył wprost w oczy Leny — że tam w stosie można umrzeć albo jeśli się uratujemy, kilka dni później, na Ziemi...

Widział, jak umierali tacy, którzy weszli do stosu... ale tego jej nie powiedział.

— Tak, wiem o tym...

— Nie, Lena, ja pójdę. Ty o tym nie masz pojęcia. — Spokojny zazwyczaj Wo powiedział to gwałtownie, podniesionym głosem. — Ja znam dobrze tego rodzaju połączenia — dodał ciszej — i czułbym się głupio, gdybyś ty wróciła z niczym. Zresztą wtedy i tak poszedłbym tam...

Więc jednak się zdecydował. Właściwie od początku wiedziałem, że on tam pójdzie... — pomyślał kosmogator.

— Tobie nie muszę chyba przypominać, że nie należy przebywać w stosie ani sekundy dłużej, niż jest to niezbędnie konieczne... To chyba jasne...

— Bądź spokojny, kosmogatorze. Nie będę niepotrzebnie ryzykować.

— ...Wo, a gdyby coś się stało, chcesz coś przekazać tym, którzy czekają na ciebie? — Jak mało o nim wiem — pomyślał równocześnie kosmogator. — To już nasz czwarty wspólny lot, a nie wiem tego nawet.

— Nie! Nikogo nie będziesz zawiadamiał — Wo podszedł do ekranu i spojrzał w dół na Ziemię, tak bliską, że widać już było ruch obłoków. Patrzył tak przez chwilę, a potem ruszył ku przejściu w głąb statku...

— Zostaw śluzy przejściowe otwarte. Jeśli nie wrócisz za kilkanaście minut, pójdę po ciebie — krzyknął za nim kosmogator.

Wo skinął głową i zniknął w błękitnym mroku korytarza.

— Jeśli nie zdąży zablokować stosu przed wejściem w atmosferę... — zawahał się i urwał.

— Ile jeszcze zostało czasu? — zapytał Kao.

— Nie wiem. Nie znam toru rakiety. Nic nie wiem. Grzebią się na tej Ziemi, jakby liczyli na palcach. — Kosmogator powiedział to głośniejszym głosem niż zwykle... — Za głośno — pomyślał.

— A jeśli szybkość jest większa od „szybkości ucieczki”, możemy odlecieć w Kosmos. Czy tak, kosmogatorze? — To znowu powiedziała Lena.

— Nie, to niemożliwe... przecież to niemożliwe... — krzyk Jolly brzmiał histerycznie.

Zaczął się. Że też Lena musi mówić takie rzeczy — pomyślał i był zły na Lenę.

— Dlaczego niemożliwe... — Kao śmiał się hałaśliwie — „...po paraboli odjedziemy w nicość jak kometa...” — zacytował fragment jakiegoś poematu.

Więc tak wygląda zbiorowa histeria — pomyślał kosmogator. Kao nie śmiał się tak jak zwykle. To był jakiś inny śmiech.

— Przestań! — Tom zawsze mówił spokojnie. — Przestań! — powtórzył, a potem zwrócił się do Jolly.

— Po prostu słyszałaś zbyt wiele bzdur o raketach zaginionych w Kosmosie, odchodzących w lodowatą pustkę, nadających rozpaczliwe wezwania pomocy. Nie wierz temu. To bajki dobre dla małych dzieci. Nie martw się. W próżni odnajdą nas na pewno. No, a jeśli spalimy się w atmosferze... — wzruszył ramionami.

— Nie przesadzaj, Tom — powiedział kosmogator. — Widziałem wiele załóg wychodzących z nadpalonych, podczas hamowania w atmosferze, raket. Pamiętam, mój kolega tak wyhamował raketę zwiadowczą, że musieli palnikami wycinać zatopiony żarem właz... a on żył... — Umarł parę tygodni później... ale tego kosmogator już nie powiedział i nikt go nie pytał o tego kolegę, bo właśnie odezwała się Ziemia.

— B 13, B 13. Podaję elementy toru... — przycisnął przełącznik autonawigatora. Mimośród,



krzywizna w punkcie, dewiacja i inne parametry zostały utrwalone w pamięci automatu. Potem z tych danych ten automat i on, człowiek, wyliczą optymalną drogę przez atmosferę, ograniczoną z jednej strony temperaturą pancierza, z drugiej — końcową szybkością rakiety. — Już za chwilę wejdziemy w atmosferę — pomyślał. Czekał na to, bał się i jednocześnie wolałby mieć już za sobą... — Tylko co z tym Wo — patrzył w głąb korytarza, lecz tam nie było nikogo...

— Może się zdarzyć — powiedział Tom — że ktoś — zaciął się — no, wiecie, różnie bywa przy lądowaniu... Gdyby mnie się coś stało, wszystkie zebrane dane o asterotykach są w mojej kabinie. Nie zapomnijcie o nich...

— Doskonale — Kao wybuchnął śmiechem. — To tak jakby nieboszczyk troszczył się o kwiaty na swój grób. Przechabawne — spoważniał nagle, podszedł do Toma. — Człowieku, zrozum, że możemy zginąć i wtedy nic nie będzie ważne... — ...a ja chcę żyć, chcę wrócić na Ziemię. Muszę wrócić. Mam dziewczynę, którą kocham, która czeka na mnie. — Mówił tak, jakby chciał przekonać Toma o konieczności powrotu. — Ja wrócę... — powtórzył raz jeszcze.

— Zobaczmy... — wszyscy odwrócili głowy. W drzwiach stał Wo.

— Bezpieczniki stosu przełączone na sterownię. Wybuch nie nastąpi, chyba że ty, kosmogatorze, przesuając dźwignie rozruchu zerwiesz zabezpieczenia.

— Daj dozometr — Lena podeszła do Wo i wyjęła mu z kieszeni na piersi mały owalny przyrząd. Rzuciła nań okiem i zawarła w zaciśniętej dłoni.

— Ile?

— Nie odpowiedziała.

— Powiedz ile. Przecież się nie rozplączę. Na pewno. Możesz mi wierzyć.

Lena spojrzała na kosmogatora. Ten skinął głową.

— Dziewięćset rentgenów.

Twarz Wo pozostała bez wyrazu. Powiedział tylko cicho:

— No, moja podróż już się skończyła...

Kosmogator nic nie powiedział. Patrzył na Wo, ale on był spokojny.

— Nic się nie martw. Słyszałam w stereofonii o kimś, kto dostał tysiąc dwieście i po trzech miesiącach był zdrow. — Powiedziała to Jolly.

— Chyba w audycji „Tomcio kosmonauta”, dla dzieci starszych. Naprawdę w życiu cuda się nie zdarzają...

— Na Ziemi zajmą się tobą lekarze. Przeszczepienie szpiku... i wszystkie te zabiegi... — kosmogator urwał. On też wiedział, że podróż Wo się skończyła.

— Po co mnie okłamujesz, kosmogatorze. Wiesz doskonale, że nie urodził się jeszcze człowiek, który przeżyłby taką dawkę. Ona jest zawsze śmiertelna. Miliardy jonów powstały w komórkach mego ciała. Komórki umierają. Wraz z nimi umieram ja.

— To do niczego nie prowadzi — Tom przerwał mu gwałtownie.

— Masz rację. To już do niczego nie prowadzi. Ja mój problem powrotu na Ziemię rozwiązałem... negatywnie... Ale teraz nie mam przed sobą oczekiwaniami, niepewności, strachu, nadziei ratunku. Ja... Ja już umarłem.

— Słuchajcie — kosmogator celowo podniósł głos. — To nie ma sensu. Wszyscy w końcu możemy zginąć... — i nagle jakby sobie coś przypomniał, dodał: — jeśli ktoś z was chce coś ważnego przekazać Ziemi, musi zrobić to teraz. W czasie przejścia przez atmosferę przy tej szybkości mogą zostać uszkodzone urządzenia nadawcze...

— Ja chciałabym rozmawiać z Ziemią — Jolly wstała i podeszła do nadajnika.

— Czekaj — Kao doskoczył i odepchnął ją. — Ja będę mówił. Ziemia, tu B 13. Połącz mnie ze

strefą Europy Środkowej. Fala AS 2354.

— ...AS 2354 — i po chwili ciszy — mówi automat domowy Kid Nao. Dzisiaj jest piękna pogoda i Kid rano poleciała na Hawaje. Czy mam jej coś powtórzyć?

— ...że będę w domu... że wracam...

— Dobrze, powtórzę, ale kto ty jesteś? — ostatnie słowa automatu ginęły, zagłuszone narastającym sykiem dartej atmosfery.

— Kao jestem, Kao... — krzyczał, lecz jego głos rozpływał się we wszechobecnym szmerze. — Kao... — dodał już ciszej.

— I tak będzie wiedziała — krzyknął mu w ucho Tom.

— Tak... będzie... — Kao powtórzył bezmyślnie.

Więc wreszcie wchodzimy w atmosferę — pomyślał kosmogator — ale czy z niej wyjdzie—my? — Tego nie wiedział, a mimo to był zadowolony, że już się zaczęło. Mijały minuty. Gwizd narastał, zmieniał ton i natężenie. Przyrządy mierzące temperaturę powłoki mrugały światłami alarmu. Rakiecie groził los meteoru rozpadającego się w atmosferze. Jeśli temperatura podniesie się jeszcze o sto stopni, pancierz nie wytrzyma. — Wiedział o tym i patrzył, jak wskazówka, mała czarna wskazówka przyrządu zbliża się do czerwonego pola alarmu... Jeszcze centymetr... jeszcze pół centymetra... Wtem usłyszał nowy dźwięk... Nieuchwytny, dochodzący ze wszystkich stron, wszechobecny szum... To wrzało płynne powietrze w urządzeniach chłodzących...

— Niech to się wreszcie skończy — Jolly krzyczała histerycznie.

Wskazówki przyrządów dotknęły czerwonych pasów awarii. Zawahały się jakby. Patrząc na nie, stracił już nadzieję. — Jeszcze chwila i wszystko się skończy — pomyślał i nie patrzył już na nie i tak mijały sekundy.

A jednak pancierz wytrzymywał. Wytrzymywał i gdy kosmogator spojrzał na czarną wskazówkę, wiedział, że już nie przekroczy czerwonego pasa, chociaż gwizd pozornie nie tracił na sile. Uśmiechnął się. Uśmiechał się do szarych ekranów automatów, jakby dziękując im za pomyslną wiadomość... Potem odezwała się Ziemia:

— B 13, czy mnie słyszysz?

— Ziemia, tu B 13. Słyszę cię dobrze. Wyszliśmy...

— B 13, B 13, odezwij się — powtórne wezwanie przerwało kosmogatorowi w pół słowa. — B 13, czy mnie słyszysz?

Nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, pochylony nad ekranami kontrolnymi.

— B 13, B 13, co się z tobą dzieje? — Ziemia mówiła bez przerwy. — Odezwij się. Za moment dojdiesz do apogeum. Szybkość twoja jest niebezpiecznie duża... B 13, odezwij się... — i po chwili milczenia powiedziane widocznie do kogoś z boku — ...łączność przerwana, widocznie emitery zostały zatopione...

A więc jednak tam na Ziemi jest człowiek, nie automat — pomyślał kosmogator i znowu się ucieszył.

— Nie uratujemy się — powiedziała Jolly. — Słyszeliście, szybkość jest za duża...

— Nieprawda. Widocznie ta szybkość jest najkorzystniejsza. Rozkład prędkości wzdłuż toru liczył przecież autonawigator — powiedział kosmogator i wierzył w to.

— Ja się nie boję... naprawdę się nie boję — powtórzyła Jolly. — Tylko mam już dość czekania. Dość! Przecież wszyscy myślicie o tym samym, o śmierci. Jesteście jej pewni. Nie znam się na raketach, na kosmonautyce, ale widzę tę waszą pewność. Powiedzcie wyraźnie. Chcę to wreszcie usłyszeć!

— Ależ, Jolly...

— Nie, ja mogę umierać, ale już! — urwała i zwróciła się do kosmogatora zupełnie spokojnie:

— Wyłącz blokowanie stosu. Podobno człowiek siedzący na bombie jądrowej nie może czuć jej wybuchu. Czyż nie lepiej tak zginąć niż spłonąć w atmosferze...

— Nie zrobię tego. Mamy szanse...

— Nie wierzę ci. Zerwij bezpieczniki albo sama to zrobię... — rzuciła się ku pulpitem. Tom był jednak szybszy. Skoczył ku niej i zacisnął dłonie na jej skafandrze. Wyrwała się, lecz gdy podniósł ją w górę i położył na fotelu, uspokoiła się. Wtuliła twarz w elastyczne pokrycie fotela, chyba płakała. Kao podszedł do fotela Jolly i patrzył na nią z góry.

— Tak, ona ma rację — powiedział. — Spalimy się... Gdyby nasze skafandry przystosowano do lotu w próżni moglibyśmy po pęknięciu pancerzy próbować wydostać się na zewnątrz. Chociaż i tak nie mając urządzeń hamujących...

— Ale ma je pojazd próżniowy — wykrzyknęła niemal Lena.

Znowu Lena — pomyślał. — Nie jest on przystosowany do lotu w atmosferze. To niebezpieczne. Nie radziłbym nikomu nim lecieć — powiedział.

— Lot rakieta jest równie niebezpieczny. A pojazd ma silniki pozwalające zmniejszyć szybkość. Daje szanse ratunku. Przyznasz to, kosmogatorze — Kao krzychał prawie.

— Pojazd jest jednoosobowy. Daje szanse ratunku tylko jednej osobie.

— Więc niech ktoś z nas się ratuje. Nad czym w ogóle dyskutujecie...

— Lena, jeśli myślisz, że nim polecisz dlatego, że pierwsza o tym wspomniałaś, to się mylisz — twardo powiedział Kao.

— Myślisz, że może ty polecisz, że twoje życie jest więcej warte, bo jakaś kobieta czeka na ciebie. Na każdego z nas ktoś czeka...

— Nie doczekają się — Jolly oderwała twarz od fotela i zaśmiała się przeraźliwym histerycznym śmiechem.

— Może raczej jest rzeczą mało prawdopodobną, by się doczekali — powiedział kosmogator — i nagle stało mu się obojętne, czy oni będą się bać, czy nie...

— Ale uratuje się ten, kto polecą pojazdem próżniowym — gorączkował się Kao.

— Jego szanse nie są o wiele większe od naszych.

— Ty, kosmogatorze, ciągle mówisz o prawdopodobieństwie. Szansa większa chociaż o promil jest ogromną szansą. Tu chodzi o życie.

— Wartość jego życia będzie większa o promil, nie więcej. Iloczyn prawdopodobieństwa przez wartość — nadzieja matematyczna, taki ładny termin... — Chciało mu się śmiać.

Nie zauważył nawet, że Lena wyszła.

— Nie sądzisz, Kao, że pojazd próżniowy powinniśmy zostawić kosmogatorowi? — to powiedział Tom.

— Kosmogator nigdy nie opuszcza swego statku.

— Masz rację, Kao, nie opuszczę rakiety... Zostanę aż do... zderzenia z Ziemią — zaśmiał się i było mu już wszystko jedno.

— Ja też chcę lecieć... — odezwała się Jolly.

— Nie umiesz prowadzić pojazdu... — Kao spojrział na nią, a potem obrócił się do Toma:

— Zanim rakieta zanurzy się w atmosferę, opuszczę statek pojazdem próżniowym. Zgadzasz się, Tom, prawda? Wydam twoje prace. Uroczycie ci to obiecuję... Tom wzruszył ramionami...

— Jeśli zgodzi się kosmogator...

— Dziękuję ci, Tom. A ty, kosmogatorze?...

— Ja też chciałabym polecieć — w drzwiach stała Lena. W jej rękach błyszczał podłużny

niklowany aparat z niewielką owalnego przekroju dyszą.

Wyciągnęła dezintegrator... — pomyślał i nie było mu już wesoło.

Kao poruszył się.

— Nie przejdiesz, Kao. Nie próbuj nawet, Ja... ja, kosmogatorze, muszę lecieć... — mówiła gwałtownie, jakby w obawie, że ktoś jej przerwie. Dezintegrator błyszczał w rękach Leny, odbijając światła sterowni w swej niklowanej powierzchni. Mogła nim dosięgnąć każdego. — Tam... na Ziemi zostawiłam... — urwała, jakby nie mogła ułożyć dźwięków w słowa.

Przerwał jej Kao. Mówił wolno, z trudnością:

— Po cóż ci dezintegrator? Myślisz, że to tak łatwo zabić człowieka, myślisz, że wystarczy nacisnąć spust...

— Nacisnę, jeśli się tylko zbliżysz...

— Nie, nie naciśniesz. Widzisz, teraz zrobię krok — postąpił ku niej — nie naciśniesz!

Stała bez ruchu i tylko jej twarz zbladła nieco.

Nie naciśnie — kosmogator też już wiedział, że nie naciśnie spustu.

— Sądzisz, że zostać mordercą jest tak łatwo. Na to trzeba wiele odwagi. Ty jej nie masz. Nigdy się na to nie zdobędziesz... Popatrz, robię drugi krok.

Bezwolnie opuściła dezintegrator. Jednym skokiem Kao znalazł się przy niej, chwycił za miotacz i szarpnął ku sobie. Nie puściła. Zawisała całym ciężarem na jego rękach. Kao zachwiał się i upadł. Tarzali się teraz po białej posadzce sterowni, walcząc ze sobą. W pewnej chwili Kao zdołał wyswobodzić rękę i zadał Lenie decydujący widocznie cios, bo wypuściła dezintegrator, zasłaniając twarz rękami. Kao poderwał się z miotaczem w rękę i skierował go ku pozostałym. Oni siedzieli jednak nieporuszeni. Wszystko to trwało zbyt krótko. Tymczasem Lena wstała z posadzki i zataczając się lekko, ruszyła w stronę Kao. Wtedy w jego oczach odbiło się przerażenie. Bez zastanowienia skierował ku niej miotacz i błękitny płomień strzelił z dyszy. Tom poczuł zapach ozonu i błękitne plamy zawirowały mu przed oczyma. Gdy wreszcie zaczął widzieć, Lena już nie żyła...

— Morderca — powiedział tylko.

Wzrok Kao był nieprzytomny.

— Nie próbuj się ruszać, bo cię zabiję... zabiję cię... — powtarzał bez przerwy. Potem zaczął się wycofywać w kierunku korytarza. Tom poderwał się za nim.

Zabije go rzeczywiście — pomyślał kosmogator.

— Zostań — rozkazał.

— Ależ...

— Powiedziałem zostań.

Tom wzruszył ramionami i podszedł do Wo klęczącego nad ciałem Leny.

— Zginęła momentalnie... — odwrócił wzrok. Teraz Kao biegnie do pojazdu próżniowego — pomyślał kosmogator, a potem, gdy wiedział, że Kao jest już w kabinie pojazdu, powiedział do mikrofonu:

— Jesteś mordercą i musisz ponieść karę... Byłoby niesprawiedliwością, gdybyś został przy życiu dlatego, że ją zabiłeś... Nikt by ci tego nie udowodnił. Nikt by cię nie ukarał, gdybyśmy zginęli. Musisz umrzeć, rozumiesz... — skończył, wstał zza sterów i podszedł do pulpitu sterujących. Patrzył teraz w ekran i czekał... Dolne śluzy rakiety były już otwarte i pojazd próżniowy pracując swymi silnikami wychodził na zewnątrz. Gdy opuścił się dostatecznie nisko, klapy śluz zwały się za nim.

— Życzę wam dobrze. Uratujcie się... — w głośniku zatrzeszczał głos Kao.

— Uważaj, giniesz!... — powiedział kosmogator, przycisnął klawisz i włączył pole magnetyczne

wsysające pojazd, poderwał go ku zamkniętym opancerzonym śluzom rakiety. Statek lekko zadrżał, a na ekranie, tam, gdzie przed chwilą jeszcze widział pojazd próżniowy, trysnął strumień ognia. To przy uderzeniu o pancierz rakiety eksplodowały zbiorniki paliwa. Pojazd przestał istnieć i jego szczątki płonąć pozostawały za rakieta, hamowane w rzadkiej jeszcze atmosferze.

— Musiałem tak zrobić. Inaczej byłoby niesprawiedliwie... — powiedział to cicho i do siebie i nikt tego nie usłyszał wśród narastającego szumu dartej dziobem atmosfery. Chwilę patrzył w ekran, a potem odwrócił wzrok ku przyrządom. Rakieta traciła szybkość, wchodząc w gęstsze warstwy atmosfery. — Jestem już zmęczony, zwyczajnie zmęczony — pomyślał. Patrzył na wskazówki przyrządów pełnące w górę, ale ich wskazania były mu obojętne. Nie zdziwił się nawet, gdy stanęły i z wolna zaczęły opadać. Rozgrzana do czerwoności powłoka rakiety stygła. Wreszcie wskazówka altimetru drgnęła i wyszła z martwego położenia. — Jesteśmy już na wysokości rakiet stratosferycznych — pomyślał i spojrział w dół. Tam był ocean. Automatycznie nacisnął klawisze autonawigatora i wyznaczał położenie rakiety.

— Jesteśmy nad Pacyfikiem. Powinniśmy upaść przy brzegach Ameryki — powiedział w końcu.

— Określ dokładniej — Wo stał tuż za nim i przez jego ramię obserwował wskazania przyrządów. Zwiększył dokładność obliczeń, przekazał nowe namiary... — Liczę szanse ich ocalenia — pomyślał i ze zdziwieniem spostrzegł, że drżą mu ręce przy naciskaniu klawiszy. Wynik, fosforyzujący krążek naniesiony na telemapę, obejmował ocean i skrawek lądu...

— Trzydzieści kilometrów nad brzegiem, z rozrzutem pięćdziesięciu kilometrów.

— Miejmy nadzieję, że wylądujemy w morzu... — powiedział Wo.

A jeżeli nie wylądujemy w morzu, nie wylądujemy wcale — pomyślał kosmogator. Patrzył, jak wskazówka altimetru wolno opada. Zeszli już tak nisko, że widać było wielkie transportowce sunące na wschód. Na szarym tle oceanu wyglądały jak owalne pociski ciągnące za sobą biały ogon piany.

— B 13, B 13 — zachrypiał głośnik. — B 13, czy mnie słyszysz? Lecisz wprost na Saturnopolis... na Sa-tur-no-po-lis... Zmień kurs... natychmiast... zmień kurs! Słyszysz? Nie, oni nas nie słyszą... to okropne... — i po chwili ciszy znowu — B 13... B 13... zmień kurs! zmień kurs!

Kosmogator wiedział, że nie może ani zmienić kursu, ani zahamować rakiety, może tylko spadać ślizgowym lotem... Jeszcze minuta, dwie i zza horyzontu wyłoni się ląd i miasto...

— Tam żyją miliony ludzi... nie możemy... — powiedział ciszej niż zwykle, ale oni usłyszeli. Spojrzał na Toma. Ten skinął głową. Wtedy kosmogator sięgnął ku uchwytem dźwigni blokowania stosu. Popatrzył jeszcze na morze, jednostajną szarozłą wypełniającą dolny ekran. — Szare, ogromne i szare — pomyślał i szarpnął dźwignie...

Na wschód od miasta Saturnopolis, za horyzontem rozbłysło na moment drugie słońce. Rozbłysło, zgasło, a potem nadciągnęły chmury i na ocean spadł deszcz...

# WRÓBLE GALAKTYKI

Nadleciał z gwiazd... Nie zatoczył nawet jednej elipsy dokoła planety jak nasze ziemskie kosmoloty... Radary księżycy zarejestrowały jego obecność, gdy był już zupełnie blisko... na parę sekund wcześniej, zanim lądował na Ganimedzie...

— Ależ profesorze... — to krzyknął ktoś z ostatnich rzędów audytorium, a w pierwszych zaczęto szeptać, tym szeptem, który doskonale słychać na katedrze.

— O, wiem, wiem... Nie wierzycie mi...

Toren podszedł do sterowania ekranami wideotronicznymi sali. Oparł się o pulpity...

— Nie wierzycie mi, bo zasięg naszych radarów wynosi pięćdziesiąt milionów kilometrów... a w ciągu dziesięciu nawet sekund można przemierzyć najwyżej trzy miliony kilometrów...

— To już udowodnił Einstein... — powiedział ktoś za mną. Odwróciłem się.

— Słusznie, kolego — Toren popatrzył na młodego blondyna siedzącego dwa rzędy za mną. — Słusznie... ale zapominasz, kolego, o efekcie Dopplera... Radar mógł zarejestrować obecność statku, gdy składowa wektora jego prędkości w kierunku V Księżycy zmniejszyła się o tyle, że częstotliwość fal odbitych zmieściła się w zakresie odbiornika...

Tym razem mówili już wszyscy.

— ...Tak, tak... — Toren podniósł głos — on leciał z szybkością podświetlną...

— I zderzył się z tą szybkością z Ganimedem...? — zapytał ktoś z sali.

— W każdym razie nie zmniejszył szybkości do ostatniej chwili — to wiemy na pewno.

— Więc spłonął?

— Wybuchł raczej...

— Nie... i dlatego to jest statek kosmiczny, a nie międzygwiazdny bolid.

— Teraz mamy na to bardziej bezpośrednie dowody...

— Tak, torusy... — zgodził się profesor.

— Profesorze, prosimy o szczegóły, właściwie nikt nic o nich nie wie. Dlaczego robicie z tego tajemnicę?

— Będziemy ją badać czy nie?

— Ostatecznie po to wysłano nas z Ziemi... — Profesor poczekał i wreszcie, gdy było znowu cicho, powiedział:

— Rzeczywiście nie ogłaszaliśmy żadnych szczegółów. Najpierw musimy zbadać całą sprawę... Po to zresztą tu jesteście... i w końcu wy zadecydujecie, co zrobimy... urwał na moment. — Przed kilku dniami... zespół roboczy docenta Romowa wysunął hipotezę inwazji torusów... — Skończył. Przez chwilę było cicho.

— Inwazji? — zapytał ktoś niezbyt pewnie.

— Tak, torusy uznano za agresję z obcego układu...

W sali wszyscy krzyczeli. Mój sąsiad zerwał się z krzesła i pobiegł w kierunku katedry.

Po chwili profesor był otoczony zwartym kręgiem krzyczących ludzi... Przepychał się z trudem ku wyjściu...

— ...Tak, atakują... Wszystko zobaczycie sami... już tu, na Ganimedzie — powtarzał. Wreszcie dobrnął do drzwi i zniknął w korytarzu...

Zjeżdżaliśmy windą w podziemie bazy. Opuszczaliśmy się równomiernie, bez wstrząsów, i tylko zapalające się kolejno wraz niższe światelka kondygnacji zaprzeczały wrażeniu bezruchu. Każde światelko oznaczało piętnaście metrów dalej do powierzchni księżycy, piętnaście metrów więcej

skął nad naszymi głowami. Gdzieś w głębi, na samym dnie szybu, pod ogromnym półkolistym sklepieniem, osłonięty ekranem grawitomagnetycznym, spoczywał torus.

Obok mnie stał ten sam blondyn, który mówił Torenowi o Einsteinie, chłopak niemal, z nikłymi śladami zarostu. Milczał jak inni i tylko jego twarz, poważna chyba od urodzenia, wyrażała napięcie, a ostre cienie rzucane przez jarzącą się ścianę potęgowały to wrażenie.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Byliśmy na miejscu. Z całego kilkadziesiąt metrów w górze wiszącego sklepienia sączył się błękitnawy blask. Ekran grawitomagnetyczny założono prowizorycznie i po posadzce wiły się zwoje przewodów. Wokół jednostajnie mruczały agregaty zasilające. Ekran był niewidoczny i tylko tęczowe załamanie się światła świadczyło o jego obecności. Wewnątrz, oświetlony jaskrawym reflektorem, na podstawie z białego plexigitu leżał torus, ogromny, gruby, czarny wąż, który połknął swój ogon. Podeszliśmy do grających światłami pulpity sterujących. Stała tam kobieta, zgrabna, ciemnowłosa, w żółtym swetrze, wyglądającym w tym świetle brudnozielono. Gdy odeszła na bok, by zrobić nam miejsce, spostrzegłem coś znajomego w jej ruchach.

— Gay! — odwróciła głowę. Znałem ją dawniej, na Ziemi, zanim odeszła z Anodo... Anodo... także kiedyś znałem.

— Serg — uśmiechnęła się — przyleciałeś z nimi?

— Tak. Obcięłaś włosy, najdłuższe włosy w całym Instytucie w Mort. Czyżby klimat Ganimeda...?

— Serg — powiedziała mi — Anodo nie żyje, wiesz już?

Milczałem chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie, nie wiedziałem o tym.

— Kiedy... kiedy to się stało? — zapytałem w końcu.

— Niedawno, był jednym z nich... z tych, co badali torus.

— Zginął przypadkowo — przysunęła się do mnie tak blisko, że czułem jej oddech na policzku — ...ale wiesz przecież, on zawsze był taki. Pchał się tam, gdzie inni się wahali... jakiś zły błysk zapalił się w jej oczach.

— Gay, uspokój się.

— Ależ ja jestem spokojna. Tylko nie mogę obojętnie myśleć o tym, że on zginął tu, w tej sali... niepotrzebnie... zupełnie niepotrzebnie... Poszedł zbadać powierzchnię torusa... w lekkim skafandrze ochronnym. Bohater. Nie wierzył, że to inwazja, i chciał to innym udowodnić...

Pomyślałem, że to chyba było w nim właśnie najcenniejsze, ale nie powiedziałem nic. Wolałaby, żeby żył — to jasne. Wziąłem ją za ramię i podeszliśmy do grupy skupionej przy pulpicie. Nikt nie patrzył w ekrany kontrolne. Wzrok wszystkich spoczywał na androidalnym automacie zbliżającym się do ekranu. Ekran zafalowawszy rozszerzył się, pochłonął androida. W tej samej chwili nad torusem wzniósł się obłoczek opalizującej mgiełki. Ekran zamigotał barwami tęczy, wytrzymując impulsowe uderzenie.

— Parametry androida zostały ustalone na wielkościach charakteryzujących człowieka. On już nie żyje...

Przez chwilę zdawało mi się, że tam, kilkanaście kroków ode mnie, za lekko falującą powłoką ekranu leży rozciągnięty czarną sylwetką na białej posadzce nie android, lecz człowiek. Tak musiał leżeć Anodo i tu samo białe światło reflektora migotało na jego skafandrze ochronnym jak teraz na pancernych płytach androida. Spojrzałem na Gay. Jej oczy, trochę zmęczone, obojętne, błędziły po sali. Nagle spotkały mój wzrok i nie wiem, czy zrozumiała, ale powiedziała:

— On... on upadł w ekran: Rozumiesz, prądy wirowe w metalu skafandra. Zanim skurczyli ekran, metal rozżarzył się do białości...

W dolinie było ciemno i tylko gdzieś tam sterczały czarne szczyty skał. Dolinę utworzył uskoki tektoniczny w czasach, gdy Ganimed stawał się dopiero księżycem; kończyła się u stóp niewielkiego krateru, tam właśnie znaleziono jeden z pierwszych torusów.

— ...i nic, inwazja nie posunęła się dalej — Wera powiedziała to jakby z żalem.

— Widocznie śmierć tych w bazie zaspokoila mordercze żądze torusów. — Dor, rozparty w fotelu za drążkami steru, wpatrywał się z uwagą we wskazania automatów nawigacyjnych. Nie mówił tego poważnie, ale Wera nie zorientowała się widocznie.

— Naprawdę sądzisz, że nie pójdą dalej? — zapytała.

— Same na pewno nie. Nawet do stosunkowo tak prostej czynności jak poruszanie się trzeba posiadać odpowiednie zespoły. Mechanicznych nie mają na pewno, a sądząc z zachowania się naszego więźnia, grawitacyjnych też nie. Inna rzecz, że ja na ich miejscu zaopatrzyłbym taki agregat bojowy w jakiś napęd.

— Trzeba natomiast im przyznać nadzwyczaj trafny dobór impulsu, stuprocentową śmiertelność wśród wszystkich ssaków — wtrąciła się do rozmowy Gay.

— Za duże natężenie. Działanie torusa jest śmiertelne na dystansie kilkakrotnie przewyższającym odległość, z jakiej w ogóle może on coś spostrzec.

— Ale po co oni nas zabijają?

Nikt Werze nie odpowiedział. Przez chwilę słyszałem tylko monotony szum gazów wyrzucanych dyszami w próżnię. — Nie wiemy... — Dor mówił cicho jakby do siebie. Jeśli zrozumiemy ich, zrozumiemy i to... Tylko najpierw musimy się spotkać.

— No a torusy?

— Nie, to byłoby zbyt łatwe. To tak jakbyś z automatami przeznaczonymi do kopania rowów chciał rozmawiać o ludzkości. Tam... tam musi być coś więcej niż dążenie do naszej śmierci...

— I dlatego, że Toren i jeszcze kilku innych rozumuje podobnie, my będziemy ginąć zamiast pokryć cały teren wybuchami termojądrowymi? — zapytała Gay.

— Tak. Właśnie dlatego.

Silniki huczały monotonnie. Dolina została za nami. Lecieliśmy nad równiną i patrzyłem na dobrze widoczną z tej wysokości krzywiznę horyzontu, poszczerbioną dalekimi łańcuchami górskimi. Dor zaczął właśnie coś mówić, gdy głośnik zachrypiał głosem Wardena, pilota pierwszej z naszych trzech rakiet.

— Mam nowy torus. Zaraz go zniszczę.

Spojrzałem w kierunku, w którym powinny się być znajdować obie rakiety. Nie dostrzegłem nic w monotonii brunatnych skał. W dali zza horyzontu czarnym masywem przesłaniającym gwiazdy wznosił się Tukopatatan, najwyższa góra Ganimeda. Pomyślałem, że przypomina gigantyczny cokół. Wtem odezwał się brzęczyk wykrywacza.

— Torus! — Dor manipulował powiększeniem ekranu, aż ujrzałem charakterystyczny kształt torusa spoczywającego na płaskiej skale.

— Wygląda na to, że jest ich tu tyle, ile diod w automacie. Podam współrzędne Wardenowi i Woleyowi... — Dor urwał i wpatrzył się zdezorientowany w ekrany.

— Co się stało? — Milczał chwilę.

— To dziwne, ale nie ma sygnału namiarowego z rakiety Wardena...

— Jak to nie ma?

— No nie ma. Popatrz, jak nie wierysz...

— A automat?



— Sprawdziłem.

— ...to znaczy, że rozbili raketkę...

— Wiem to bez ciebie, Serg — powiedział Dor.

— Spróbuj mówić z Woleyem. Jego raketka wysyła przecież sygnały.

Dor przerzucił przełącznik.

— Woley, tu Dor. Słyszysz mnie dobrze?

— Doskonale, natrafiliśmy przed chwilą na torus. Chciałem to przekazać Wardenowi, ale odezwał się pierwszy.

— A odbierasz jego sygnał namiarowy?

— Co... Nie! Rzeczywiście nie. Ale to znaczy... to przecież znaczy, że on się rozbił.

— Może wszedł w obszar zaniku fal...

— Niemożliwe. Ja słyszę dobrze i tu nic nie ma... Chociaż czekaj... Coś tu widzę poniżej... Przesuwa się na tle skał... Woley zamilkł i w głośniku słychać tylko było jego oddech. — Dor... to chmura — membrana głośnika wibrowała głosem Woleya — chmura, tu, na Ganimedzie... Popatrzyłem w kierunku lotu, rzeczywiście, w dali na tle stożka wisiała nisko czarna chmura kształtu ogromnego dysku.

— Należałoby nadać komunikat do bazy — powiedział Dor. — Nadaj... Ona pędzi na mnie... — Woley zająknął się.

— Co?

Woley nie odpowiedział.

— Podaj moim automatom nowe współrzędne lotu. Słyszysz mnie, Woley?

— ...nie ucieknę... jest już blisko...

Chwila ciszy i nagle zmieniony przerażeniem głos Woleya zmieszany z nawałą trzasków.

— Dor... ona... — słowa rozpoczęły się i równocześnie zgasła biała kreska sygnału namiarowego. Patrzyłem w kierunku chmury i dostrzegłem krótkotrwały fioletowy błysk. A może tylko mi się zdawało...

Obok stała Gay. Ona także patrzyła na chmurę, potem powiedziała:

— Tak samo zginął Warden, ale...

— Jak sądzicie? Dlaczego oni zginęli, nie my?

— Może po prostu dlatego, że byli pierwsi.

— Tak, to jedyne, co w tej chwili możemy przyjąć — zgodziła się. — Ale wobec tego wydaje mi się, że jeżeli nie zawrócimy natychmiast, narażamy się na podobny koniec. A więc...?

— Nie, Gay, musimy sprawdzić, co się z nimi stało. Nieprawdaż, Serg? — Dor zwrócił się wprost do mnie. — W zasadzie teren mogłaby przeszukać ekspedycja ratunkowa, ale wtedy może być za późno. Chyba jednak musimy tam polecieć.

— Zgoda. Jesteście w większości. Ale ja nie zmieniam zdania.

Patrzyłem na czarną chmurę wiszącą teraz trochę w prawo od masywu Tukopatatana. Wydawała się nieruchoma, lecz gdy wróciłem do niej po chwili wzrokiem, odniosłem wrażenie, że powiększyła się nieco. Chwila uważnej obserwacji. Tak, to nie było złudzenie.

— Zawracamy — starałem się mówić spokojnie. Napotkałem nic nie rozumiejące spojrzenie Dora. — Chmura — wyjaśniłem — zbliża się.

Gwałtowny ruch rąk Dora na sterach i siła odśrodkowa rzuciła mnie na ścianę. Roztarłem stłuczony łokieć i obróciłem się do tylnego ekranu, którego środek po obrocie zajął Tukopatatan. Obok mnie, schwyciwszy moje ramię w czasie zwrotu, stała Gay. Mimo że lecieliśmy już zupełnie spokojnie, nie rozluźnili uchwytu i czułem jej palce zgniatające mi mięśnie. Ona także widziała, jak

rośnie i powiększa się chmura.

— Nie zdążymy... — powiedziała to spokojnie. Potem nagle zwróciła się do Dora.

— Ląduj — zdecydowała, spojrzała na mnie, jakby szukając aprobaty dla swojej decyzji. Zobaczyła swoje zbieleiałe z wysiłku palce i puściła moje ramię. — Ląduj — powtórzyła.

— W dole są skały, rozbijemy się.

— Szybciej, Dor — ponagliła. — Musimy zaryzykować.

Rakieta runęła w dół. Teraz, gdy znaleźliśmy się poniżej chmury, można było dopiero ocenić jej prędkość. Pędziła, wirując jak ogromny czarny dysk, rzucony w naszym kierunku. Oderwałem ud niej wzrok. W dolinie między skałami dostrzegłem niewielką platformkę, ku której spadła rakieta. Za mała. Nie zmieści się. Dor pomyślał widocznie to samo. Zawahał się.

— Na co czekasz, Dor? Ląduj natychmiast! — Gay powiedziała to tonem wykluczającym sprzeciw.

— Trzymajcie się — Dor z determinacją pchnął stery. Silnik ryknął pełną mocą wyrzucając ku skałom ogień z dysz. Pierwsze uderzenie rzuciło mnie na podłogę. Metalowa poręcz fotela wysunęła mi się z ręki i potoczyłem się pod ścianę. Padając słyszałem trzask pękających dysz i łomot łamanych amortyzatorów. Nad wszystkim górował jednak zgrzyt pancerza obsuwającego się po skałach. Jeszcze dwa drobne wstrząsy i rakieta znieruchomiła. W uszach przyzwyczajonych do wycia silnika dzwoniło. Dor wstał zza sterów. Spod ściany podniosła się Wera. W przygasającym świetle widziałem krew kapiącą z jej rozbitego nosa. Jeden po drugim gasły ekrany i żarówki kontrolne, nie zasilane z rozbitych akumulatorów.

— Jednak żyjemy — Dor uśmiechnął się szeroko.

W słabym, wpadającym z zewnątrz świetle dalekiego Słońca twarz jego wyglądała jak ruchoma maska. Wera zaśmiała się głośno i nagle urwała. Słońce oświetlające wierzchołki skał zgasło. Ponad nami wisiała chmura. Poruszała się teraz wolno i nagle zaczęła się zniżać. Rosła, pęczniała, aż pokryła całe niebo ponad nami, zakrywając gwiazdy i tarczę Jowisza. Narastał mrok, w którym zaledwie rozróżniałem zarys skał. Stałem pod ścianą i czekałem... — a więc to koniec. Zauważyli nas jednak. Żadnych możliwości ratunku — myśli jedna po drugiej przebiegały mi przez głowę. Umrę tak jak Anodo, przypadkiem. Powiedziałem:

— On przy torusie... a my w chmurze. To niewielka różnica, Gay...

— Jeszcze żyjesz... — nie widziałem jej. Słyszałem tylko jej głos.

Poszedłem za nim. Siedziała przy ekranach z głową opartą na rękach. Nad jej włosami fosforyzowało oko altimetru raz po raz odbierającego sygnał, ciągle zerowy, ten sam, bez sensu. Objąłem ją ramieniem. Opuściła głowę jeszcze niżej. Zrozumiałem, że lata spędzone przez nas na różnych planetach się nie liczą. Chciałem jej to powiedzieć:

— Gay... — urwałem. W ekranie, obok jej głowy, ujrzałem mały, szybko powiększający się skrawek gwiazdzistego nieba. Chmura odpłynęła...

Przecisnąłem się z trudem na zewnątrz i pomogłem wyjść Dorowi. On jako ostatni zatrzasnął właz rakiety. Pojazd stał przekrzywiony, jednym bokiem oparty na skale. Zaraz przy wejściu leżało skrzydło sterowe wyłamane z dysz, a dalej pogięte amortyzatory. Przy nich stały Gay i Wers podobne do siebie w szarych skafandrach i okrągłych hełmach jak dwie lalki seryjnej produkcji. Wokół wznosiły się brunatne, chaotycznie porozrzucane głązy, spoza których w dali wyzierał szczyt Tukopatata. Właśnie w tej stronie powinny być leżeć szczątki rozbitych rakietek. Wyruszyliśmy w tym samym kierunku, w którym poprzednio lecieliśmy — wprost na Tukopatatan.

— Gdybym mógł dostać próbkę zawartości tej chmury, sprawa byłaby o wiele prostsza. Wydaje

mi się, że cała chmura to jakieś pole siłowe, zdalnie kierowany obłok, kierowany stamtąd, z Tukopatatana. — Dor zamilkł na chwilę, a potem dodał innym już tonem. — Ta chmura zjawia się nieomylnie tam, gdzie tylko jesteśmy... Może oni nas obserwują... może patrzą właśnie na nas...

— Bzdury. Jak mogą nas obserwować? Czym? A może są wszechwiedzący... — nie czułem wcale tej pewności, z jaką mówiłem, ale nastrój i tak nie był najlepszy, a przypuszczenia Dora na pewno go nie poprawiły.

— Zresztą zawsze możemy wrócić do rakiety, a wtedy wyprawa ratunkowa znajdzie nas bez trudu — beztrudnie dorzuciła Wera.

— ...bez trudu... — powtórzył za nią Dor, wzruszył ramionami i wszedł pierwszy w wąskie gardło między dwoma blokami skalnymi. Głazy rozrzucone były w promieniu wielu kilometrów, ale zniknęły prawie, gdy weszliśmy na rozległą równinę opadającą tarasami ku masywowi. Widoczność była dobra, bo Słońce i Jowisz świeciły jednocześnie, tak że dostrzegałem najmniejsze nawet nierówności terenu w promieniu wielu kilometrów. A jednak krajobraz wydawał się nierealny. Trzeba długich lat spędzonych na księżycach Jowisza, żeby się do niego przyzwyczaić. Mnie w każdym razie przypominał scenerię ponurego opowiadania wideotronicznego, w którym bohaterowie giną i kamera nie mając się na czym zatrzymać utrwała skały i gwiazdziste nie kończące się płaszczyzny kosmicznego tła. Pozostałem trochę w tyle i przyspieszyłem kroku, aby ich dogonić. Dochodziliśmy do następnego tarasu. Zanim jednak zeszliśmy w dół, usłyszałem krzyk, który niemal natychmiast przeszedł w zduszony charkot. Spojrzałem. Dor osunął się na kolana i podparł rękoma. Chwilę znieruchomiał w tej pozycji, a potem przewrócił się na bok. Skoczyłem ku niemu. W biegu zderzyłem się z Gay. Schwyciła mnie za ramiona i zatrzymała.

— Dokąd? Przecież to torus. — Zrozumiałem. Osłonięty przed działaniem torusa przez głaz, patrzyłem na siwe, krótko przystrzyżone włosy Dora, bielejące wewnątrz przezroczystego hełmu. Gay przywarła skafandrem do nierównej, brązowej powierzchni głazu i ostrożnie wysunęła głowę, tak by widzieć torus. Potem zdjęła z pleców dezintegrator i przyłożyła go do ramienia. Dwa błękitne wyładowania oślepiły mnie na moment. Buchnęło gorąco. Gay wyszła zza głazu i patrzyła na to, co zostało z torusa. — ...a gdyby on cię uprzedził... — wskazałem głową szczątki.

— ...wtedy ja bym wyglądała tak jak on albo raczej tak jak Dor... — wzruszyła ramionami. Spojrzałem na Dora. Klęczała przy nim Wera. Potem wstała i razem przenieśliśmy jego ciało tuż pod głaz i ułożyli w niewielkim zagłębieniu.

— ...wracamy? — Wera powiedziała to niewyraźnie, a może jej nadajnik źle pracował.

— Nie, pójdziemy dalej.

— Zginiemy tak jak on. Zobaczysz.

— Jego śmierć to w końcu przypadek.

Spuściła głowę i nie odpowiedziała. Gay przyglądała się nam z boku.

— Chodźmy więc. Na co czekamy? — powiedziała. Uszliśmy nie więcej niż kilkadziesiąt kroków, gdy ściemniło się nagle. Oboje z Gay pomyśleliśmy to samo. Kilka szybkich skoków i przywarliśmy do skał. Chmura opadała na nas jak ogromny czarny liść, zbyt ciężki, by wirować z wiatrem. Potem zrobiło się zupełnie ciemno. Wera straciła nas widocznie z oczu, bo chwilę stała niezdecydowana, a potem zaczęła biec.

— Serg... Serg... — słyszałem jej wołanie.

— Padnij na skały. Natychmiast padnij na skały. — Starłem się mówić spokojnie, nie krzycząc.

— Serg, gdzie jesteś?

Widziałem zarys jej sylwetki; potknęła się, z trudem złapała równowagę i biegła dalej. Wtedy na tle nieba i skał łączących się linią horyzontu zobaczyłem ramię, ogromne, czarne ramię chmury

przypominające trąbę, a może raczej wirującą wieżę. Wyciągało się wolno w kierunku Wery! — Uciekaj! Uciekaj! — krzyknąłem.

Nie zdażyłem. Zniknęła na moment w czarnym słupie, podniósł się on prawie natychmiast w górę. Lecz tam, gdzie przed chwilą jeszcze znajdowała się Wera, nie było nikogo. Chmura odpływała. W ustępującym stopniowo mroku dojrzałem jej dezintegrator porzucony na skale. Chciała się bronić, chciała strzelać do czegoś...

— Wracamy — powiedziałem.

— Nie.

— Dlaczego? — spojrzałem na Gay.

— Ona... ona też chciała wracać. Zmusiłeś ją, żeby szła dalej. A zresztą nie jesteśmy na majówce, żeby wracać, jak tylko nam się znudziła zabawa. Z takiej wyprawy wraca się z czymś konkretnym... z czymś więcej poza krótką informacją o śmierci innych...

— Tak, ale teraz wiemy, że ich śmierć to nie przypadek. Chmura... chmura nadchodzi wtedy, gdy natkniemy się na torus...

— To chciałeś sprawdzić i teraz już wiesz... — Ale ja jeszcze nie jestem tego pewna. Chodźmy dalej, to się... upewnimy — wyraźna kpina brzmiała teraz w jej głosie.

— Zginiemy — powiedziałem to spokojnie, zupełnie spokojnie.

— ...ale prawdopodobnie pojedynczo. Jeśli ja zginę... ty wrócisz. Jeśli ty... to ja może się przekonam.

— Gay... — urwałem. A jeśli ona nie chce wracać do bazy, nie chce wracać nigdzie. Absurd. Była zawsze stuprocentowo normalną dziewczyną. Lubiła tańczyć, jeździć łódką po jeziorze... całować... Ale tak było dawniej. Potem lata na Ganimedzie z Anodo, dla którego śmiech był zawsze podejrzaną mistyfikacją. Czy po tym można jeszcze pływać na wyścigi do boi i śmiać się tak głośno, aż zielone brzegi odpowiadają echem? Nie wiem...

— Nie wiem... — powiedziałem głośno. Spojrzała pytająco, ale nic nie powiedziała i poszliśmy w dół ku masywowi Tukopatatana. Przejście na niższe tarasy nie było specjalnie trudne. Leżało tam wiele głazów. Gay wyprzedziła mnie i szła pierwsza. Po chwili zrozumiałem. Podejrzewała obecność torusów. Ale torusów nie było.

Niższy taras ciągnął się jednostajną równiną za horyzont. Równina była tak monotonna, że nie mogłem znaleźć punktu oparcia dla wzroku. Szliśmy i tylko Jowisz w miarę upływu czasu przesuwiał się ku Słońcu. Po kilku godzinach poczułem zmęczenie. Gay dotrzymywała mi kroku tak jak dawniej podczas najcięższych wspinaczek w Andach, gdzie kiedyś chodziliśmy razem. Masyw Tukopatatana z bliska wydawał się jeszcze wyższy, sięgnął niemal tarczy Jowisza. Patrzyłem właśnie w tę stronę, gdy u podnóża raz po raz trzykrotnie błysnęło. Był to niebieski błysk, którego źródło leżało poniżej krawędzi tarasu, gdzieś u stóp masywu...

Do krawędzi doszliśmy po godzinie marszu. Tam znowu leżały kamienie, dużo kamieni. Nagle kamienie się skończyły i Gay złapała mnie za rękę. Przywarliśmy do skał. Przed nami była kotlina, zwykła kilkumetrowej średnicy kotlina. Pośrodku niej stał stożek. Wysoki, idealnie polerowany stożek. W jego powierzchni odbijały się gwiazdy, Jowisz i skalne ściany. To był ich statek, ich baza, ośrodek inwazji... W kotlinie panował ruch. Ze wszystkich stron zdążały do stożka pojazdy niknące w białej mgłę u jego podstawy. Większość z tych pojazdów miała kształt lejka zakończonego kulistym zbiornikiem. Unosiły się tuż nad powierzchnią, przelatując od skały do skały jak motyle wśród kwiatów na łące. Dwa z nich rozbiły błękitnym oślepiającym płomieniem ogromny głaz i błyski ich palników widzieliśmy dochodząc do kotliny.

— Co oni robią? — zapytała Gay.

— Oni? To są automaty. One zbierają głązy. Spójrz, jak ten jest blisko.

Rzeczywiście, w odległości najwyżej dwustu metrów przelatywał jeden z automatów. Z lejka szerokim snopem, jak światło reflektora, emitowało jakieś pole siłowe. Głązy wpadające w ten niewidoczny snop podrywały się z podłoża i znikwały w gardle lejka. Nagle pojazd zmienił kierunek i zaczął wznosić się ku nam, bez trudu pokonując spadziste zbocze. Poderwałem się do ucieczki.

— Stój! Nie zdążysz... — Gay zsunęła z ramienia dezintegrator. Mierzyła starannie, lekko przekrzywiwszy głowę.

— W podstawę. Tam muszą być zespoły napędowe — mówiła to z taką pewnością, jakby sama konstruowała ten dziwny pojazd. Strzeliła. Ściągnąłem z ramienia swój dezintegrator, lecz nie zdążyłem go jeszcze odbezpieczyć, gdy pojazd niespodziewanie uniósł się kilkanaście metrów nad skały i skierował wprost na nas swój dziwaczny lejek. Gay krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem. Stała nieruchomo z wzniesionym dezintegratorem. Nagle wszystko stało się czerwone, jakbym włożył czerwone okulary.

— Uciekaj, uciekaj, Gay — krzyczałem, lecz w słuchawkach słyszałem tylko urywane trzaski, pomimo że stała kilkanaście kroków ode mnie. To wszystko trwało, oczywiście, kilka sekund. Chciałem podbiec do Gay i wyciągnąć ją z zasięgu tego automatu, ale wtedy właśnie zobaczyłem, jak najpierw dezintegrator, a za nim Gay unoszą się nad skały i mkną ku wejściu leja. Nie zdążyłem się nawet zdziwić, gdy sam doznałem uczucia zmiany przyspieszenia, tak jak w ruszającej w dół windzie, i nim się zorientowałem, leciałem już ku lejowi. — Kierunkowe pole grawitacyjne — pomyślałem i byłem w środku. Lej kończył się ogromnym zbiornikiem i poczułem, że osuwam się gdzieś w głąb. Było tam zupełnie ciemno. Odruchowo, nie zastanawiając się nad tym, zapaliłem lampę w głowicy hełmu. Zobaczyłem Gay. Leżała kilka metrów ode mnie... Równocześnie zobaczyłem kamienie, poukładane równo, tak by zajmowały minimum miejsca. Zrzucano nas na nie. Zerwałem się natychmiast w obawie, że za chwilę posypią się na nas skały wrzucane z leja. Skał jednak nie było.

— Przerwał pracę... — Gay nasłuchiwała rumoru kamieni, ale panowała cisza.

Skinąłem głową.

— ...i co gorsza, z naszego powodu...

— Sądzisz? Jeśli tak, to chyba teraz ten automat melduje im o tym, co się stało.

— Tak by zrobił ziemski automat. U nich może być zupełnie inaczej.

— Jak inaczej?

— No, jakieś samodecydujące automaty.

— Niemożliwe.

— A to pole...?

— Pole to co innego. On w ten sposób pracuje. Ale nikt nie wyposaży automatu do zbierania kamieni w sprzężenia samodecydujące...

— Mówisz co najmniej tak, jakbyś uczestniczyła w konstruowaniu tego automatu...

W tej chwili poczuliśmy wstrząs, ledwo wyczuwalny, delikatny wstrząs.

— Wylądował — powiedziała Gay.

— Chyba tak — skinąłem głową.

— Teraz nas urzędzą...

— Mamy dezintegratory.

— Nie sądzę, żeby nam to cokolwiek pomogło — powiedziała to raczej do siebie niż do mnie.

— Spróbujemy się stąd wydostać? — zapytałem.

— Próbować możemy... ale to się nam nie uda.

— Od kiedy zostałaś pesymistką? — próbowałem jakoś rozproszyć ten przygnębiający nastrój „piwnicy” z kamieniami, jak w myśli określiłem pojazd. — Dawniej widziałaś zawsze wszystko w różowych kolorach...

— Dawniej byłem młodsza... i to było na Ziemi. Chodź chwyciła mnie za rękę — obejdziemy to rumowisko!

Ale kamienie były wszędzie. Wylaniały się z mroku, gdziekolwiek skierowałem promień latarki.

— Zupełnie jak wtedy na usypisku w Andach. Także wszędzie były kamienie.

— Ale w górze było niebo. A poza tym pospiesz się. Musimy obejść „brzuch” tego automatu.

Dalej szliśmy w milczeniu. Brnąc przez kamienie, zataczaliśmy koło, ale nie bardzo mogłem się zorientować, jaką część obwodu mamy już za sobą.

Nagle stało się zupełnie jasno. Byliśmy w wielkiej hali. Ściany automatu, w którym znajdowaliśmy się dotąd, gdzieś zniknęły. — Widocznie zbiornik automatu jest rozkładany pomyślałem. Spojrzałem w górę. Ta hala w ogóle nie miała sklepienia. To, co było w górze, wyglądało jak mgła, różowa mgła.

— To... to jest wewnątrz stożka... — powiedziała Gay.

I wtedy stało się coś najzupełniej nieoczekiwanego. Kamienie, wszystkie kamienie uniosły się w górę. Oddalały się ku sklepieniu i nagle momentalnie zniknęły. Ale najdziwniejsze było to, że myśmy zostali. Staliśmy zanurzeni po pas w różowawej, opalizującej mgle. Nie widzieliśmy własnych stóp.

— ...sposzregli nas.

— Może automat segregujący odróżnił nas od kamieni...

— Bzdury. To oni... Serg... uciekajmy, Serg. — Gay straciła swój dotychczasowy spokój. — ... uciekajmy... uciekajmy stąd... — powtarzała w kółko.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno — zaczęła oddalać się, brodząc wśród mgły.

— Stój, po co tam idziesz?! — krzyknąłem.

Nie zatrzymała się. Teraz biegła już prawie. Nagle mgła zafalowała. Nie czułem wiatru, ale mgła zafalowała tak, jakby dołem powiał wiatr...

— Gay... Gay! — wołałem.

Mgła zaczęła się podnosić i jej strzępy sięgały mi do piersi. Po chwili widziałem już tylko hełm Gay. Może coś mówiła nawet, ale fale radiowe jej nadajnika nie dochodziły do mnie.

Potem mgła znienacka strzeliła do góry i otoczyła mnie bezpostaciowym różowym oparem. W pewnej chwili zorientowałem się, że na niczym nie stoję. Wiszę w bezgrawitacyjnej przestrzeni, w której kierunek, góra czy dół nie ma w ogóle fizycznego sensu.

Nie wiem, jak długo to trwało. Straciłem rachubę czasu. Podświadomie wykonywałem rękoma i nogami krótkie ruchy, starając się znaleźć jakiś punkt oparcia. Wydawało mi się, że przez izolację hełmu, przez materiał skafandra słyszę wysoki, zajękliwy dźwięk. Potem dźwięk obniżył się, przeszedł w buczenie. Zamilkł w końcu i równocześnie poczułem pod stopami oparcie... Mgła zaczęła z wolna opadać... Wynurzyły się z niej ogromne kilkumetrowej średnicy kule i wyższe od nich, smuklejsze paraboloidy obrotowe, podobne do ogromnych kielichów. Wydawały się przezroczyste, lecz gdy patrzyłem na którąkolwiek wprost, jakby matowiała... Zdawały się poruszać, falować i dopiero po chwili zrozumiałem, że to przezroczysta substancja gazowa, która została po opadnięciu mgły, łamie światło podobnie jak latem rozgrzane powietrze nad głazami. To, na czym stałem, było elastyczne, lecz gdy spojrzałem w dół, nie dostrzegłem własnych stóp. Moje nogi „rozmywały się” w okolicy kostek w tym, na czym stałem.

— Chyba znowu jakieś pole siłowe — pomyślałem. Chodzić jednak po tym można zupełnie

dobrze. Zrobiłem kilka kroków, potem chciałem podejść do jednej z kul... i nie mogłem. Na pół metra przed kulą zaczynało się pole siłowe, od którego się odbijałem.

Chciałem obejść kulę, gdy nagle spostrzegłem, że kilkanaście metrów ode mnie ktoś stoi. Gay!

Pobiegłem ku niej, ale ona mimo że się nie poruszała, zaczęła odpływać tak, że dystans między nami pozostawał bez zmian. Nagle zatrzymałem się. Ależ tak, to nie była Gay... to była Wera! Zatrzymała się także... Wtedy spostrzegłem, że jest przezroczysta i poprzez nią widać zarysy stojących w głębi kul i paraboloid... Stałem tak może pół minuty. Ona także się nie ruszała, czekając jakby na mnie. A więc oni chcą mnie w ten sposób dokądś zaprowadzić... A może to pułapka? Nie, gdyby rzeczywiście chcieli, mogliby mnie przecież bez trudu przenieść jakimś polem siłowym... Zdecydowałem się. Poszedłem za Werą. Jej obraz uciekał ode mnie tak długo, aż nagle pomiędzy jedną a drugą kulą zobaczyłem raketkę, prawdziwą ziemską raketkę z otwartym włazem, w którym zniknęła Wera. Wszedłem za nią i... zobaczyłem Gay.

— Czy ty jesteś Serg? Jak tu wszedłeś? — zapytała. Potem zobaczyłem w jej oczach strach i odsunęła się ode mnie pod ścianę..

— Tak. To ja, Serg. Wszedłem zwyczajnie...

— Odwróciłem się, by pokazać jej właz, ale za mną była tylko ściana.

— A może ty już umarłeś jak Wera i jesteś tylko obrazem Serga...

— Ależ, Gay, ja żyję... naprawdę żyję... — schwyciłem ją za rękę. — Widzisz przecież, że żyję...

— Żyjesz... A widziałeś Werę? — zapytała nagle.

— Widziałem. Tak, to był jej obraz.

— I prowadziła ciebie wśród kul...

— Prowadziła...

— Ale po co, Serg?... Po co?...

— Nie rozumiem...

— Po co nas tu zamknęli... — skuliła się w kącie kabiny i zacisnęła powieki...

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Rozejrzałem się po kabynie i spostrzegłem... ekran... Nie był podobny do ziemskich ekranów, ale to musiał być właśnie ekran, bo świeciły w nim gwiazdy.

— Gay! Gay! — szarpnąłem ją za rękaw skafandra. Przez szybę hełmu widziałem, jak wolno uniosła powieki.

— Co się stało? — zapytała po chwili.

— Nie wiem. Jakieś gwiazdy...

— Gwiazdy?

— Tak, w ekranie, spójrz sama, przecież to gwiazdy. — Chwilę patrzyliśmy w ekran. Nagle Gay poderwała się i spostrzegłem jej źrenice rozszerzone przerażeniem. — Serg, a jeśli oni nas wystrzelili...

— Nie rozumiem.

— No, wystrzelili nas w Kosmos.

— Po co? Po co mieliby to zrobić, wytłumacz mi — starałem się mówić spokojnie, ale już także się bałem.

— Skądże mam wiedzieć... a te kamienie... po co zbierali kamienie i przynosili je w różowej mgle...

— Ale nas przecież zostawili...

— Może właśnie po to, by nas wyrzucić w próżnię. Może oni wszystkich ludzi albo zabijają, albo wyrzucają w próżnię.

— ...  
— Wystrzelili nas z Ganimeda jak pocisk, bez możliwości kierowania tym pojazdem.

— Uważasz, że eksperymentują na nas...

— Nie. Oni na pewno w ten właśnie sposób pozbawiają życia istoty swego gatunku. Może ich nie można inaczej zabić...

Nie odpowiedziałem. Jeżeli Gay ma rację... to naprawdę nosimy umrzeć. Żadne obserwatorium nas nie dostrzeże... co najwyżej radar jakiejś przelatującej rakiety. Ale my nie udajemy sygnałów rozpoznawczych, więc potraktuje nas jak meteor. Wyemituje w nas pełny ładunek ze swego anihilatora i wyparujemy...

— Wyparujemy, jeżeli...

— Nie — Gay przerwała mi — umrzemy tutaj. Tutaj, w tej kabinie. Słyszysz?

— Spokojnie, Gay, spokojnie...

— Popatrz — Gay wskazywała na ekran. — Oni go skonstruowali specjalnie, żebyśmy musieli o tym myśleć...

— O czym?

— Że umrzemy.

— Gay!

Zaśmiała się tylko.

— Będziemy umierać i patrzeć na gwiazdy...

Wtedy spojrzełem w ekran. Gwiazd w nim nie było, zniknęły z ekranu wyparte potężniejącą z każdą chwilą, dobrze znaną bryłą Ganimeda. Nasz pojazd podchodził do lądowania.

Śledziłem słoneczną plamę przesuającą się wolno po posadzce. Przez otwarte okno słyszałem szum automatu strzygącego trawę w ogrodzie. Na błękitnym prostokącie nieba przesuwały się obłoki gnane zimnym wiatrem od gór. Przy oknie stała Gay... Gay bez skafandra... To była Ziemia, naprawdę Ziemia!

Skończyliśmy właśnie opowiadać i Toren w zamyśleniu pocierał dłonią swe wysokie, łysawe czoło.

— ...i mówicie, że tam była mgła, różowa mgła... a potem kule... — powtarzał.

— A inwazja zlikwidowana? — zdecydowałem się w końcu go zapytać.

— Inwazja? — z roztargnieniem spojrzeł na mnie. — Inwazji w ogóle nie było.

— Nie było?

— Oczywiście, to nasz wymysł, następstwo megalomanii naszego gatunku. — Teraz patrzył na Gay. Spozstrzegł widocznie, że nic nie rozumie. — Widzicie, to tak, jakby ktoś chciał ogrodzić swoje pole przed szkodnikami. Można po prostu wznieść płot. Ale jeśli ktoś dysponuje odpowiednią techniką i nie chce zabijać, to... po prostu zakłada siatkę sygnalizacyjną z torusów, wzywającą obłok sterowany. Obłok wynosi to wszystko, co się tylko porusza, poza poletko, poza strefę, która jest strzeżona... To, że torus zabijał... widocznie nie wiedzieli, iż taki właśnie impuls jest dla nas śmiertelny. Pewnie nie przeszło im to nawet przez myśl.

— Więc Warden, Woley, Wera... wszyscy oni żyją?

— Oczywiście, chmura wyrzuciła ich na skały poza pierścieniem torusów.

— A my... co oni z nami zrobili...?

— To możemy tylko przypuszczać. Ich pojazd wystartował. Wystartował prawdopodobnie natychmiast po waszym tam przybyciu...

— Ależ myśmy nic nie czuli. Żadnych przeciążeń, żadnych wstrząsów.



Toren uśmiechnął się.

— Oni napędzają swój pojazd polem grawitacyjnym. Wytwarzają to pole przed pojazdem. Wyście razem z całym kosmolotem spadali w tym polu... A ktoś, kto spada, nic nie waży. Problem człowieka w spadającej windzie — uśmiechnął się. — Tak więc nie mogło być mowy o przeciążeniach. Najwyżej mogłeś odczuwać...

— Rzeczywiście odczuwałem nieważkość...

— Widzisz, że mamy rację — ucieszył się Toren. Dostaliście się więc — ciągnął dalej — do automatycznego pojazdu zbierającego paliwo dla ich agregatów napędowych. Mieliście szczęście. Może oni są jakoś podobni do nas, a może was zauważyli, w każdym razie nie podzieliliście losu kamieni zamienianych w silnikach na energię. Odsegregowali was od kamieni... ale potem mieli trudności z odesłaniem was na księżyc, bo już wystartowali. Zbudowali więc specjalny statek. Zbudowali — sędzę — w ciągu niecałej godziny, przystosowali go do waszych potrzeb, zwabili was do środka obrazem Wery i wystrzelili z powrotem na Ganimeda... Tak, nie chcieli was zniszczyć. Odesłali was, mimo że sami w tym czasie przemierzali już miliony kilometrów.

— A teraz, gdzie oni są teraz?...

— Gdzieś w próżni międzygwiazdnej... znikli z ekranów najczulszych radarów...

— I nic nam nie zostawili, nic nie przekazali?

— Tylko was. Nic poza tym. Was nie chcieli zabierać. Dostaliście się do ich statku przypadkiem... a oni najpierw nie zauważyli... a potem wysłali was na Ganimeda.

— Jak to, a te mgły... to unoszenie kamieni... obraz Wery...

— To działały ich automaty. Ich technika wyprzedza naszą o setki, może tysiące lat... nikt nie chciał się z wami porozumieć... Rozetniecie, co to znaczy...?

— Nam się zdawało, że oni niczym innym prócz nas się nie interesują...

— Nie tylko wam — Toren mówił cicho, jakby do siebie. — Myśmy wszyscy tak sądzili. Wymyśliliśmy nawet inwazję i uwierzyli w nią bez zastrzeżeń. Wymyśliliśmy inwazję, bo przez myśl nam nie przeszło, że oni przylecieli do nas tylko po zapas paliwa. Że potraktowali nas jak wróble...

— Nie rozumiem. Dlaczego jak wróble...?

— Czy zatrzymałeś się kiedykolwiek, żeby popatrzeć na wróble? Na pewno nie. Jeśli je nawet czasem spostrzegłeś, to przypadkiem. Są zbyt pospolite, by zwrócić naszą uwagę... i może my właśnie jesteśmy takimi wróblami w naszej galaktyce...

# KOSMODROM

Budowali dwa pasy betonu, dwa pasy, które miały się zbiec tam, gdzie w przyszłości bieleć będą kopuły portu kosmicznego. Na razie jednak był tam tylko piarg i lej wyryty przed wiekami przez jakiś meteor.

Budowali te pasy i klęli marsjański pustynię, autobuldożery wrywające skały, czerwony piach i liczyli dni do końca.

— Wiesz, Jess, jak wrócę na Ziemię, to wsadzę kombinezon w najciemniejszy kąt strychu, a hełm zatknę na patyku w ogrodzie, żeby straszyl ptaki przylatujące na grządki mojej matki. Potem wsiądziemy z May w helikopter i polecimy do dużego prawdziwego lasu, takiego z grzybami i poziomkami. I musi tafla być rzeka... albo lepiej jezioro, tak, jezioro, z gorącymi od Słońca głazami piaskowca nad brzegiem, na których nie można ustać, tak są gorące...

— I tak się spieczecie na Słońcu oboje, że siódma skóra z was zejdzie... — Jess uśmiechnął się całą twarzą, a wokół jego oczu ułożyły się drobne zmarszczki śmiechu, widoczne nawet teraz w ekranie.

— No, najwyżej ze mnie. May o tej porze roku jest już czarna jak Murzyniątko z buszu. Wiesz, to te żagle. May zawsze mówi, że człowiek nigdzie się tak nie opala jak na żaglówce.

— I pod emiterem ultrafioletowym...

— Jak to emiterem? — Don nie zrozumiał i patrzył teraz na Jessa swymi wielkimi, brązowymi, dziecinnymi oczyma.

— No, emiter ultrafioletowy opala równie dobrze...

— Ale ja mówię o prawdziwym opalaniu... wiesz, takim na Słońcu.

— Z tym musisz jeszcze trochę poczekać.

— Tylko cztery dni. Widzę już tę wydmę, do której dociągnę mój pas, to będzie w sobotę. Potem wyciągnę się w hamaku przy wideotronie i będę patrzył na mecz Australii z Madagaskarem transmitowany z Ziemi. Mecz skończy się przed naszym świtem, a gdy wzejdzie Słońce, przylecą po nas.

— Żeby się tylko nie spóźnili. Ci z bazy centralnej stale się spóźniają...

— Chyba nie zrobią nam tego. Wiedzą przecież, co znaczy wreszcie stąd odlecieć.

— Tak, chyba nie zrobią... — powtórzył Jess, ale sam nie był wcale tego taki pewny. Bo przecież Ar. Ar nie odleciał z Marsa wtedy, kiedy się spodziewał. Chciał zapytać Dona, czy znał Ara, ale właśnie wtedy automat zasygnalizował jakieś swoje kłopoty w kopaniu podłoża i Jess wysiadł z kabiny, żeby zobaczyć, co się stało. Zszedł drabinką obok potężnej gaśienicy, nad którą wisiała kabina, i zaraz zapadł się po kolana w piasek. Ten piasek był czerwony jak wszystko na Marsie i tylko gdzieniegdzie błyszcząły drobnutkie kryształki kwarcu. — Jak w zwykłym piasku — pomyślał Jess. Potem zaczął brnąć ku przodowi maszyny, wzdłuż gaśienicy, a gdy ją minął, poczuł uderzenie wiatru w pierś i hełm i zobaczył, jak tuż nad piaskiem kręcą się małe szybkie wiry. Zapewne nadchodzi burza. — To tak zawsze z początku wygląda — pomyślał i spojrział w niebo. Ale ono było czarne i gwiazdy ze Słońcem świeciły na nim jak zwykle.

W dole, przed buldożerem, leżał głaz zbyt potężny, by wielka metalowa łapa mogła go poruszyć. Jess wezwał automat, a gdy ten borował dziury pod dynamit, spojrział daleko w pustynię, gdzie tuż przy horyzoncie pracował autobuldożer Dona. Te dwa pasy zejda się ze sobą w ogromną literę „V”, znak zwycięstwa i panowania człowieka w tym zapadłym kącie. Jeszcze cztery dni. Odwrócił się, zaklął pod nosem i zaczął się wdrapywać do kabiny, by cofnąć maszynę na czas wybuchu.

Spotkali się wieczorem w bazie. Baza była prowizoryczna i nie miała klimatyzacji. Nocą, gdy temperatura na zewnątrz spadała do minus sześćdziesięciu stopni, mimo centralnego grzania kopuły stawało się zimno i oddech zamieniał się w szron. Leżeli wtedy w wielkich śpiworach grzanych elektrycznie. Jednak z samego wieczora było cieplej i chodzili po bazie w skafandrach.

— Odwaliłem dzisiaj kawał roboty — powiedział Don, gdy tylko wyszedł ze śluzy. — Moja wydma jest coraz bliżej.

— Ja miałem jakąś cholerną skałę, którą dwa razy wysadzałem — Jess mówił bez złości, obojętnie.

— Jutro chyba niewiele zrobimy, bo będzie burza piaskowa.

— Tak, widziałem dzisiaj wiry na pustyni...

— Chciałbym jednak dociągnąć robotę do tej wydmy.

— Dociągniesz, jak ta przeklęta pustynia nie pokaże pazurów i nie będzie pluć piaskiem przez te wszystkie dni.

Jess skończył przygotowywać kolację i rozparł się w krzesło wyciągając swoje długie chude nogi na środek kabiny.

— Tak czy inaczej, za trzy dni wracamy.

— Wracamy — powtórzył Jess i przypatrywał się Donowi, jak dużymi kawałami wybierał z puszek świńskie mięso. — To chyba jedyna forma astronautyki dla świń — pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Po kolacji Don włączył wideotron i oglądali jakiś chiński teatr ze smokami i parasolami. Kolory były trochę zniekształcone i Jess zastanawiał się, co by było, gdyby ludzie rzeczywiście mieli takie jasnozielone twarze jak na ekranie. Powiedział to Donowi.

— Nic by nie było, bo ludzie by się przyzwyczaili — odpowiedział Don i dalej patrzył w ekran.

— Myślisz, że można by się było przyzwyczaić do zielonych twarzy i mówić: „Och, jak pięknie się zazieleniłaś” albo: „tak się niewinnie zielenisz”.

— Na pewno.

— Hm... ja bym się chyba nie przyzwyczyił...

— A do pustyni się przyzwyczyłaś? Jess spojrzał na Dona. Był zły na niego, że to powiedział, bo o pustyni nie mówili nigdy. Ona była i tak wokół nich zawsze. Czasem nawet myślał, że nie zostawia ich samych tu, w bazie, lecz przechodzi przez śluzy wejściowe, by towarzyszyć im w nocy. Nie lubił pustyni i Don o tym wiedział.

— Może byś tak zamknął wideotron i przeszedł na nasłuch centrali — powiedział do Dona i nie patrzył więcej w ekran.

— Zamknę, ale najpierw chcę usłyszeć prognozę pogody dla Europy. Nie chciałbym, żeby padał deszcz, jak wysiadę z rakiety...

— Matka przyniesie ci wtedy pelerynę na Kosmodrom.

— Przyjdą z May i przyniosą pelerynę — zgodził się Don.

— A ja przemoknę... — mruknął Jess.

— Nie lubisz deszczu?

— Lubię, ale jak jestem w domu i patrzę przez okno.

— Powinieneś zostać na Marsie. Tu nigdy nie ma deszczu.

Czego on się, cholera, dzisiaj mnie czepia — pomyślał Jess. — Przecież to ja miałem tę skałę, nie on, i w ogóle jest dalej w robocie. — Tak, ale tu jest piasek, czerwony piasek, i to jest jeszcze gorsze — powiedział i wierzył w to. — Widzisz, piasek włazi wszędzie, za kołnierz i w nogawki skafandra. Poza tym zgrzyta pod zębami i to jest najgorsze. Deszcz zawsze w końcu wysycha.

— Ale w Europie nie będzie w najbliższych dniach deszczu — powiedział Don i zamknął wideotron.

Potem stroili się na centralę. Miała dziwny, urywany sygnał, tak jakby ktoś rzucał kamyki na napiętą powierzchnię bębna. Jej automaty nadawcze były trochę zdezelowane i sygnał błędził po kilku podziałkach skali, co dzień gdzie indziej. Dziś był na samej kresce. Jess powiedział do mikrofonu, że są na odbiorze, i teraz czekali obaj, aż tamci zdecydują się odezwać.

— Co oni właściwie robią w tej bazie? Nigdy nie są gotowi na czas — denerwował się Don.

Jess patrzył na fosforyzujący w ciemności wskaźnik dostrojenia i zastanawiał się, czy ojciec dostał już wiadomość o jego powrocie. W południe woźny puka do jego gabinetu: „Depesza z Marsa, panie profesorze”. Ojciec na pewno siedzi za biurkiem, w swojej szarej, trochę za ciasnej marynarce, masywny, kwadratowy, za wielki na ten gabinet. „Powinieneś być zostać drwalem, nie fizykiem” — śmiała się zawsze matka. Jess próbował sobie przez chwilę wyobrazić ojca jako drwała, ale jakoś mu się to nie udawało. Zresztą jako fizyk ojciec był na dobrym miejscu. Jess też miał zostać fizykiem, ale nie został... szkoda.

— Szkoda, że nie zostałem fizykiem — powiedział Jess.

— Chciałeś?

— Nie ja, ojciec.

— A ty...

— Ja chciałem zostać astronautą.

— Gratuluję — powiedział Don. — Ja chciałem być pilotem. Ale nie udało mi się. Gdy miałem tyle lat, ile potrzeba, samolotami kierowały już tylko automaty, i to lepsze niż te nadawcze z naszej cholernej bazy...

— Nie mają pewnie dobrego konserwatora...

— Nie mają. Ten, co był przedtem, uciekł na Ziemię.

— Puścili go? — zdziwił się Jess.

— Niezupełnie dobrowolnie. Zabrala go rakieta pogotowia z psychiatrą. A teraz jest młody chłopak, tuż po ziemskiej politechnice.

— I nie daje sobie rady — powiedział Jess. — Krzywdzę tego chłopaka — pomyślał równocześnie. — Czy ktokolwiek po ziemskiej politechnice umiałby obsługiwać takie automaty?

— Zaczynają mówić — Don starannie dostrajał odbiornik. — Załóż słuchawki — powiedział do Jessa.

— Nie chce mi się — powiedział Jess i rzeczywiście mu się nie chciało. — Niech tylko Don skończy z bazą wyciągnę się z książką w hamaku — pomyślał.

Spojrzał na Dona i wydało mu się, że Don słucha tego, co mówili, zbyt uważnie jak na komunikat z bazy. — Co mu tam za kazanie prawią? — pomyślał — bo kawałów mu chyba nie opowiadają. Don machnął ręką.

— Wyłącz się — powiedział krótko. To dopiero zaciekało Jessa. Założył słuchawki i przez serie trzasków z atmosfery usłyszał tamtego z bazy.

— Nie, nic z tego nie będzie. Nie próbuj mi nawet tłumaczyć. Mówię ci, że nikogo innego na to miejsce nie ma. Jest tylko Rot, a i on niewiele w porównaniu do was umie. Tego Rota wam przyślę za trzy dni. Ale jeden z was i tak musi zostać...

Cholerny świat — pomyślał Jess — znowu jakaś cholerna świnka tam, w bazie, wszystko zaważyła — i czuł się tak, jak kiedyś, gdy jako mały chłopiec nie dostał obiecanego roweru.

Don poczerwieniał.

— Róbcie, co chcecie... My się stąd zwijamy za trzy dni. I nic mnie nie obchodzi, że jakiś idiota tam, na górze, nie załatwi na czas zmiany z Ziemi...

Zaraz im powie, co sądzi o takiej organizacji — pomyślał Jess, ale Don nie powiedział.

— To nie nasza wina — tłumaczył tamten z bazy. — Tobie się wydaje, że ochotnicy na tę budowę walą do nas drzwiami i oknami.

— Niech cię głowa nie boli o to, co mi się wydaje. Ale musi ktoś być na zmianę. Przecież budowa nie stanie.

— Właśnie, nie stanie i dlatego jeden musi zostać. Musi, rozumiesz? I pierwsze rakiety wystartują z tego kosmodromu jeszcze przed marsjańską zimą. Zobaczysz.

Ten z bazy jest strasznie pewny swego — pomyślał Jess i poprawił słuchawki na uszach.

— Może i wystartują, jeżeli autobuldożery będą same ryć tę przeklętą pustynię. Ale nas to nie obchodzi, rozumiesz!

— Ale centrala...

— Wiesz, gdzie mam centralę... Jess pokiwał głową.

— Jasne, Don — powiedział i pomyślał, że teraz tamtego bierze cholera, i zrobiło mu się weselej, choć wiedział, że to wszystko nie jest winą tamtego, że tamten to może nawet swój chłop, który ma tylko parszywą robotę.

— Jak chcesz — powiedział tamten. — W każdym razie Rot przyleci jednoosobową raketką, wiesz, taką do której tylko jeden facet wchodzi z trudem. I tu uważamy, że prawo ma wrócić ten, który dalej podciągnął swój pas. Jasne?

— No, ale...

— Nie ma żadnego ale. Podyskutujesz sobie ze swoją ciocią na Ziemi. Teraz uważaj, jak mówię... Powtórz to temu drugiemu albo daj go lepiej do mikrofonu.

O, cholerna świnią — pomyślał Jess. — Ja jestem ten drugi i chcę wam powiedzieć, że jesteście cholerne świnię — powiedział wprost do mikrofonu.

— W porządku — ucieszył się tamten. — No, to na razie. Trzymajcie się, wy... pustynni kosmonauci.

Znowu zabębniło sygnałami bazy i Don zerwał słuchawki.

— Zrobili nas, zrobili nas jak... jak, no, nie wiem jak... ale zrobili. — Don powiedział to zupełnie spokojnie, a Jess pomyślał, że ma rację.

— No i co dalej? — zapytał.

Don wzruszył ramionami.

— W każdym razie nie mogą nas zmusić do rycia tej pustyni.

— Nie mogą — Jess skinął głową — ale mogą nas zmusić, żebyśmy siedzieli w tej bazie tak długo, jak będą chcieli.

— No i co z tego?

— To z tego, że jak będziesz już tu siedział, to będziesz pracował.

— Nie będę.

— Będziesz, bo inaczej zdechniesz z nudów. A zresztą nie jesteś z tych facetów, co siedzą z założonymi rękami, gdy robota nie jest jeszcze gotowa, i oni o tym wiedzą.

— Co, u licha, mówisz ciągle o mnie? A ty?...

— Ja też.

— Co też?

— Ja też będę kończył swoją robotę.

— Skończysz i chcesz stąd wiać. Nie, bracie. Nie tak prędko... mój pas jest dalej podciągnięty od

twego.

— Jesteś cholerny głupiec — powiedział Jess i poszedł do swego hamaka. „Myśli, że chcę mu zabrać miejsce w rakiecie, tak jakby już mu się należało”. — Jeszcze ci się to miejsce nie należy — powiedział głośno. — Za trzy dni można położyć ze dwa kilometry pasa albo i więcej, jak komuś zależy...

— Można i cztery — powiedział Don i wpatrywał się w koniec swego buta, umazanego smarem.

— Zgoda, ale ty nie położysz... — Jess uśmiechnął się. — Musiałby pracować dzień i noc, a i to nie wiem, czy dałby radę — pomyślał. Don wstał i kopnął krzesło, aż się przewróciło.

— Położę — powiedział — ale potem wracam na Ziemię i nic mnie nie obchodzi cała ta... budowa.

Zdjął z haka na ścianie hełm i wsadził go na głowę.

Ciekawe, czy na Ziemi przed tą... May też jest taki twardy — pomyślał Jess. — Uważaj, żebyś całego pasa dzisiaj nie skończył — powiedział. Patrzył, jak Don przypina zapas tlenu i sprawdza działanie zaworów. — Ma ogromne, wspaniałe plecy — pomyślał. — Trzy butle mieszczą się na nich bez trudu. Matka rodziła go na kosmonautę, dając mu takie plecy i krótkie nogi, które nie zawadzają w rakietce. A może został kosmonautą właśnie dlatego, że ma takie plecy i nogi... — Powodzenia, kosmonauto — powiedział, gdy Don wyszedł do śluz. Chciał się obrócić na drugi bok, ale wtedy zawołał go Don.

— Pomóż mi przy śluzach, bo zdaje się trochę je zasypało.

— Co, burza?

— Może i burza... — mruknął Don.

— Włączę oczyszczacz wyjścia — powiedział Jess i włączył automat. Oczyszczacz buczał jak bąk, a gdy wyjście było czyste, zmienił się w komara i grał cienko na wysokich obrotach. Jess włożył hełm i wyszedł przed bazę. Gwiazd nie było, słyszał tylko szum piasku uderzającego z wiatrem o skafander.

— Cholera, ale sypie...

— Zamknij dobrze śluzy — powiedział Don — bo znowu jutro wszędzie będzie piasek. — Zachwiał się pod uderzeniem wiatru.

— Chcesz iść w taką burzę? — zapytał Jess.

— Pójdę. Wyślę sygnał do buldożera, żeby mi przez radio dawał namiary...

— Będziesz miał zakłócenia. To duża burza...

— Dam sobie radę.

Wiatr uderzył go znowu tak, że się zatoczył.

— Może lepiej zostać. To nie jest burza do spacerów.

— Chodziłem w gorsze, w takie, które nawet z Ziemi było widać.

To cholernie uparty facet i chyba pójdzie — pomyślał Jess. — Bohaterów też zasypuje — powiedział.

— Ciebie w bazie nie zasypie — odpowiedział Don. Odszedł parę kroków i nie było go już widać, pomimo że latarka Jessa miała nowe baterie.

— Zamknij dobrze śluzy — powiedział jeszcze Don — bo jutro w zupie będzie piasek.

Jess słyszał go na razie tak, jakby stał krok od niego, ale ostatecznie fale radiowe nie grzęzną w paru metrach takiego piasku, dopiero w kilometrach. Otworzył śluzę i wiatr razem z piaskiem wepchnął go do środka. Otrząpał skafander i odkurzaczem wychwytał wszystkie widoczne ziarnka. Potem podszedł do odbiornika i wybrał fale autobuldożera Dona. Automat nadawał. Nadawał krótkie, urywane sygnały, jakby wołał kogoś i urwał wołanie przy pierwszym dźwięku, bojąc się

wypowiedzieć całego imienia w marsjańską noc, wśród podłej piaskowej wichury.

Ranek był słoneczny i cichy jak na prospektach „Marsturysta”. Jess obszedł bazę dookoła i patrzył, jak pod słabym wstrząsem jego kroków osypuje się piasek z niewidzialnych chropowatości kopuły bazy. Wzgórza na krańcach doliny były za niebieską mgłą. W górze czarną plamką Fobos biegł na spotkanie Słońcu. — Kiedyś wytworzymy tu atmosferę, przywieziemy wodę i rośliny i świt wtedy będzie bardziej ziemski — pomyślał Jess i przez chwilę żałował, że nie jest swoim praprawnukiem.

Potem wdrapał się po metalowych wąskich schodkach na maszt radiostacji i patrzył na biegnące ku bazie dwa białe pasy. Były równie dalekie jak zawsze.

A jednak Dona kończył się bliżej, o te głupie kilkaset metrów — dodał w myśli.

Autobuldożer Dona już nie nadawał. Don był więc na miejscu i wyłączył automat. Nie przekazał do bazy nic, więc Jess nie chciał odzywać się pierwszy. Wykonał nieprawdopodobny, ogromny skok z masztu. — Po tylu miesiącach bawi mnie jeszcze ta marsjańska grawitacja — pomyślał.

A potem rozpoczął marsz, codzienny marsz do autobuldożera. Na początku budowy jeździli łażikiem, ale zepsuł się z tydzień temu i odtąd chodzili piechotą. Budowa nie była daleko, kilka kilometrów w jedną stronę. Chodził tak codziennie przez czerwone morze piachu. Gdzieś pięćset metrów za bazą mijał wielki czerwony kamień. Leżał na linii budowy, ale dotychczas Jess sądził, że dopiero jego następcą rozerwie dynamitem czerwony głaz. — Przyzwyczailem się do tego (kamienia i wolałbym sam. tego nie robić — pomyślał przechodząc obok.

Parę minut potem zobaczył czarny punkt. To zza horyzontu wystawała potężna łapa autobuldożera. Nigdy nie mógł przyzwyczać się do jego ogromu. Rozumiał, że fabryka tworząca z piasku i powietrza kosmodrom nie może być wielkości pudełka od zapalek. — Przypomina raczej świątynię niezemskiego kultu niż pocziwą fabrykę do mieszania piasku — pomyślał, gdy znalazł się w jego cieniu. Doszedł do drabinki, wspiął się do kabiny i wtedy zobaczył Dona.

— Wygrałeś, Jess — powiedział Don — moja cholerna maszyna nie chce się ruszyć. — Powiedział to i dalej patrzył przez szybę na pustynię.

Ma chłopak pecha — pomyślał Jess, ale nawet się nie ucieszył. — Co się stało? — zapytał.

— Stała wczoraj w zagłębieniu i zasypało ją.

— Masz rzeczywiście pecha — powiedział Jess, zdjął hełm i podszedł do tablicy rozrządczej.

— Jess, ty nie ruszysz tą maszyną...

— Bo co?...

— Mówię ci... nie ruszysz.

Czego on, do cholery, cały czas gapi się przez to okno — pomyślał Jess. — Może mi nie dasz? — zapytał.

— Nie dam ci. To nie moja wina, że mnie zasypało... Zrobiłem więcej i zrobiłbym jeszcze więcej, tyle, ile trzeba, żeby się stąd wydostać.

— Podobno cię zasypało?...

— Zasypało i ważne jest, ileśmy zrobili do teraz.

Jess wzruszył ramionami. — Ale go przy—piliło — pomyślał. Włączył rozruch i czekał, aż zamrugają czerwone światła kontrolne. Don odszedł od okna. Stał przed nim dwa kroki, rozkraczył się i wsadził ręce w kieszenie kombinezonu.

— Zastanawiam się, jak będzie wyglądał kosmonauta z pokiereszowaną mordą — powiedział.

Jess powoli odwrócił się do niego.

— Zjeżdżaj stąd... — powiedział.

— Dobrze, pójdę, ale nie sam. Pójdziemy razem do bazy...

— Zjeżdżaj — powtórzył Jess, a gdy Don się nie ruszył, podszedł do niego i pchnął go ramieniem.

Wtedy dostał w szczękę. — Cholerny szczeniak — pomyślał i uderzył Dona w żołądek. Czekał, aż ten się zegnije do przodu, i wtedy uderzył od dołu. Głowa Dona poleciała do tyłu. Trzasnął go jeszcze lewym sierpowym i wiedział, że tamten będzie już leżał. — On jest mięczak — pomyślał — a ja rozbiłem sobie kostki. Potem złapał Dona za nogi i pociągnął po posadzce do wyjścia. Tam włożył mu na głowę hełm, przekręcił zawory. Później jedną ręką mocował się z włazem, a gdy ten odskoczył, wypchnął Dona na zewnątrz i patrzył, jak tamten spada w dół. — Na Ziemi rozbiłby sobie pysk, a tu się nawet bardzo nie potłucze — pomyślał. Don uderzył w piasek i leżał na nim nieruchomo, jak rozgnieciona żaba.

Jess odwrócił się i podszedł do pulpitów. Światła kontrolne paliły się i gdzieś w głębi za płytą mruczały prądy. Nie patrząc, Jess chwycił krótką czarną dźwignię i ściągnął ją w dół, do oporu. Cały autobuldożer drgnął i mieląc gąsienicami piasek, ruszył przed siebie, unosząc w górę swą ogromną stalową łapę. — On jest potężnym, dobrym, oswojonym tyranozaurom — pomyślał o nim ciepło. — Zrobi wszystko, co mu każę, i będzie tak zawsze, chyba że spali sobie bezpieczniki. Potem przesunął regulator rozpadu i buldożer kołysząc się na boki przyspieszył swój marsz przez czerwone piachy czerwonej pustyni.

I w końcu tamten pas był już zupełnie blisko, a tam, gdzie się kończył, była wydma, z której wystawał autobuldożer Dona. Zasypało go mocno, aż po kabinę. — Tylko stalowa łapa sterczy w górę, jak ręka topielca, który utonął w piachu — pomyślał Jess.

Założył hełm, wyszedł na piach i wyciągnął linę, tylko kawałek, bo więcej by nie udźwignął. To była stalowa lina grubości jego ramienia i spleciono ją z mniejszych stalowych lin, a te z jeszcze mniejszych. — Zupełnie jak rzeka, która ma dopływy, a te jeszcze swoje dopływy — oczywiście ziemską rzeką, bo tu, na Marsie, rzeki nie mają dopływów i każdy strumyk nazywa się rzeką. — Potem wrócił do kabiny i autobuldożer swoją łapą wyciągnął linę tak, jak było potrzeba, i ułożył ją tak, jak mu kazał. Zaczepił ją z przodu autobuldożera Dona, tam gdzie był wielki hak do zaczepiania lin. Wrócił znów do kabiny, przesunął regulator rozpadu do końca, na taką moc, jaką tylko mógł dostarczyć stos, i ruszył powoli, bardzo powoli, żeby nie zerwać liny. Naprężył ją, przez chwilę zdawało mu się nawet, że czuje jej wibrację, a potem szło już lekko, bo autobuldożer Dona drgnął i wyjechał z wydmy, która zaraz się zapadła i zmieniła w dwie mniejsze.

Jess zwinął linę, potem obrócił autobuldożer i ruszył z powrotem swoimi śladami przez pustynię. Przejechał może trzy kilometry, gdy daleko przed sobą zobaczył drobną figurkę, brnącą przez piasek. Skręcił i objechał ją szerokim łukiem. Figurka machała rękami, lecz Jessa to nic nie obchodziło.

— Jess...

— Jess...

— Zmyj się z ekranu, bo będę musiał wyłączyć wizję.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś strasznie fajny chłop, a ja jestem zwykła świnia...

Jess wzruszył ramionami.

— I... chciałem ci podziękować...

— Za co?

— Że wyciągnąłeś mój autobuldożer...

— Nie masz mi co dziękować. Nie zrobiłem tego dla ciebie.

— No, ale twój pas...

— Mój pas. No i co z tego?

— Mogłeś go dalej robić...

— A potem wpakować się w raketę i zwiać na Ziemię. Jesteś głupi szczeniaku, nie cierpię twojej mordy i dla ciebie nie odwróciłbym nawet buldożera.



— Więc dlaczego?

\*\*\*

Trzy dni później nadleciał Rot. Tak jak mu kazano, wybrał dłuższy pas i zatoczył krąg do lądowania. Włączył się na fonię i...

— Ląduj przy tamtym pasie — powiedział Don.

— Rób, jak ci w bazie kazano — usłyszał Jessa.

— Tylko spróbuj mi tu wylądować, a gąsienicą rozgniotę raketkę razem z tobą — zapewnił go Don.

Rot nie rozumiał. Odleciał z powrotem do bazy, a w dole została pustynia i dwa nierówne pasy zbiegające się w literę „V” tam, gdzie w przyszłości miał stanąć port kosmiczny, a teraz był tylko piarg i lej wyryty przed wiekami przez jakiś meteor.

# STRAŻNIK

Odkryłem go w trzeciej godzinie po opuszczeniu bazy. Wyjechałem selenoładem na objazd automatycznych stacji grawimetrycznych. Rozrzucone na obwodzie spłaszczonej elipsy, w ognisku której leżała baza, odwiedzane były raz na tydzień przez kogoś z naszego zespołu. Właściwie tym razem jechać miał Krab, ale czekał na wideofoniczne połączenie z Ziemią i pojechałem ja.

Obsługa tych stacji była prosta i właściwie mógł ją z powodzeniem wykonywać automat. Podjeżdżało się do zasobnika, wyjmowało z jego wnętrza mały, błyszczący kryształ mnemotronu, zawierający tygodniowy zapis pracy stacji, wkładało nowy, na oko nie różniący się niczym od zapisanego, zamykało zasobnik, pobieżnie sprawdzało zespoły i to było wszystko. Należało jedynie uważać, by nie pomylić mnemotronów i nie nagrać powtórnie zapisu na tym samym kryształ. Zdarzyło się to kiedyś właśnie Krabowi. Przywiózł do bazy nie zapisany kryształ i rozłożyliśmy całą stację w poszukiwaniu uszkodzenia, zanim wpadliśmy na pomysł, by sprawdzić zapis w pozostałym mnemotronie. Oczywiście, gdyby wymianę mnemotronów przeprowadzał automat, nie pomyliłby się w ten sposób i to był argument. — Nie — powiedział naczelny kosmik bazy, wysłuchawszy nas wtedy — nie zgadzam się na żaden automat. Automat robi swoje, ale nie wykaże żadnej elastyczności działania, gdyby się cokolwiek wydarzyło. — Ale co się właściwie może wydarzyć? — pomyślałem wtedy. Naczelny kosmik, jakby przewidując to pytanie, dodał:

— To prawda, że nic się na ogół nie dzieje, ale zawsze jakieś prawdopodobieństwo zdarzeń niezwykłych istnieje, nieprawdaż? — uśmiechnął się.

— Szczątkowe... — powiedział Krab.

— Masz rację, szczątkowe, ale prawdę mówiąc, co wy tu macie do roboty? I tak wszystko prawie robią automaty. — Na to nie było odpowiedzi. Jeździliśmy więc na zmianę z Krabem, a czasem jeździł jeszcze ktoś, kto nie miał akurat nic innego do roboty. W końcu okazało się, że kierownik miał w pewnym sensie rację, bo automat nigdy by go nie odkrył. Automat pojechałby przecież zwykłą trasą, mimo że trzecia stacja została rozbita. Automat nie zmodyfikowałby swego postępowania tylko z tego powodu, że jakiś meteor unicestwił stację. Pojechałby tam, wysiadł, zrealizował wbudowany w jego świadomość rozkaz: „Odejdź, jeśli promieniotwórczość” (wszystkie automaty księżycowe mają wbudowany ten rozkaz, rozbicie bowiem stosu przez meteor jest tu przy braku chroniącej warstwy atmosfery dość częste).

Wsiadłby więc z powrotem do selenoładzu i pojechał do następnej stacji. I wszystko to powtarzałoby się za każdym objazdem, chyba że byłby to samouczący się automat wysokiej klasy. Ale kto takich automatów używa do kontroli stacji?

Ja zaś wiedząc, że trzecia stacja jest rozbita, wybrałem inną drogę. Ostatecznie specjalnych dróg na Księżycu nie ma, a księżycowy żwir wszędzie tak samo nadaje się do jazdy. Postanowiłem więc jechać od razu z drugiej stacji do czwartej. Przecinałem w ten sposób elipsę mniej więcej równoległe do małej osi. Duża oszczędność czasu, a przede wszystkim nowa trasa. W końcu nie jest prawdą to, co mówi się na Ziemi, że Księżyc jest lepiej znany na przykład od Himalajów. Może rzeczywiście mapy jego są dokładniejsze. Ale co innego sporządzać mapę z wysokości kilkudziesięciu kilometrów, a co innego przejść przez pył, w którym nie odcisnął się jeszcze nigdy but kosmonauty. Ma to posmak wyprawy w nieznaną, mimo że wystarczy spojrzeć na mapę, by wiedzieć dokładnie, w którym miejscu się wyjdzie. Przejrzałem mapę i zanim dojechałem do drugiej stacji, wiedziałem, że wystarczy skręcić do niej doliną w lewo, potem przejechać przez dno średniej wielkości krateru, wydrapać się do jednej z przełęczy i już kilka kilometrów za nią ciągnął się zwykły szlak wracający ku czwartej stacji. Wymieniłem więc mnemotron, przejechałem przez

niewielki taras, na którym wzniesiono stację, i byłem już na dnie doliny. Zapaliłem reflektory selenożazu, bo chociaż świeciło Słońce i na tarasie było tak jasno, aż bolały oczy, w dolinie panował czarny, prawdziwie kosmiczny mrok. Prawdopodobnie kiedyś, przed wiekami, taras wraz z dnem doliny zapadł się podczas wstrząsów wulkanicznych, falujących powierzchnię globu i teraz znajdował się kilkadziesiąt metrów poniżej swego dawnego poziomu. Nic jednak nie wskazywało na tę katastrofę sprzed wieków. Dno doliny było równe, kamieni mało, a i to tylko duże, uprzątnięte jakby potężną miotłą pod skalne ściany. Pomyślałem, nie bez zadowolenia, że widocznie już w epoce fałdowań górotwórczych zaplanowano dla mnie tę drogę. Ba, uprzątnięto nawet pył, tak że jechałem po twardej powierzchni skał pumeksowych dość szybko, bo większe kamienie widziałem z daleka; rzucały długie cienie w ostrych światłach selenożazu.

Zobaczyłem go nagle. W pierwszej chwili myślałem, że to gład o foremnym, prostokątnym kształcie, ale wtedy w środku prostokąta zajarzyło się niewielkie zielone koło.

Równocześnie zabuczał detektor radaru — zostałem oświetlony wiązką fal radarowych, a odbiornik fonii, dostrajający się automatycznie do odbieranej częstotliwości, szczeknął coś krótko. Potem zastanawiałem się niejednokrotnie, co wtedy myślałem, i przyznać muszę, że chyba nie było to raczej nic konstruktywnego, w każdym razie nie było to „analityczne ujęcie zagadnienia”, zalecane przez podręczniki kosmiki w nagłych a nieprzewidzianych wypadkach. Po prostu podświadomie uznałem prostokątną bryłę za automat i wyskoczyłem z selenożazu, by go z bliska obejrzeć. Przebiegłem może pięć kroków, gdy oślepił mnie błękitny błysk i mono izolacji skafandra poczułem podmuch gorąca. Padłem wśród skał pod ścianę doliny i obejrzałem się za siebie. Mój selenożaz, a właściwie resztki poskręcane żelastwa, jakie z niego zostały, zarzyły się jeszcze. Wypromieniowując energię przechodziły z koloru czerwonego w wiśniowy, coraz ciemniejszy, aż wreszcie stały się tak czarne, jak otaczające je kamienie i ściany kotliny. Wtedy przestałem je widzieć.

W ogóle nie widziałem niczego, pogrążony w czerni dna doliny. Tylko w górze płonęły oślepiająco jasne krawędzie kotliny, tak jasne, że gasły przy nich gwiazdy niewidzialne dla zwężających się źrenic.

Dopiero teraz, gdy już leżałem za kamieniem, zacząłem się bać. Chciałem się zerwać i uciekać, uciekać z powrotem jak najszybciej w kierunku bazy, donieść im o inwazji. Bo że to była inwazja, nie wątpiłem ani przez chwilę. Przecież żadne ziemskie automaty nigdy nie atakują. Nigdy!!! To jest pierwsze fundamentalne założenie ich pseudopsychiki.

A może, gdy wrócę, nie będzie już bazy, nie będzie niczego, tylko wielki krater wypełniony szklistą stygnącą masą przechodzącą z czerwieni w podczerwień... A nad tym kraterem stać będą „prostokąty”, nieruchome z płonącym zielonym kołem pośrodku.

Chciałem uciekać, lecz wtedy gdzieś z podświadomości wypłynęło pierwsze przykazanie Mopsa (tak nazywaliśmy naszego profesora), który przy semestralnym egzaminie z kosmiki nieodmiennie pytał pierwszoroczników, co by zrobili, gdyby nagle w próżni w ich kabinie pojawił się kosmiczny przybysz w kształcie złocistej promieniującej kuli. Zazwyczaj zapytany pierwszorocznik, który nie zdążył jeszcze zasięgnąć języka na giełdzie, proponował nieprawdopodobne rozwiązania, obracające się wokół wyrzucenia siebie lub gościa z rakiety, wtedy Mops uśmiechał się pobłażliwie.

— Czy nie sądzisz, że właściwą rzeczą byłoby najpierw pomyśleć? — pytał delikwenta.

Więc chyba wtedy, gdy leżałem między tymi gładami na dnie księżycowej doliny, przyszło mi na myśl pytanie Mopsa.

A gdy człowiek nakazuje sobie myślenie, strach znika, a raczej chowa się w podświadomości i wtedy można już myśleć. A więc co się właściwie stało? Selenożaz zbliżył się do „prostokąta”, od

tego wszystko się zaczęło. Wtedy „prostokąt” stał się aktywny. Zapalił zielone koło, oświetlił pojazd radarem i zniszczył go. Ale zaraz, coś tu się nie zgadza. Zanim przecież wystrzelił swój promienisty ładunek, na kilka sekund przedtem, bo w tym czasie zdążyłem otworzyć klapę i przebiec kilka metrów, rzucił jakieś wezwanie na fonii. Po co?

To było co najmniej niejasne. Może pytał o coś. Ale o cóż mógł pytać w nieznanym języku? Czego chciał się dowiedzieć ode mnie, pilota zniszczonego w chwilę potem selenołazu? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, ale przynajmniej byłem już teraz zupełnie spokojny. Musiałem się stąd wydostać, zawiadomić bazę, a jeśli baza jest zniszczona Ziemię. Tak, to było jasno sformułowane zadanie. Co więc się stanie, gdy wstanę i zacznę uciekać? Prawdopodobnie „prostokąt” oświetli mnie radarem, zapyta o coś albo nie zapyta, a następnie zniszczy. Nie, nie mogłem ryzykować. Mogłem jeszcze wzywać pomocy. Radio nie wchodziło w rachubę. Fale jego rozchodzą się prostoliniowo, nie dotrą więc do bazy z tej doliny o pionowych ścianach, nadajnik jest zbyt słaby, żeby jego sygnał został odebrany z automatycznych satelitów okrążających Księżyc. Została rakielnica. Wystrzelę raketę. Z samej bazy nikt jej nie dostrzeże. Baza leży daleko, za bliskim księżycowym horyzontem. Chyba że ktoś przypadkowo, ale na to nie ma co liczyć. Nie pozostaje więc nic innego... Ależ nie, jakież ze mnie idiota, że od razu na to nie wpadłem. Przecież mam naboje „radarowe”. Normalnie wystrzeliwuje się je w górę, gdzie pękają, rozsiewając w próżni drobne kryształki. Od chmury takich kryształków fale radaru odbijają się na ekranach odbiorników, powstaje mała plamka. Dyżurny czuwający przy odbiorniku melduje:

— W sektorze... obiekt nieznanego pochodzenia. Identyfikacja obiektu jest jednoznaczna z odnalezieniem rozbitka. — Tym razem jednak wystarczy wystrzelić nabój tu w dolinie, żeby... „prostokąt” oślepl. Bo to przecież jasne, że nacelowuje on swój miotacz na ruchomy obiekt według namiarów radarowych.

Wyjąłem więc rakielnicę, załadowałem wyjęty ze specjalnej przegrody torby „radarowy nabój” i nagle spostrzegłem, że w dolinie robi się coraz jaśniej. Pomyślałem, że to może jakaś rakietka ogniomyczych gazów wylotowych oświeca głazy. Spojrzałem w górę. Niestety, to tylko Ziemia krawędzią swej tarczy wschodziła zza otaczających dolinę skał.

Skierowałem rakielnicę wprost w skały, tam gdzie stał „prostokąt”. Wybuch, jak wszystko na Księżycu, był bezgłośny. Ze skał powstała biała chmura. Momentalnie wypełniła dolinę i wzniosła się setki metrów ponad jej krawędź jakby potężna erupcja księżycowego gejzeru. Podniosłem się i zacząłem biec kotliną z powrotem. Początkowo chmura była tak gęsta, że czułem się jak we mgle. Wpadałem na kamienie lub trafiałem wprost na ściany doliny. Tak było do zakrętu. Miąłem zakręt i dojrzałem przeświecającą przez biały opar tarczę Ziemi. Od wystrzału minęły najwyżej dwie minuty, ale mgła już zdążyła się przerzedzić, opadała bowiem na Księżycu równie szybko jak rzucony w górę kamień. Dalej było już zupełnie widno, tak że mogłem swobodnie biec. Był to szybki, księżycowy bieg, którego nie hamuje powietrze, a każdy krok jest ponad dziesięciometrowym skokiem. W każdym razie drogę powrotną przebyłem szybciej niż przedtem selenołazem i już po kilku minutach wzywałem z drugiej stacji bazę. Czekałem na jej sygnał bojąc się równocześnie, że go nie usłyszę. Ale nadszedł jak zwykle czysty, wyraźny, bez zakłóceń.

— Praktykant Rob do naczelnego kosmika bazy. Pilne! — powiedziałem do mikrofonu.

Dyżurny automat potwierdził odbiór i teraz czekałem. — Naczelnny kosmik. Słucham... — odezwał się po chwili głośnik.

— Praktykant Rob melduje, że odkrył automat niszczący...

— O czym ty mówisz?

— Ten automat zniszczył mój selenołaz... i mnie prawie też...

Tam po drugiej stronie kosmik milczał chwilę.

— Skąd mówisz? — zapytał wreszcie krótko. — Z drugiej stacji.

— Czy dobrze się czujesz?

— Tak... nie zdołał mnie trafić.

— Ja się pytam, czy w ogóle dobrze się czujesz?

To mnie dotknęło. Co on sobie właściwie wyobraża?

— Jak najlepiej — powiedziałem. — Składam formalny raport i proszę zapamiętać to u automatu dyżurnego.

— Dobrze już, dobrze... — powiedział kosmik. — Nie masz się czego obrażać. Zaraz przylecimy rakieta do drugiej stacji i zobaczymy, co tam jest naprawdę.

Rzeczywiście, nie upłynęło dziesięć minut, jak wylądowali. Naczelny kosmik, Krab i Uten — neuronik. Poza tym przywieźli dwa androidy.

Gdy opowiadałem, Krab patrzył na mnie z podziwem. Uten uśmiechał się z niedowierzaniem, a twarz kosmika nie wyrażała nic, podobnie jak „twarze” androidów.

— A gdzie jest twój selenoład? — zapytał Uten.

— Stoi w głębi tej doliny.

— Chodźmy więc do niego.

— On stoi w zasięgu „prostokąta”. Tam nie można podejść...

— Sami zobaczymy — powiedział Uten. — Idziemy? — zwrócił się z pytaniem do kosmika.

— Nie będziemy ryzykować. Co tam jest, trudno powiedzieć, ale w każdym razie nie będziemy ryzykować. Pójdą androidy, a my będziemy je obserwować z rakiety. — Uten wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział, ale widać było, że nie wierzy w żadne „prostokąty”. Uważał się za znawcę Srebrnego Globu i nie mógł sobie wyobrazić, że byle praktykant może odkryć tu coś, co by jemu nie było znane. Wsiadliśmy jednak do rakiety i wystartowali w górę, podczas gdy androidy ruszyły doliną.

— To tu — powiedziałem. — Rzućmy flarę.

— Androidy jeszcze nie doszły. Rzucimy, gdy będą już blisko — powiedział kosmik.

Wisielimy więc nad doliną. Rakieta wyrzucała z dysz czerwony płomień. Jej ciąg równoważył księżycową grawitację.

— Już są — powiedział Uten patrząc w ekran radaru. O... — dodał, bo nagle na ekranie zjawił się obcy sygnał. — Flarę — zarządził kosmik.

Krab nacisną dźwignię i biały płomień zaczął spadać na dno doliny. Nie doleciał nawet do połowy drogi, gdy na dole błysnęło i błękitny piorun, jaśniejszy od flary, oświetlił każdy kamień, każde załamanie ścian doliny. Jeden sygnał radarowy zgasł — jeden z androidów przestał istnieć; przestały istnieć również jego radarowe oczy. Drugi, wyraźnie teraz widoczny w blasku flary, posłuszny swemu sprzężeniu samozachowawczemu, próbował się wycofać. Nie zdążył. Drugi błysk... i rozszarzony na chwilę stał się także stertą nadpalonego złomu.

— No, Uten, ty nawet byś się nie żarzył — powiedział Krab.

Uten nie odrywał wzroku od ekranu.

— Tak, to chyba inwazja — powiedział cicho.

Kosmik tymczasem łączył się przez bazę z Ziemią. Potem relacjonował komuś z ziemskiego Instytutu Kosmiki przebieg zjawiska. Słuchałem krótkich zdań, a jednak nie bardzo wiedziałem, o czym mówią. Głowa mi ciążyła i miałem mdłości. Pamiętam jeszcze, że gdy kosmik skończył mówić z Ziemią, zapytał go Uten:

— Dlaczego nie wspomniałeś nic o inwazji?

— Bo inwazji nie przeprowadza się jednym automatem w bezludnej księżycowej dolinie.

— Więc co to jest? — Kosmik uśmiechnął się.

— Gdybym wiedział, niepotrzebni byliby ci wszyscy specjaliści, którzy tu przylecą.

— Ja... — chciałem powiedzieć, że ja także myślałem o inwazji, ale zakręciło mi się w głowie i plecami oparłem się o pulpit rozrządu. Krab mnie przytrzymał.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nic, kręci mi się tylko w głowie... — chciałem jeszcze coś dodać, ale następnym moim wspomnieniem jest dopiero biały kitel naszego lekarza z bazy.

Miałem chorobę popromienną. Podobno stałem za blisko strumienia energii, który zniszczył selenożaz, i dostałem jakąś końską dawkę. Większość jej zatrzymał wprawdzie mój skafander, ale to, co przeszło przez moje ciało, wystarczyło, by mnie zapakować do łóżka. Solem, lekarz naszej bazy, zachwycony, że wreszcie ma pacjenta, odwiedzał mnie osiem raty dziennie i głównie jego staraniom zawdzięczam, że zostałem w bazie i nie wróciłem pierwszą raketą na Ziemię. On też przynosił mi najnowsze wiadomości.

— Wiesz, Rob, wylecieli dwie godziny temu, by przywieźć ten „prostokąt” do bazy — wpadł do mnie podniecony.

— Jak to, chcą rozbić bazę?

— Nie, oczywiście, że nie. Zabierają się do niego w jakiś przemyślny sposób. Wygaszają mu fale... czy coś takiego.

— To się nie zawsze udaje...

— Nie martw się. Już oni się do tego dobrze przygotowali. Przyleciała grupa kilkunastu specjalistów z Ziemi. Mówię ci, ruch w bazie jak na kosmodworcu. Są też jacyś dziennikarze z wideotronii. Chcieli ciebie zobaczyć, ale posłałem ich do wszystkich kosmicznych diabłów.

— To ja jestem tak ciężko chory?

— Ależ nic podobnego, gdyby tak było, poleciałbyś od razu na Ziemię. Nie możesz myśleć w ten sposób, to fatalnie przedłuża rekonwalescencję.

— No, właściwie ja się czuję zupełnie dobrze...

— A widzisz. Ja też twierdziłem cały czas, że nic ci nie jest, wbrew jakiejś sławie medycznej z Ziemi, która odbywała tu ze mną telekonsylium.

— Genialnie zrobiłeś, Solem, żeś mnie tu zatrzymał. W jakimś sanatorium na Ziemi dowiadywałem się wszystkiego dopiero z teledzienników i nie mógłbym być obecny chociażby przy dzisiejszym badaniu „prostokąta”. Nie darowałbym sobie tego do końca życia.

Przy ostatnich słowach Solem zaczął się niespokojnie wiercić.

— No wiesz, chyba cię nie będę mógł jeszcze puścić do tego „prostokąta”.

— Czyżby ze mną było aż tak źle? — udałem przestrah.

— No nie, ale...

— Solem, nie strasz mnie niepotrzebnie. Sam powiedziałeś...

— ...

— Zresztą, Solem, i tak wiesz, że tam pójde, więc o co chodzi.

„Prostokąt” przywieźli pół godziny później. Staliśmy wszyscy w centralnej sali bazy, gdy nadeszli najpierw specjaliści w ciężkich przeciwpromiennych skafandrach, a za nimi automaty dźwigające „prostokąt”. Oczywiście to nie był prostokąt, lecz potężny prostopadłościan z wystającymi czułkami anten... Automaty złożyły go ostrożnie na posadzce i odstały na boki pod naporem ludzi... Potężny

metalowy blok leżał nieruchomy, pozbawiony wyrzutni promienistych, które poprzednio wymontowały już automaty...

Ci, którzy przyszli, zdejmowali skafandry i przybierali znowu zwykłe, ludzkie kształty. Tuż, może dwa kroki przed sobą, dostrzegłem człowieka, którego już gdzieś widziałem.

Zrzucił skafander, przyglądził swoją rozczochraną rudą brodę i podniósł rękę, chcąc uciszyć gwar.

— Mam dla was pierwszą wiadomość — powiedział donośnym głosem. — Ten automat jest ziemskiego pochodzenia. Tym samym upada atrakcyjna hipoteza... inwazji — spojrzał w stronę reporterów wideotronii, z których większość nadawała komunikaty na Ziemię. Ależ tak, nie mogłem się mylić, to był Torboran, najbardziej znany historyk neuroniki.

— Pochodzi on — ciągnął — sprzed mniej więcej pięciuset lat, to znaczy z okresu pierwszych wypraw na Księżyc. Poza tym mogę was zapewnić, że nie jest to automat produkowany seryjnie. Jest to pojedynczy egzemplarz skonstruowany do celów specjalnych... Ostatecznie niszczenie wszystkiego, co się rusza po powierzchni Księżyca, nawet w tych wiekach, nie było codzienną rolą automatów. A teraz twoja kolej, profesorze Woe — zwrócił się do małego, niepozornego człowieczka, który właśnie wydobywał się ze zbyt wielkiego dlań skafandra.

— Szanowny kolega już mnie przedstawił, ja muszę dodać, że jestem lingwistą, profesorem wymarłych języków ery wczesnoatomowej. Wiecie chyba z historii, że zanim trzysta lat temu wprowadzono na całej Ziemi normalny język, różne narody mówiły różnymi językami, tymi, które teraz jeszcze czasem słyszy się w dawnych pieśniach. — Przerwał na chwilę, a ponieważ w ogóle mówił cicho, niełatwo go było zrozumieć. — Żeby was już dłużej nie męczyć, powiem tylko, iż słowo, które nadawał ten automat, było żądaniem hasła w jednym z tych języków. Automat czekał chwilę na odpowiedź, a następnie, gdy nie nadchodziła, emitował wiązkę energii...

— Wcale zresztą pokażną jak na owe czasy... — uzupełnił jeden z tych, którzy wrócili.

— Wiazkę energii niszcząca tego, kto nie znał hasła — profesor Woe umilkł.

— To już wyraźnie wskazuje na rolę tego automatu — zagrzmiał znowu Torboran. — Pełnił on pewną funkcję logiczną. Dzielił bowiem zbiór wszystkich poruszających się w jego zasięgu układów na dwa podzbiory: na podzbiór, którego elementy podawały hasło, i podzbiór, którego elementy tego nie czyniły, to znaczy prawdopodobnie hasła nie znały. Elementy tego drugiego podzbioru należało niszczyć i tu zaczynała się druga, wykonawcza funkcja automatu. Tyle wiedzieliśmy po wstępnych badaniach. Wniosek, jaki się nasuwa, jest zresztą zupełnie oczywisty. Ten automat pełnił rolę strażnika, był po prostu strażnikiem. Ale strażnik musi przecież czegoś strzec, jeśli jego zachowanie ma być logicznie uzasadnione. To coś musiało być dla twórców strażnika bardzo cenne, skoro zdecydowali się skonstruować tak skomplikowany, jak na owe czasy, automat. A to pozostawało dla nas zagadką, automat bowiem nic takiego nie posiadał. W tym miejscu należy skłonić głowę przed profesorem Woe...

— Ależ, profesorze Torboran, na to wpadłby każdy. Mnie po prostu wcześniej się udało....

— Nadmierna skromność, drogi lingwisto. Mnie by to przez myśl nigdy nie przeszło. Ówczesne automaty były tak prymitywne, że podobne rozwiązanie byłoby dla mnie nie do przyjęcia... ..ile okazało się, że profesor Woe miał rację. Chodziło o znalezienie tego hasła. To ostatecznie dla współczesnych automatów nie takie trudne. Po prostu przejrzały prymitywną pamięć strażnika i odkryły właściwe słowo... Potem nadaliśmy to słowo jako odpowiedź na wezwanie (wezwanie to powtarzał raz po raz, a potem kierował na nas miotacze, których już nie było). Więc gdy nadaliśmy to słowo, on wyemitował jakiś sygnał i nagle coś w głębi doliny błysnęło. Myśleliśmy, że to nowe miotacze... Wysłaliśmy więc androidy, ale to był tylko wybuch, wybuch, który odsłonił wejście do skalnej grotki... A tam, jak zawsze w tajemniczych grotach, znaleźliśmy skarb — Torboran zaśmiał

się głośno. — Dość zabawny skarb, szczególnie jak na nasze czasy... Wyobraźcie sobie — zawiesił głos dziesiątki stalowych butli napełnionych tlenem.

— I to już cały skarb? — spytał zawiedziony jakiś młody dziennikarz o białych prawie włosach.

Torboran nagle spowaźniał.

— A ty, młody człowieku, coś myślał, że znajdziemy złoto czy kosztowności ukryte przez pierwszych kosmonautów?...

— No nie, ale...

— Ale byłbyś mniej zdziwiony, gdyby to było złoto. Bo cóż to w końcu tlen? Masz go pod ręką, ile chcesz. Możesz nim oddychać pod ciśnieniem atmosferycznym lub sztucznie zwiększonym, możesz go zmieniać w ozon lub spalać w płomieniu. Bo przecież są regeneratory... a poza tym można go przywieźć z Ziemi, ile kto chce. Czyż nie? Ale widzisz, pięćset lat temu, w czasach, z których pochodzi strażnik, kosmonauci umierali na Księżycu, gdy zabrakło tlenu... Umierali najczęściej właśnie dlatego. A tu, pomyśl, taki skład i dziesiątki butli. Czy to nie był skarb?

— Tlen, rozumiem. Ale w takim razie po co strażnik? — zapytał znowu ten sam blondyn.

— Tak, ty tego nie pojmujesz i to w ogóle jest dla nas trudne do zrozumienia. Oni ukrywali ten tlen wzajemnie przed sobą.

— Jak to? Kosmonauci przed innymi kosmonautami?

— Tak.

— I nie daliby tego tlenu, nawet gdyby inni umierali?

— No nie, tu chodziło o cały skład. Należał do jednej grupy i tylko ci mogli nim dysponować. Ci znali hasło...

— A inni?

— Inni hasła nie znali.

— I tych strażnik miał zniszczyć?

— Tak. Gdyby chcieli zabrać tlen dla siebie.

— ...

— Nie, nigdy nie zniszczył nikogo. Dopiero selenożaz Roba. Miał ograniczony ładunek energii promienistej. Mogliśmy obliczyć, ile jej zawierał pierwotnie.

— Więc tamci nie znaleźli go, nie trafili po śladach? Przecież ślad raz odcisnięty w księżycowym pyłe trwa wieki...

— Tam pyłu nie było, tylko same skały. A może oni nigdy nie szukali tego składu...

— A ci, co zbudowali strażnika?

Torboran wzruszył ramionami.

— W tych okolicach lądowały różne wyprawy. Niektóre z nich nie wróciły... Jedna z nich ukryła zapewne zapas tlenu i postawiła strażnika...

— Dziwne to były czasy i dziwni ludzie — powiedział blondyn.

— Może i dziwni — Torboran mówił teraz cicho — ale dzięki nim jesteśmy dzisiaj na Księżycu... i nie tylko na Księżycu...

Spojrzał na obalony prostopadłościan strażnika, wziął swój skafander i wyszedł z sali.



# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	1
<a href="#">Prawo wyboru..</a>	3
<a href="#">Cerebroskop.</a>	8
<a href="#">Straż informacji.</a>	11
<a href="#">Chlorella..</a>	15
<a href="#">Szansa śmierci.</a>	18
<a href="#">Ja, milikilos.</a>	24
<a href="#">Jej głos.</a>	27
<a href="#">Adam i Ewa..</a>	30
<a href="#">Zanim polecą do gwiazd..</a>	31
<a href="#">Nieśmiertelny z Wagi.</a>	34
<a href="#">Lot ku Ziemi.</a>	39
<a href="#">Wróble galaktyki.</a>	43
<a href="#">Kosmodrom...</a>	48
<a href="#">Strażnik..</a>	51